

SIECI



**OBLAWA NA STANOWSKIEGO
DLACZEGO CHCĄ
GO ZNISZCZYĆ?**



**ROKITA ANALIZUJE
BERLIŃSKĄ TERAPIĘ TUSKA**



**CZY ZEŁENSKI
PRZETRWA?**



**TWARZĄ
W TWARZ
Z DIABŁEM,
CZYLI OPowieŚĆ
O EGZORCYZMACH**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

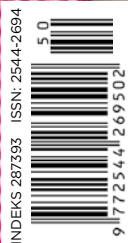
50 (680) 2025
8-14 grudnia 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

AMBASADOR NA WOJNIE Z KŁAMSTWEM O POLSCE

**NOWY PRZEDSTAWICIEL USA W WARSZAWIE
TOM ROSE ODWAŻNIE ZWALCZA PLENIĄCĄ SIĘ
NA ZACHODZIE I W IZRAELU NARRACJĘ
O POLSKIEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI
ZA HOLOKAUST**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

5 0
9 177 254 41 2695 021

Numer w sprzedaży do 15 XII 2025 r.

epresam...pe8f9c

polsat box 

Ponad 130 kanałów

z super sportem, filmami,
serialami i rozrywką



polsat sport
premium

CINEMAX

ELEVEN
SPORTS



polsat
film

już za **70 zł/mies.**
przez 2 lata po rabacie

Umowa na min. 24 mies. na Pakiet L. Od 25. mies. 75 zł/mies. po rabacie.

Cena uwzględnia rabat 10 zł/mies. za zgody marketingowe. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Pakiety: Polsat Sport Premium i Eleven Sports dostępne promocyjnie do 31.01.2028. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

Cicha burza nad Dunajem

Prezydent Karol Nawrocki słusznie odwołał lub przełożył (ta kwestia nie jest jasna) spotkanie z Viktor-em Orbánem w Budapeszcie i ograniczył się do spotkania w formacie prezydenckim Grupy Wyszehradzkiej w Ostrzyhomiu. Nie było innego wyjścia po tym, gdy kilka dni wcześniej premier Węgier odwiedził Moskwę i spotkał się z Władimirem Putinem, odpowiedzialnym za napaść na Ukrainę, liczne inne zbrodnie i prawdopodobnie również akty dywersji wymierzone w Polskę. Gdyby głowa polskiego państwa podjęła decyzję o realizacji przyjętego wcześniej kalendarza, oznaczałoby to udział w grze, pod którą Polska się nie podpisuje. Oznaczałoby to także ogromne koszty polityczne zarówno dla samego prezydenta, jak i dla całego obozu polskiej prawicy niepodległościowej. Maszyna propagandowa obozu władzy wykorzystałaby koincydencję czasową i wypichciła taką zbitkę, którą eksploatowano by przez długie miesiące, a może i lata.

Inna decyzja nie mogła zapaść, ale w konsekwencji relacje polsko-węgierskie znalazły się w bardzo trudnym momencie. Obóz premiera Orbána walczy o życie, w kwietniu odbędą się wybory, w sondażach prowadzi – co prawda z coraz mniejszą przewagą – opozycyjna partia TISZA. Decyzja prezydenta Polski została odebrana nad Dunajem jako działanie przesadne, zbędne i mocno uderzające w polityczne szanse rządzącego Fideszu. Węgierska prawica, która tradycyjnie nie docenia siły antyrosyjskich postaw i emocji w Polsce, uważa, że jeśli relacje między obozami politycznymi mają specjalny charakter, to ten, który znajduje się w krytycznym momencie, który prowadzi kampanię, powinien móc liczyć na wsparcie drugiej strony. Przywołuje także fakt przyjęcia politycznych uchodźców nad Wisłą, co jednak nie może być dla prezydenta RP rozstrzygającym argumentem. Oznaczałoby to podporządkowanie polityki sprawie ważnej, symbolicznej, ale jednak nie zasadniczej. Wreszcie – zdaniem Węgrów – można zasugerować Budapesztowi przełożenie wizyty na własną prośbę, nie rezygnować ze spotkania pre-

zydentów w węgierskiej stolicy, a także lepiej dobrać słownictwo komunikatów.

W sumie powstał uraz, który może mieć konsekwencje dla dalszych losów polsko-węgierskich relacji. Pamiętajmy: gdy ktoś walczy o życie, odbiera różne sygnały podwójnie mocno. A jeśli do tego ktoś rządzi od 16 lat, to podświadomie oczekuje od pozostałych partnerów, że będą dostosowywali się do jego wistów, również tych najmniej akceptowalnych czy najbardziej egzotycznych. Gdy spotyka się z odmową, pojawia się rodzaj irytacji, która łatwo przeradza się w złość.

Obie strony mają mocne racje, ale – powtarzam – z polskiego punktu widzenia prezydent Karol Nawrocki w ogólnych zarysach nie mógł się zachować inaczej. Nie oznacza to jednak, że polska prawica może sobie pozwolić na zaniedbanie relacji z Budapesztem, czy też że nie powinna kibicować Fideszowi w walce z globalistyczną marionetką – Péterem Magyarem. Upadek Orbána byłby porażką całego ruchu konserwatywnego w świecie zachodnim. Na szczęście szanse Orbána na zachowanie władzy zauważalnie rosną – pomogła zmiana tonu kampanii, więcej pokory i większe skupienie się na problemach zwykłych ludzi, a także – jak zawsze na Węgrzech – artyleryjski ostrzał przeciwnika pod jasno zdefiniowanym, dobrze dobranym kątem. W razie przejęcia władzy przez polską prawicę w 2027 r. Budapeszt będzie też niezwykle ważnym punktem oparcia w walce z pełzającą agresją coraz bardziej brutalnej Brukseli. Będzie właściwie – tak jak był – jedynym punktem, który nie pęknie pod wpływem presji bądź przekupstwa. Ani Czechy Babiša, ani Słowacja Fico takiej roli nie chcą i nie są w stanie odgrywać.

Nieakceptowalna dla Polski postawa premiera Orbána wobec Rosji sprawia, że współpraca z Węgrami stała się dla polskiej prawicy polem minowym. Nie ma łatwych wyborów, za to łatwo o błąd. Ale nie oznacza to, że nie należy się starać działać w taki sposób, by możliwie wiele z tego cennego kapitału ocalało i stało się podstawą odbudowy relacji w czasach mniej rozhuśtanych.

Jacek Karnowski





31

Czarzasty pozostanie szefem partii
Z Waldemarem Witkowskim rozmawia Dorota Łosiewicz



64

Chiny trzymają świat za gardło
Z Radosławem Pyfflem rozmawia Stanisław Koczoł



68

Przeniesione z czasów lodu
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

- 5 **POLSKA NA GEOPOLITYCZNEJ MAPIE**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **KAMIENI KUPA**
Krzysztof Feusette
- 9 **„INTELEKTUALNA PROWOKACJA” TUSKA**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 **CO DOSTALIŚCIE OD MIKOŁAJA?**
Daniel Obajtek
- 13 **GEOPOLITYCZNE ROSZADY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA WOJCIECHA STANISŁAWA GROCHOWALSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 **ZDRADA JEST INTRATNYM ZAJĘCIEM**
Jan Pietrzak
- 16 **DO BERLINA BEZ ZŁUDZEŃ**
Samuel Pereira
- 17 **NIEMCY WIEDZĄ, ILE SĄ NAM WINNI**
Arkadiusz Mularczyk
- 18 **HISTORIA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 20 **AMBASADOR NA WOJNIE Z KŁAMSTWEM O POLSCE**
Piotr Gursztyn

KRAJ

- 23 **NIEBEZPIECZNY TOWARZYSZ SIWIEC**
Stanisław Janicki
- 26 **WCZORAJ MOSKWA, DZIŚ BRUKSELA, PO DRODZE CIA**
Jerzy Szmít
- 28 **OBŁAWA NA STANOWSKIEGO**
Konrad Kołodziejcki
- 31 **CZARZASTY POZOSTANIE SZEFEM PARTII**
Z Waldemarem Witkowskim rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36 **TWARZĄ W TWARZ Z DIABLEM**
Z Anną Gołędzinowską rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

- 39 **OSŁABIONY ZELEŃSKI I PERSPEKTYWY ZGNIĘŁEGO POKOJU**
Marek Budzisz
- 42 **CI GROŹNI POLACY**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 44 **MERZ, TUSK I DRUGI NAJAZD TATARÓW**
Jan Rokita
- 48 **ŚWIAT NA OPAK, CZYLI WALKA O ZNACZENIE**
Bronisław Wildstein

HISTORIA

- 52 **FAŁSZOWANIE HISTORII. JAK ROSSOLIŃSKI-LIEBE PRÓBUJE PRZERZUCIĆ WINĘ ZA HOLOKAUST NA POLAKÓW**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

- 55 **CZARNE CHMURY NAD WROCŁAWIEM**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 58 **MISTRZ POLITYCZNEGO PAMFLETU**
Maciej Walaszczyk
- 60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba
- 62 **ZAŁAMANIE KULTURY ZACHODU**
Robert Tekieli

GOSPODARKA

- 64 **CHINY TRZYMAJĄ ŚWIAT ZA GARDŁO**
Z Radosławem Pyfflem rozmawia Stanisław Koczoł
- 67 **LEWICOWA CENZURA I INTELIGENTNE ŚMIETNIKI**
Bartosz Życiński

NATURA DLA LUDZI

- 68 **PRZENIESIONE Z CZASÓW LODU**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

- 70 **MOJE SZLAKI: BARTEK KAMIŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 73 **IGRZYSKA ZA (ZIMOWYM) PASEM**
Ryszard Czarnecki
- 74 **PIĘĆ POŻYTKÓW Z PISANIA**
Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polska na geopolitycznej mapie

Opadło oburzenie, które wywołał ujawniony blisko dwa tygodnie temu, przygotowany przez Waszyngton i Moskwę plan zakończenia rosyjsko-ukraińskiej wojny. Stało się jasne to, co dla uważniejszego analityka było oczywiste od początku – że mamy do czynienia ze wstępnym projektem, który testować miał postawę Ukrainy, a także jej europejskich aliantów. Negocjatorzy z Kremla i Białego Domu będą kontynuować zatem niewiele znaczące pertraktacje, a do zawieszenia broni – bo mało prawdopodobne, że do pokoju – doprowadzi sytuacja na froncie i geopolityczne układy: konfrontacja Ameryki i Chin, wewnętrzny stan USA, a także postawa krajów UE.

Nie znaczy to, że ujawniony dokument nie miał znaczenia, tak jak fakt, że Amerykanie prowadzą rozmowy z Kremlem ponad głowami Kijowa i krajów europejskich. Można uznać, że te ostatnie same do tego doprowadziły, natomiast pomijanie Ukrainy w rozmowie na jej temat budzić powinno głęboki niepokój.

Plan pokojowy raz jeszcze pokazuje zupełne niezrozumienie przez Trumpa i części jego współpracowników postawy Putina, która stanowi kontynuację imperialnego imperatywu sterującego polityką moskiewską już od co najmniej 600 lat. Putin mógł modernizować swój kraj, ciągle przewyższający znacznie obszarem i ilością surowców mineralnych wszystkie inne. Wybrał militaryzację i podbój, i – jak wszystko wskazuje – znalazł poparcie większości mieszkańców, przywykłych do tego, że swoje niedomogi życiowe kompensują poczuciem przynależności do światowej potęgi.

Trump – jak większość mieszkańców współczesnego Zachodu – nie potrafi wyjść poza ekonomiczne kategorie. Uznał, że można skusić Putina amerykańsko-rosyjskim układem, czyli zrobić to, co wcześniej z wiadomym skutkiem praktykowała Angela Merkel. Dodatkowo goni go zobowiązanie, które wcześniej publicznie uczynił, że rosyjsko-ukraiński konflikt błyskawicznie rozwiąże. Jego megalomańska osobowość każe mu wierzyć, że jest w stanie zrobić wszystko. Odegrała ona istotną rolę w jego politycznym zwycięstwie i odwróceniu destrukcyjnego trendu historycznego, który zrujnował Europę i dotarł do Stanów Zjednoczonych.

Jak zwykle zatem w przypadku nieprzeciętnych ludzi, mamy w wypadku prezydenta USA do czynienia z cechami, które odgrywają ambiwalentną rolę. O ile jednak myślenie Amerykanów (jak i Europejczyków) nastawione jest ekonomicznie, o tyle nawet gospodarka nie redukuje się wy-

łącznie do siebie, a motywacje ludzkie są bardziej złożone. Wprawdzie ruch MAGA postuluje izolacjonizm, ale jest to w dużej mierze odrzucenie doktrynalnego angażowania się Amerykanów w globalne problemy. Rezygnacja z usiłowania przekształcenia świata zgodnie z ideologią emancypacji jest ze wszech miar słuszną, natomiast Trump i jego co rozumniejsi zwolennicy orientują się, że realny izolacjonizm byłby samobójstwem Ameryki. Oznaczałby również podkopanie jej gospodarczej pozycji. Polityka obecnego prezydenta jest od tego daleka, co zresztą wywołuje protesty bardziej zagorzałych rzeczników MAGA oraz polityków, którzy chcą na tym niezadowoleniu zbić interesy.

Ze wspomnianych powodów mało prawdopodobne jest, że USA na stałe odwróci się od Europy, co nie znaczy, że będą dawać dalej się wykorzystywać jako jednostronny gwarant jej bezpieczeństwa i niedbający o swoje gospodarcze interesy pocziwiec.

Przypuszczalnie Ameryka będzie więc chciała przebudować swoje dotąd mało ją satysfakcjonujące stosunki z UE. W tym celu mogłaby oprzeć się na innym układzie niż niemiecko-francuski, który zresztą coraz mocniej się zacina. Blok krajów Europy Środkowo-Wschodniej od Skandynawii do granic Turcji, która mogłaby stanowić jego sojusznika, jawi się jako alternatywa.


Pośród państw tych największy potencjał prezentuje Polska. Naturalnie, aby rozpocząć budowę odmiennego niż dotąd układu w Unii, musielibyśmy mieć inne władze, bo te, które rządzą dziś, ustawiają się w roli klienta Berlina. Polacy musieliby zrozumieć, że wybór mają między stronnictwem, które pragnie zapewnić Polsce podmiotową rolę, a namiestnikami europejskiego establishmentu, którzy za uzyskanie lukratywnych stanowisk w Europie, sprowadzają nas do roli prowincji berlińsko-brukselskiego imperium.


Sojusz z USA nie oznacza zgody na każdy kaprys Trumpa. Podmiotowa polityka to każdorazowy wybór między optymalnymi dla nas opcjami. Dlatego powinniśmy znaleźć się w Genewie (a nie w Luandzie), aby tam twardo występować przeciw próbom osłabienia Ukrainy, co nie znaczy, że w większości spraw nie będziemy działać wspólnie z Ameryką.


Próba wystąpienia w roli bieguna integrującego państwa zagrożone przez Rosję wymaga elementarnej poziomu zgody narodowej. Dlatego tym bardziej należy odsunąć od władzy ludzi, którzy w obliczu fundamentalnego niebezpieczeństwa gros sił państwa poświęcają na niszczenie swoich przeciwników politycznych, a w efekcie dewastują demokrację, prawo i pozbawiają państwo siły. **▲**




Sygnalista nadaje


 Kolejny spektakularny sukces premiera **Donalda Franciszka Tuska!** Tym razem na wyjeździe, więc liczy się podwójnie. Co prawda Niemcy nie zgadzają się na wypłatę reparacji i innych odszkodowań za wojnę, ale za to my je zapłacimy. Trochę szkoda, że nie Niemcom, bo – jak wiadomo – to oni straszliwie wycierpieli od nazistów. Pieniądże dostaną jacyś staruszkowie z Polski. To znaczy chyba dostaną, bo premier powiedział, że to rozważy. A u niego słowa cenniejsze od pieniędzy. Zresztą poczekajmy jeszcze trochę, bo staruszkowie szybko odchodzą, więc nie spieszymy się, aby ich finansować. Jest przecież ryzyko, że jeszcze wpłacą te pieniądze na Radio Maryja. Tak czy owak sukces! „Gazeta Wyborcza” opisywała, że postawą naszego premiera Niemcy byli zszokowani, wzruszeni, płakali i rzucali się sobie w ramiona. Alle zusammen. Byli wstrząśnięci, a może nawet zmieszani. Bo przecież wcześniej w ogóle nic nie wiedzieli o tych staruszkach.

 No bo przecież nie ma żadnego dowodu, że kanclerz Merz wiedział o II wojnie światowej. Nie ma na to dowodu. Jest nagroda dla człowieka, który wskaże cię dowodu, że Merz wiedział. Po prostu nie wiedział, proszę sobie to wyobrazić! Wiedział albo nie wiedział – ale istnieje ogromna możliwość, że nie wiedział.

 Skandal! Hańba! Szok i niedowierzanie! Ten Nawrocki zawetował ustawę „Mieszkanie dla psa”. Dzięki niej pieski w kryzysie łańcuchowości miały uzyskać nowoczesne i wygodne eurokojce. 20 m² na jed-

nego dużego pieska. Ale tylko na wsi, bo w miastach pieski mieszkają w blokach, a tam nie ma tak dużych mieszkań. Poza tym ustawa o odpowiedniej powierzchni życiowej dotyczy osób psich, a nie człowieczych. Bez sensu by było uchylać taką ustawę, bo byłby to czysty socjal, demagogia i populizm. Czyli to wszystko, co rozlicza Polska Uśmiechnięta. A ludzie w Ten Kraju i bez tego są ogromnie roszczeniowi.

 Niech Barbra Streisand uczy się od najlepszych. Czyli naszych czystych jak woda gwiazd odzyskanej i nieskończenie likwidowanej TVP. Miażdżące zwycięstwo Doroty Wysockiej-Schnepf (dawniej Sznepf). Sąd stanowczo zakazał nazywania ją „arcykapłanką propagandy” i kojarzenia jej z obławą augustowską. Na razie zakaz dotyczy tylko dwóch osób – Stanowskiego i Mazurka. Można jednak się spodziewać, że po każdym następnym posiedzeniu sądu zostaną nim objęte kolejne dwie osoby. Może to potrwać długo – do chwili, gdy cała 37-mln populacja Polski usłyszy podobne orzeczenia, ale dzięki decyzji sądu cały kraj już wie, że Doroty Wysockiej-Schnepf nie wolno nazywać „arcykapłanką propagandy”. I chyba o to jej chodziło. Powtórzmy raz jeszcze: nie wolno nazywać Doroty Wysockiej Schnepf „arcykapłanką propagandy” ani nie wolno jej wiązać z obławą augustowską!

 Osoby niepojmujące najprostszyc rzeczy podniosły wrzawę, że powyższy wyrok może być nieważny, gdyż został wydany przez neo-

sędzię. Ewa Bres – tak brzmi jej imię i nazwisko. Ile razy można tłumaczyć, że to nie jest to samo i że nie można porównywać? Tak, to prawda, że sędzia Ewa została awansowana przez KRS, która nie jest KRS. Ale potem została też nominowana przez ministra, który jest ministrem. Czyli Waldka Żurka (dla przyjaciół Drwal). Swoją nie-naganną, praworządną postawą (tak jak my rozumiemy praworządność) dowiodła, że została właściwie obsadzona w składzie sądu. Może z zewnątrz trochę wygląda na neosędzię, ale w środku jest całkowicie paleo, o czym zawsze marzyła. I nie chodzi tylko o botoks na twarzy, ale o właściwie wydawane wyroki.

🔊 No nareszcie! Koniec wysiadywania roszczeniowych pacjentów w poczekalniach przychodni i zawyzania długości życia na emeryturze. Osoba ministerska do spraw zdrowia – ta dwojga nieznanych nazwisk – opracowała znakomity plan. Po co wyrzucać pieniądze na leczenie ludzi, którzy i tak kiedyś umrą? Lepiej oddać je **Andrzejowi Domańskiemu**. On i tak nikomu innemu ich nie da. 14 mld zł – tyle zaoszczędziła na leczeniu ludzi, z których nie ma żadnego pożytku, osoba ministerska dwojga nieznanych nazwisk. Andrzej schowa te 14 mld do słynnej dziury Domańskiego, a jak coś już tam wpadnie, to nikt tego więcej nie wyciągnie.

🔊 Słuszną linię ma nasza władza. W 100 konkretach na 100 dni Platforma Obywatelska nie na darmo obiecywała zniesienie wszystkich limitów leczenia. No tak, obiecywała w czasie kampanii wyborczej. A teraz nie ma żadnej kampanii, więc nie obiecuje. Poza tym już nie ma PO – jest Koalicja Obywatelska, a ona nie obiecywała. Będzie obiecywała dopiero przed następnymi wyborami. A przy okazji warto pochwalić inny pomysł osoby ministerskiej dwojga nieznanych nazwisk. W ramach rozliczania pisiorów chce skasować program wprowadzony w czasie okupacji PiS: „Dobry posiłek” w szpitalach. Niesłychane, że pisiory wpadły na coś takiego. Dobre posiłki są w dobrych restauracjach. Takich, do których nie chodzą pińcsetplisy i inny roszczeniowi motłoch.

🔊 Jeszcze jeden dobry pomysł z Ministerstwa Zdrowia. Koniec szastania pieniędzmi na bezpłatne leki dla emerytów. Oni je zażywają, a potem dłużej żyją. A przecież wszyscy wiemy, ile szkód czyni wiek emerytalny. W związku z tym ogłaszamy apel do tych wszystkich emerytów, którzy popierają stronę demokratyczną, ze szczególnym uwzględnieniem byłych funkcjonariuszy SB:



„Emeryci! Popierajcie koalicję czynnym, umierając przed terminem!”

🔊 Dwie trzecie nauczycieli do wywalenia z roboty. Sabotują wielki wysiłek intelektualny osób tak mądrych jak osoba ministerska **Baśka Nowacka** i jej osoba zastępcza Staszek Lubnauer. Ci nic nieogarniający nauczyciele twierdzą, że po zlikwidowaniu przez Baśkę prac domowych uczniowie stali się bardziej durnowaci. No i gdzie wady? Nie było komunikatu, że dzięki zniesieniu prac domowych bachory będą mądrzejsze. Była za to jasna deklaracja, że będzie im łatwiej. I że będą mogli rozwijać swoje pasje. Zwłaszcza te, które lepiej przygotowują je do przyszłego życia zawodowego – np. zbierania szparagów w miejscowości Beelitz koło Berlina, a może nawet prestiżowej pracy przy taśmie w montowni pralek lub innego sprzętu AGD.

🔊 Wicepremier ds. zamykania internetów Krzysiek Gawkowski złożył ważną deklarację: „Państwo musi nałożyć chomąto na głupotę”. Brzmi obiecująco, ale mamy wątpliwości. Po pierwsze, czy ta deklaracja nie dyskryminuje osób końskich, w tym zasłużonego mecenasa Romana? Po drugie, widzimy w tym niepotrzebny atak na osoby polityczne, takie jak Leszczyzna Izabela, Nowacka Baśka, Żurek Waldek, rzecznik rządu Szlępka Adam oraz wiele innych wybitnych postaci strony demokratycznej. Zresztą, drogi Krzysku, czy jesteś pewien, że twój pomysł nie zadziała jak bumerang?

🔊 Haniebny atak na **Pawła Wrońskiego**. Kiedyś to pierwsze (choć może nie najostrzejsze) pióro „Gazety Wyborczej”, dzisiaj – wybitny współpracownik Metternicha naszych czasów, czyli Radka Sikorskiego. Paweł miał jechać jako ambasador Ten Kraju do Bułgarii. Przyjemnego, ciepłego kraju z ładnymi plażami. Wygląda na to, że na drodze do upragnionego szczęścia znów stanął demoniczny wetomat Nawrocki i nie zgodził się na podpisanie nominacji. Tak to uzasadnił siepacz Nawrockiego, niejaki Przydacz: „Często są to ludzie bez najmniejszej kompetencji, jak w ostatnim czasie trafiła do nas kandydatura człowieka proponowanego do ambasady w Bułgarii, nieznającego języka bułgarskiego nawet na minimalnym poziomie, a język angielski zna ten kandydat ministra Sikorskiego na poziomie maturzysty”. Murem za Pawłem! Bo to bardzo niesprawiedliwe, że Paweł liżał, liżał i nie doliżał. Wierzymy, Pawle, że w końcu doliżesz! Bo jak nie, to będziesz musiał wracać do „Wyborczej” i dorabiać na Uberze albo w McDonald's.

Kamieni kupa



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: To ile tego będzie?

Merz: Ja mam wiedzieć? Rodacy ci podpowiedzą.

Tusk: A kogo pytam?

Merz: Wolne żarty. Na Niemca to trzeba mieć papiren i dzieła sztuki w piwnicy.

Tusk: Ja?

Merz: Ja.

Tusk: Ja mam.

Merz: Co konkretnie?

Tusk: To znaczy mogę mieć. Były wiceminister Gdula mówił, że ma poniemieckie łyżeczki. Znowu dam mu coś w rządzie, to będą odzyskane.

Merz: Nie rozumiesz. Niemcem trzeba się urodzić. To jest jednak trochę inna rasa.

Tusk: Panie...

Merz: Nie o to chodzi. Mnie wystarczy, jak okroicie do minimum CPK i kupicie od nas pociągi. Niemiec płakał, jak sprzedawał, he, he... Sam rozumiesz, 60 proc. ceł na wasze cargo piechotą nie chodzi.

Tusk: Panie Merz...

Merz: Wolałbym „kanclerzu”.

Tusk: Mein...

Merz: Mówilem, że aż tak nie trzeba! Przy okazji: wyrazy współczucia z okazji przesilenia zimowego. Czytałem u was na Der Onet, że dziadek miał smutne święta...

Tusk: Który? Mój?

Merz: Mój akurat walczył z nazizmem.

Tusk: To ile damy?

Merz: Ofiarom?

Tusk: Ale tylko żyjącym. I tak 10 tys. zeszło przez te dwa lata od waszej obietnicy.

Merz: Nie naszej, tylko Olafa Scholza. U nas nie ma ciągłości władzy. Oczywiście przez nazistów.

Tusk: To ile?

Merz: Zależy, czy będziecie płacić w swoim imieniu, czy w naszym. Jak w naszym, to jednak przelew powinien być w euro.

Tusk: Ale ile?

Merz: Najlepiej zapłaćcie sami za siebie. Społeczeństwo potraktuje to jako odkupienie waszych win.

Tusk: Ale to są... To były... wasze... To znaczy nie wasze osobiście czy nawet nie obecnie żyjących, no chyba że w Argentynie... Ale Maradona był genialny, co? A Rummenigge? Pamięta kanclerz, jak on się kiwał? Dobra, to my zapłacimy...

Merz: Ale ile?

Tusk: Domański mi wyliczy. Miało być na 100 konkretów, ale trudno. Nawet Czarzasty, nasza nowa osoba numer dwa w państwie, tak mówi...

Merz: To już nie macie tego chłopca, co marzył o takim przywództwie w Polsce, jak u nas była Angela, niech będzie przeklęta, Merkel?

Tusk: Niech będzie.

Merz: Pełnym zdaniem.

Tusk: Przeklęta. Niech będzie.

Merz: A ty jej dziękowałeś za wszystko!

Tusk: Nie za wszystko. To znaczy za wszystko, ale jednak w pewnych granicach.

Merz: Sikorski chciał się przyłączyć do Nord Stream 2.

Tusk: No tak, ale...

Merz:...ale rączki, rączki, Tusk. Dała ci order za wzorową postawę po Smoleńsku?

Tusk: Po czym?

Merz: Po waszej narodowej tragedii.

Tusk: Nie kojarzę. He, he, żartowałem. Ja mam już ze trzy wasze ordery.

Merz: To teraz dostaniesz za dobroczynność. Niemiecki Symbol Dobra Aryjskiej Pomocy za wsparcie ofiar

reżimów. Skrót chybiony, ale to będzie piękny krzyż...

Tusk: Taki żelazny?

Merz: Nie musisz kończyć każdej swojej myśli. Niektórych nie powinieneś nawet rozpoczynać.

Tusk: Ja, ja wiem. Ale mnie czasem tak korci, żeby im wszystko wygarnąć. Tak, miałem dziadka w Wehrmachcie, ale on nie był fajnym dziadkiem, bo najfajniejszym jestem ja! Ja, Niemiec, jak przypomniałem „Koniowi”!

Merz: Rozmawiasz z koniem?

Tusk: Oczywiście. To jest adwokat moich dzieci i autorki książki „Między nami”. Między nami – straszna pozycja...

Merz: W jakim sensie?

Tusk: Książkowym.

Merz: A jak się ma u was wdrażanie europejskiego podręcznika historii?

Tusk: Dobrze. Bardzo dobrze. Na razie zakazaliśmy prac domowych, bo dzieci z dziadkami robiły karmniki. A dziadkowie to jeszcze pamiętają wojnę, więc rozmowy bywały niewłaściwe. Do tego edukacja seksualna...

Merz: Zdrowotna.

Tusk: Ojej, kanclerz pamięta lepiej niż ja.


Merz: Skąd zdziwienie? Wiek emerytalny też Angela kazała ci podwyższyć.

Tusk: Żeby pracowali, a nie szukali papierów po ofiarach. Pytał mnie kiedyś facet na spotkaniu, kiedy reparacje, bo mu rodziców Niemcy, to znaczy naziści, wymordowali. To go pytam: „A z jakiej paki? Panu się raczej nie należy”. Ale miał minę...

Merz: Bardzo dobrze. Jakby nie słuchali, krzyknij „Halt!” albo „Raus!”.

Tusk: A czy mogę to wykorzystać w kampanii?

Merz: Ale co? Że ci ręce drżą, jak mówisz o reparacjach?

Tusk: Nie. Że coś odzyskałem, a konkretnie 70 papierów, i obietnicę, że to nie koniec. Marzy mi się taki spot wyborczy: we dwóch odsłaniamy pomnik. Wielki jak ten kamień w Berlinie. Na cokole leży kupka, konkretnie pieniędzy. Niech to będzie nawet 10 tys. euro, co tam, i tak na nic nie mamy. Na tej kupce stoję ja albo dziadek, bo życiowo jesteście podobni jak dwie krople krwi – w końcu jego zmusili, ja musiałem. A na cokole cytat z papieża Polaka: „Každy ma swoje Westerplatte”... 

„Intelektualna prowokacja” Tuska

To klasyczna technika negocjacyjna znana z podręczników – tych, które zaczynają się słowami: „Nie rób tego nigdy”

Kiedy premier Donald Tusk ogłosił w Berlinie, że jeśli Niemcy szybko nie wypłacą odszkodowań wojennych, to Polska sama je sobie wypłaci, wielu Polaków przez chwilę sprawdziło, czy przypadkiem telewizor nie został przełączony na kanał satyryczny lub czy to nie deep fake. Bo jednak trudno znaleźć bardziej niezwykłą strategię negocjacyjną niż ta, w której strona poszkodowana grozi, że sama ureguluje swoje własne roszczenia. To tak, jakby właściciel sklepu powiedział złodziejowi: „Oddaj pieniądze albo sam sobie zapłacę i będziesz musiał żyć z wyrzutami sumienia”.

Ale od czego są lojalni ministrowie, gotowi wyjaśnić każde potknięcie jako blysk genialnej myśli? Wicepremier Kosiniak-Kamysz natychmiast ruszył z odsieczą, ogłaszając, że to nie żadne nieporozumienie, tylko... „intelektualna prowokacja”. Brzmi poważnie. Do tego stopnia, że człowiek się zastanawia, czy aby na pewno zrozumiał. Ale spokojnie – wicepremier wyjaśnia: trzeba „umieć odczytać reakcję, którą ma wywołać prowokacja”. A więc to był test! Kto nie zrozumiał, ten nie zdał – pewnie jest za mało „intelektualny”.

Rzecz jasna, test jest prosty: Berlin miał się poczuć tak zawstydzony, że pobiegnie z otwartym portfelem, krzycząc: „Przepraszamy! Zobaczyliśmy, jak bardzo chcecie sobie sami zapłacić i nie możemy na to pozwolić!”. To klasyczna technika negocjacyjna znana z najlepszych podręczników – tych, które zaczynają się słowami: „Nie rób tego nigdy”.

Kiedy jednak nawet „intelektualna prowokacja” nie wystarczy, do gry wchodzi wicepremier Gawkowski, który tłumaczy, że szef rządu po prostu „pogroził Niemcom palcem”. Doprawdy, Berlin musi być wstrząśnięty. Gdyby palec był wskazujący, to pół biedy, ale jeśli, nie daj Boże, grożący? To już dyplomatyczne trzęsienie ziemi. Kanclerz Merz z pewnością budzi się w nocy złany potem, szepcząc: „Ten palec... Ten palec!”.

A gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, wkracza marszałek Czarzasty i wyjaśnia wszystko jeszcze prościej: premier „zawstydził Niemców”. Tak po prostu. Bez prowokacji, bez palca, bez skomplikowanych teorii – po prostu zadziwiająco skuteczna metoda: powiedzieć coś absurdalnego, żeby druga strona poczuła się niezręcznie.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że oglądamy polityczne przedstawienie, w którym każdy kolejny polityk tłumaczy wypowiedź premiera bardziej fantazyjnie niż poprzedni. Jeden widzi w niej prowokację, drugi – pogroźkę, trzeci – moralne zawstydzenie. Jeszcze chwila, a ktoś ogłosi, że była to metafora, haiku albo alegoria losu narodu.

A wszystko to w sprawie tak poważnej, jak zadośćuczynienia dla żyjących jeszcze ofiar wojny – ludzi, których życie nie powinno zależeć od tego, czy w danej chwili rząd postanowi błysnąć „sprytną strategią”. Dlatego trudno dziwić się oburzeniu: jakim cudem naród ofiar ma sam sobie wypłacać odszkodowania?

Jeśli to ma być nowa szkoła negocjacji, to niedługo usłyszymy, że aby wynegocjować od UE większe fundusze, rząd ogłosi, że sam je sobie przekaże, a jeśli Unia nadal będzie się ościagać, to Polska weźmie kredyt, żeby pokazać Unii, jak bardzo powinna nam płacić.

A na koniec ktoś znów wytłumaczy to jako „prowokację intelektualną”. Bo w sumie co w polityce jest łatwiejsze niż ogłoszenie, że wszystko, co nie wyszło, było tak naprawdę genialnym planem?

Prawda jest brutalnie prosta: absurdalne komunikaty z Warszawy nie boją Berlina. Niemcy nie są ani zawstydzeni, ani oniemiałymi. Wręcz przeciwnie – Niemcom w to graj. Każdy rok zwłoki działa na korzyść strony, która nie musi płacić. Liczba żyjących ofiar, którym odszkodowania rzeczywiście się należą, maleje nieubłaganie z każdym miesiącem. Czas robi za Niemców robotę lepiej niż jakakolwiek dyplomacja.

Dorota Losiewicz





 **Szwecja**

Gangsterzy na zasiłku

Nils Öberg, dyrektor generalny Szwedzkiego Instytutu Ubezpieczeń Społecznych, zdecydował się na bezprecedensowy krok – opublikował komunikat, aby poinformować społeczeństwo o zaskakujących wynikach badania, które podległa mu instytucja przeprowadziła wraz ze szwedzką policją kryminalną.

Okazuje się, że co najmniej 4 tys. członków gangów i organizacji przestępczych żyje oficjalnie z zasiłków – chorobowego lub wsparcia (który jest przeznaczony dla ludzi szukających pracy). W zeszłym roku Szwecja wydała na finansowanie gangsterów nie mniej niż 3,6 mld koron (1,3 mld zł). Wyludzenie pieniędzy przez przestępców to tylko jeden z wielu problemów szwedzkiego systemu opieki społecznej, która – według szacunków – traci corocznie w związku z nienależnymi świadczeniami od 15 do 20 mld koron i jest z tego powodu coraz mniej wydolna.

Według policji „społeczność” gangów w Szwecji to dziś 67,5 tys. osób (na 10 mln obywateli), z których 17,5 tys. jest uznawanych za aktywnych członków organizacji przestępczych. Przedstawiają oni fałszywe zaświadczenia, aby żyć z zasiłku, co nie przeszkadza im w kontynuowaniu przestępczej aktywności. Szwedzkie media opisywały już przypadki gangsterów, którzy zajmując się dystrybucją narkotyków, byli w stanie kupować sobie drogie samochody, choć oficjalnie byli klientami opieki społecznej.

Od ubiegłorocznego badania przeprowadzonego przez policję liczba osób powiązanych z gangami wzrosła w Szwecji o ponad 5 tys., co zdaniem socjaldemokratycznej opozycji świadczy o niepowodzeniu rządu w walce z zorganizowaną przestępczością. Wskaźnik ciężkich przestępstw, w tym zamachów bombowych i zabójstw, jest dziś w Szwecji na poziomie Anglii i Walii razem wziętych – mimo czterokrotnie mniejszej liczby mieszkańców. Gangi opanowują kolejne obszary szwedzkiej gospodarki. Według Rikarda Jermstena, dyrektora generalnego Szwedzkiego Urzędu ds. Przestępczości Gospodarczej, wartość przestępczej gospodarki przekracza obecnie 150 mld koron szwedzkich (13,5 mld euro) rocznie i jest uważana za zagrożenie systemowe.

Z badań przeprowadzonych przez Szwedzką Radę Narodową ds. Zapobiegania Przestępczości (Brå) wynika, że 54 proc. ankietowanych Szwedów jest zaniepokojonych skalą przestępczości zorganizowanej w ich kraju. Nic dziwnego.

Marek Budzisz

To idzie islam

 **Francja**

Francuski Instytut Opinii Publicznej (IFOP) przeprowadził badania na temat poglądów młodzieży muzułmańskiej w tym kraju w wieku 15–24 lat. Ponieważ ten sam ośrodek wykonał analogiczny sondaż w 1989 r., można było porównać zmianę trendów, jaka nastąpiła w ciągu ostatnich 36 lat.

W tym czasie frekwencja młodzieży na modlitwach w meczetach wzrosła z 7 do 40 proc. Wówczas Ramadanu przestrzegano 51 proc. młodych ludzi, dzisiaj – 83 proc. Wtedy tylko 16 proc. muzułmańskich dziewcząt przed 25. rokiem życia nosiło hidżab, teraz jest ich 45 proc. (dla porównania wśród kobiet po pięćdziesiątce ten odsetek wynosi obecnie zaledwie 15 proc.). W najmłodszych rocznikach 45 proc. mężczyzn i 57 proc. kobiet stanowczo odrzuca możliwość małżeństw mieszanych z wyznawcami innych religii. W 1989 r. 41 proc. muzułmańskiej młodzieży uważało, że islam powinien się unowocześnić, w 2025 r. myśli tak już tylko 12 proc. Poza tym 57 proc. ankietowanych uznaje zasady szariatu za ważniejsze od świeckiego prawa państwowego, a 42 proc. deklaruje swoją sympatię dla radykalnych nurtów islamistycznych.

Jak mówi jeden z socjologów z IFOP: „To badanie przedstawia profil populacji muzułmańskiej zaangażowanej w proces reislamizacji, bazującej na bardziej rygorystycznych normach religijnych i coraz bardziej pociąganej przez projekt polityczny inspirowany islamizmem”. We Francji rośnie więc cała generacja wyznawców Allaha, dla których religia jest już nie tylko dziedzictwem rodzinnym, lecz także źródłem dumy, kodeksem postępowania i podstawą własnej tożsamości (także politycznej), alternatywnej wobec świata zachodniego.

W 1989 r. badacze byli przekonani, że proces sekularyzacji islamu w zlaicyzowanym środowisku kulturowym jest nieuchronny. Stało się jednak odwrotnie – muzułmanie nie odwrócili się od religii i są dziś po katolikach drugim najliczniejszym wyznaniem w kraju. To oznacza głęboką zmianę cywilizacyjną, ze skutków której nie wszyscy zdają sobie dziś jeszcze sprawę.

Grzegorz Górny

Sahara bliżej pokoju

Po 50 latach sporów dyplomatycznych i starć zbrojnych Maroko uzyskało wsparcie dla swoich roszczeń wobec Sahary Zachodniej w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Być może dzięki temu uda się zakończyć jeden z najdłuższych konfliktów we współczesnym świecie.

Ostatniego dnia października w Radzie Bezpieczeństwa ONZ odbyło się głosowanie nad rezolucją dotyczącą przyszłości Sahary Zachodniej. Dokument zakłada, że najlepszym rozwiązaniem byłoby utworzenie na spornym terytorium autonomii pod rządami Maroka. Nie wspomina się przy tym o suwerenności Sahary Zachodniej, co postulował niepodległościowy Front Polisario oraz jego sojusznicy z Algierii.

Sahara Zachodnia to bogaty w fosforany pas pustyni nad Atlantykiem, który do 1975 r. znajdował się pod rządami Hiszpanii. Po wycofaniu stamtąd wojsk hiszpańskich Sahara Zachodnia

została zajęta przez sąsiednie Maroko, które uważa ten obszar za część swojego terytorium. Władza Maroka nie została jednak uznana przez społeczność międzynarodową, ponieważ roszczenia do spornego obszaru zgłasza lokalny Front Polisario, który działa z obozów dla uchodźców w południowo-zachodniej Algierii i twierdzi, że reprezentuje rdzenną ludność Sahary.

Maroko kontroluje niemal całą Saharę Zachodnią z wyjątkiem pasa znanego jako „strefa wolna”, położonego wzdłuż granicy z Mauretanią i oddzielonego od reszty kraju usypanym przez Marokańczyków wałem z piasku. Walki zbrojne, określane przez ONZ jako „działania wojenne o niskim natężeniu”, trwały tam do 1991 r. Front Polisario podpisał wtedy zawieszenie broni z Marokiem, które miało być wstępem do referendum w sprawie samostanowienia. Ostatecznie do głosowania nie doszło i konflikt tlił

się dalej. W tym samym czasie Maroko inwestowało w sporne terytorium, budując głębokowodny port i autostradę. Zachęcano także Marokańczyków do osiedlania się w Saharze Zachodniej, dotując ceny żywności i energii.

Front Polisario wycofał się z zawieszenia broni w 2020 r. po starciach w pobliżu drogi, którą Maroko budowało do Mauretanii. Teraz również jego dowódcy ogłaszają, że nie przyłączą się do żadnego procesu mającego na celu „legitymizację nielegalnej okupacji wojskowej Maroka”. Nadal mogą też liczyć na pomoc Algierii, która walczy z Marokiem o prymat w Afryce Północno-Zachodniej.

Mimo to Maroko osiągnęło duży sukces na drodze do zalegalizowania swojej władzy nad Saharą Zachodnią. Ma przy tym wsparcie Unii Europejskiej, Stanów Zjednoczonych i wielu państw afrykańskich. Nawet jeśli konflikt jeszcze potrwa, to jego rezultat wydaje się przesądzony.

Konrad Kołodziejcki

Kryzys demograficzny dotyka nie tylko świata zachodniego. Od kilku lat ze spadającą dzietnością boryka się Turcja, co wywołuje duży niepokój władz tego kraju. „Stoimy w obliczu katastrofy. Nikt, komu zależy na przyszłości tego kraju, nie może pozostać obojętny wobec tej rzeczywistości” – mówił prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan.

Jak wynika z najnowszych danych, ok. połowa tureckich rodzin nie posiada dziś dzieci. Wskaźnik dzietności za 2024 r. zamknął się na poziomie 1,48 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym, a więc znacznie poniżej poziomu 2,1, potrzebnego do zapewnienia zastępowalności pokoleń. Choć wskaźnik ten jest lepszy niż w krajach doświadczających katastrofalnych spadków populacji, takich jak Korea Południowa (0,79) i Japonia (1,20), jest jednak niższy od tego notowanego w USA, który wynosi 1,60.

Szczególnie widoczny jest on nie tylko wśród kobiet pracujących zawodowo, lecz także wśród tych, które nie są nigdzie zatrudnione. Podczas swojego wystąpienia Erdoğan domagał

Zagrożona przyszłość narodu

● Turcja

się więc, aby mężczyźni wspierali kobiety i zachęcali je do posiadania większej liczby dzieci. Apelowal do „wszystkich ojców”, żeby bardziej angażowali się w życie rodzinne, pomagali żonom i spędzali więcej czasu z dziećmi. Odwoływał się do patriotycznego i islamskiego poczucia obowiązku. Wielokrotnie potępiał też stosowanie antykoncepcji oraz „imperializm kulturowy”, przejawiający się w promocji homoseksualizmu oraz ideologii LGBT+, zagrażających tureckiej kulturze.

Co ciekawe, granica proggu zastępowalności pokoleń została w Turcji przekroczona w 2017 r., a więc rok po tym, jak Erdoğan rozpoczął masowe represje wobec opozycji politycznej po nieudanym zamachu stanu z lipca 2016 r. Nie ma jednak wątpliwości, że spadek populacji jest znakiem czasu symbolizowanym przez egoizm oraz konsumpcyjny styl życia podporządkowany karierze i zarabianiu pieniędzy. Turcja nie jest tutaj żadnym wyjątkiem.

Maciej Walaszczyk



Co dostaliście od Mikołaja?

Kolejny hit z worka świętego: Unia Europejska wciska nam obowiązek ocieplania budynków, bo stare chałupy rzekomo trują atmosferę

Drodzy czytelnicy, minęły mikołajki – to święto, kiedy dzieciaki czekają na słodycze, a dorośli na drobne upominki. Pamiętacie? 6 grudnia, czerwony płaszcz, broda, worek pełen radości. Cóż, w tym roku Mikołaj musiał mieć kryzys tożsamości, bo zamiast czekoladek czy skarpet zrzucił na nas paczkę z Brukseli. I to nie była jakąś – pełną unijnych regulacji klimatycznych. Ho, ho, ho! A raczej: drogo, drogo, drogo!

Zacznijmy od głównego „prezentu”: ETS2, czyli rozszerzony system handlu emisjami. Brzmi nudno? To tylko pozory. Już za chwilę ten cudowny mechanizm obejmie ogrzewanie domów i transport. Kowalski, który grzeje węglem czy gazem, dostanie rachunek za emisje CO₂. Jakby mało było inflacji! Mikołaj z Unii Europejskiej szepcze: „Płać więcej za ciepło, bo planeta płacze”. A my płaczymy nad portfelem. Wyobraźcie sobie: siedzicie przy kominku, a tu ding! – dodatkowa opłata za dym. To nie bajka – to unijna rzeczywistość. Ironicznie ten „dar” ma nas zmusić do oszczędzania, więc najpierw wyssie wam oszczędności.

A co z termomodernizacją? To kolejny hit z worka świętego. Unia wciska nam obowiązek ocieplania budynków, bo stare chałupy rzekomo trują atmosferę. Kowalski, właściciel mieszkania w bloku z lat 70., musi wydać dziesiątki tysięcy na styropian, okna i izolację. „Prezent” obowiązkowy, bo inaczej kary. Ha! Jakby Polak nie wiedział, co to zima. Teraz Bruksela nam dyktuje, ile wełny mi-

neralnej na dach. A ceny materiałów? Wystrzeliły w kosmos dzięki unijnym normom. Mikołaj śmieje się w kulak: „Ocieplajcie się, frajerzy, a my wam podniesiemy ceny energii, żebyście mieli na co narzekać”.

Nie zapominajmy o zakazie samochodów spalinowych. Od 2035 r. – bum! – koniec z dieslami i benzyniakami. Kowalski, który marzy o używanym golfie, dostanie w twarz – kup elektryka za 100 tys. albo chodź pieszo. „Ekologicznie!” – krzyczą eurokraci. A infrastruktura? Ładowarki co 100 km, prąd droższy niż paliwo. To nie prezent – to pułapka. Wyobraźcie sobie rodzinny wyjazd na święta. Bateria pada na autostradzie, a wy modlicie się o działające gniazdko. W deszczu. Albo w zamieci. Mikołaj z Brukseli chichocze: „Bądźcie zieloni, nawet jeśli zzieleniejecie z wściekłości”.

I wisienka na torcie – redukcja emisji o 90 proc. do 2040 r. Ambitnie? Raczej absurdalnie. Dla Polski, gdzie węgiel to podstawa, oznacza to zamknięcie kopalń, droższą energię i masowe zwolnienia. Kowalski zapłaci wyższymi rachunkami za prąd, gaz, benzynę – za wszystko. „Prezent” dla klimatu to prawy sierpowy dla kieszeni. Brukselcy urzędnicy zachwyceni: „Ratujemy planetę!”. A my prosimy na święta: „Ratujcie nas przed wami!”.

No i co, drodzy rodacy? Dostaliście od Mikołaja drożyznę w eleganckim opakowaniu zielonej polityki. Ceny w górę, wolność w dół. A przed nami święta Bożego Narodzenia – pewnie Unia Europejska sypnie jeszcze garścią „prezentów”. Może zakaz choinek z plastiku albo opłatę za świąteczne oświetlenie? Ho, ho, ho! – oby nie! A na koniec pytam was: kto w Brukseli gra rolę Grincha?

Daniel Obajtek



Geopolityczne roszady

Wielkość i skala nadają Indiom – obecnie najludniejszemu państwu świata – wagę, której trudno dorównać. Państwo, w którym mediana wieku wynosi 27 lat, a liczba ludności w wieku produkcyjnym to ok. 900 mln (ponad 1,4 mld mieszkańców), stanowi perspektywiczny rynek. Dysponuje ogromną liczbą wykwalifikowanych pracowników, zwłaszcza w branży technologicznej i inżynierijnej. Rozwijająca się infrastruktura Indii, rosnący rynek krajowy oraz reformy mające na celu uproszczenie działalności gospodarczej przyczyniają się do ich atrakcyjności.

Indie znajdują się w kluczowym miejscu między Bliskim Wschodem a Azją Południowo-Wschodnią. Dzięki temu firmy mogą łatwiej i taniej wysyłać stamtąd towary. Odzwierciedla to globalny trend dywersyfikacji łańcuchów dostaw i wykorzystania potencjału produkcyjnego tego państwa w celu zaspokojenia rosnącego popytu i ograniczenia ryzyka. W 2020 r. w związku z konfliktem na granicy Hindusi odeszli od polityki zbliżenia z Chińczykami i zwrócili się w stronę USA. W tym samym roku zablokowali 59 chińskich aplikacji, w tym TikToka i WeChata, a następnie ponad 300 kolejnych. Zaostrzyli przepisy dotyczące inwestycji zagranicznych, aby w niektórych przypadkach blokować chiński kapitał.

W latach 2024–2025 Indie odnotowały rekordową wartość inwestycji zagranicznych, wynoszącą 81 mld dol. Międzynarodowe korporacje, w tym Airbus, Microsoft, Apple Inc., Samsung, Amazon czy NTT Data, inwestują w Indiach ze względu na ich rosnące w globalnym krajobrazie gospodarczym znaczenie strategiczne. Według ekspertów już za kilka lat gospodarka tego państwa mogłaby stać się drugą co do wielkości w regionie Azji i Pacyfiku oraz trzecią na świecie.

Indie są członkiem BRICS – organizacji zrzeszającej m.in. Brazylię, Rosję i Chiny, a także QUAD – czterostronnej platformy dialogu o bezpieczeństwie, w której poza USA uczestniczą także Australia i Japonia. Ćwiczenia prowadzone wspólnie przez wymienione państwa doskonałą m.in. zwalczanie okrętów podwodnych. W tym roku Indie wysłały okręty wojenne i przeprowadziły pierwsze wspólne manewry morskie z Filipinami na Morzu Południowochińskim, sygnalizując, że ich morski zasięg rozszerza się na terytorium Chin.

W styczniu br. premier Indii był jednym z pierwszych gości nowo wybranego na urząd prezydenta Donalda Trumpa, który zaproponował Delhi sprzedaż m.in. samolotów F-35. Indie od lat polegają na rosyjskim sprzęcie wojskowym, więc przyjęcie amerykańskiej oferty ustawiłoby je w większej opozycji do Rosji i Chin. Dobra passa została jednak przerwana przez nałożenie przez Trumpa 50-proc. ceł na indyjskie towary, aby wymusić ograniczenie importu z Rosji. Amerykańskie cła doprowadziły do spowolnienia rozwoju produkcji, ale Indie mają nadzieję na podpisanie jeszcze w tym roku ramowej umowy handlowej ze Stanami Zjednoczonymi, która rozwiąże problem taryf z korzyścią dla indyjskich eksporterów. Pogorszenie relacji na linii Waszyngton–Delhi skwapliwie wykorzystaly Chiny, prezentując koncyliacyjną postawę względem Indii.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Skąd się bierze ta rywalizacja? Hinduski potencjał to nie tylko demografia i specjaliści. Indie są drugim najważniejszym producentem węgla na świecie, ale stawiając na rozwój nowoczesnych technologii, potrzebują więcej tego surowca. Na Chiny przypada ok. 60 proc. światowego wydobycia pierwiastków ziem rzadkich i aż 90 proc. przetwórstwa. Indie posiadają piątą co do wielkości złoża pierwiastków ziem rzadkich na świecie i sprawna technologia górnictwa. Delhi podejmuje próbę zbudowania alternatywnego łańcucha dostaw pierwiastków ziem rzadkich niemal od podstaw. Ich pomysł to wart 890 mln dol. program produkcji 6 tys. t magneśmów trwałych z pierwiastków ziem rzadkich rocznie. Przewiduje się, że do 2030 r. globalny rynek magneśmów przekroczy 30 mld dol. W październiku USA i Australia podpisały porozumienie w celu zabezpieczenia wspólnego łańcucha dostaw minerałów krytycznych i pierwiastków ziem rzadkich, inwestując do 8,5 mld dol. w zmniejszenie zależności od Chin. Rywalizacja trwa. Pytanie, kto i czy prześcignie technologiczne możliwości Pekinu. **✓**

REKLAMA

**Radio 106.2
Warszawa
Jutra stacja**

**Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolicę"**

**Weronika Ostrowska i Jarosław Wydra
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00**

63/125/F



Walizka Wojciecha Stanisława Grochowskiego

menedżera kultury, wydawcy, malarza amatora

W tę sentymentalną podróż spakowałem starą, też sentymentalną walizkę, onegdaj własność Artura Rubinsteina: pianisty, chopinisty, polskiego patrioty. Jako Polak jestem polskim patriotą, cenię i uwielbiam to, że również on nim był. A ta walizka objechała z nim cały świat, ma francuską naklejkę rejsu z Nowego Jorku do Paryża z 1 maja 1958 roku – to rok mojego urodzenia. Jestem romantycznym inżynierem, ukończyłem podyplomowo historię, założyłem wydawnictwo książkowe, realizuję pasje artystyczne, sponsorowałem studentów szkół artystycznych (teraz ja szukam sponsorów), organizowałem koncerty patriotyczne, wydarzenia kulturalne, zacząłem pisać artykuły prasowe i książki, wydawać gazetę. Zająłem się upamiętnianiem wielkiego Rubinsteina, organizuję Rubinstein Piano Festival, na którym występują najwięksi pianiści świata. Organizuję koncerty w Polsce, a także w Paryżu, Genewie, Rapperswilu, Brukseli, czy wreszcie w słynnej Carnegie Hall w Nowym Jorku. W walizce są ulotki i katalogi z różnych koncertów. Od 20 lat prowadzę Międzynarodową Fundację Muzyczną im. A. Rubinsteina (zapraszam 18 grudnia do Łodzi na jubileusz). Celem fundacji jest też promocja młodych pianistów. Tym utalentowanym organizuję koncerty w Łodzi, Warszawie, Krakowie i innych miastach, np. powiatowej Rawie Mazowieckiej, skąd pochodzę i gdzie znalazłem wiele związków z Chopinem.

PAPIER-SERVICE

Po „upadku komunizmu” w 1989 r. uruchomiłem w Łodzi taką firmę handlowo-usługową. Przez prawie dwie dekady handlowałem papierem artystycznym, a także produkowałem rolki do kas fiskalnych i faksów, nazwanych od mojego nazwiska GroFax.

WYDAWNICTWO

Zarabianie pieniędzy na sprzedaży papieru było zbyt proste, dlatego postanowiłem wydawać książki. Pierwsze były o Łodzi, z lat 90. Już w Fundacji Kultury i Biznesu publikowałem tytuły historyczne, kulturalne i biznesowe.

W sumie
wydałem
230 książek,
z czego
7 mojego
autorstwa.





W 2010 r. udało mi się przekonać dyrekcję sali do tego projektu – mimo że mnie nie znała i nie słyszała o mieście Łodzi. Od tego czasu zorganizowałam tam kilka koncertów z udziałem wybitnych młodych pianistów.

GEN. WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI

Adiutant Piłsudskiego, żołnierz, poeta, dyplomata, „najbardziej honorowy człowiek w armii”. Przyjaciel m.in. Rubinsteina, Lechonia, gen. MacArthura i innych wybitnych postaci. Do zagadkowej śmierci w 1942 r. w Nowym Jorku jego serce biło dla niepodległej Polski.



„RAWA MAZOWIECKA I ZIEMIA RAWSKA W XX WIEKU”

Ponieważ jestem rawianinem, moim obowiązkiem pozostaje promowanie rodzinnych stron. Kilka lat pisałem monografię o tym pięknym miejscu. Rawa to dawna kasztelania, Księstwo Rawskie, województwo w I RP. Mamy tam zachowane grodzisko Angielska Góra, trwale ruiny zamku, dawne

kolegium jezuickie. Pola Negri miała męża rawianina...

ODZNACZENIA

W 2012 r. Ministerstwo Kultury miło zaskoczyło mnie informacją, że otrzymałem srebrny medal Gloria Artis. Było to już po drugim Festiwalu Rubinsteina, po dużym koncercie w Paryżu i Rapperswilu. Później otrzymałem Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Ucieszył mnie tytuł Rawianina Sukcesu, a także Honorowa Złota Odznaka Księgarzy Polskich.



„KULTURA I BIZNES”

W 2002 r. zacząłem wydawać taki dwumiesięcznik w nakładzie 10 tys. egzemplarzy. Ponieważ jest darmowy, poszukuję reklam, sponsorów, dofinansowania. Z powodu „zbyt patriotycznego” charakteru nie otrzymuję dotacji

z ministerstwa kultury i tytuł pojawia się ostatnio raz na pół roku, a koszty druku i wysyłki gazety, np. do polityków, biznesmenów i instytucji kultury, ponoszę ja.

CARNEGIE HALL

Miałem ambitne marzenie, żeby młodzi polscy pianiści oddawali hołd Arturowi Rubinsteinowi w świątyni kultury, jaką jest Carnegie Hall w Nowym Jorku.



„GRZEGORZ PALKA W SŁUŻBIE ŁODZI I POLSCE”

Był jednym z czterech największych prezydentów w historii Łodzi. Jego erudycja robiła wrażenie nawet na funkcjonariuszach SB podsłuchujących Komisję Krajową „Solidarności”, do prezydium której należał. Zginął tragicznie. W 1998 r. wydałem o nim książkę.

KORESPONDENCJA

Jestem tradycjonalistą i piszę papierowe listy. Mam okazałą kolekcję listów od Szymona Kobylńskiego, który ilustrował wydawane przeze mnie książki o kawalerii konnej. Ostatnio korespondencję z p. Ewą Rubinstein prowadzę za pośrednictwem e-maila.



ALBUM EWY RUBINSTEIN



Album fotograficzny o Łodzi ze 150 zdjęciami autorstwa Ewy Rubinstein. Wydałem go w 1998 r. Podobnie jak książka o Rawie Mazowieckiej i ziemi rawskiej to mój hołd i zobowiązania wobec miejsc ważnych w moim życiu.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Zdrada jest intratnym zajęciem



**Jan
Pietrzak**

Końcówka roku bardzo ciekawa. Niewykluczone, a nawet możliwe jest zawieszenie broni na Ukrainie, co w jakimś stopniu wpłynie na sytuację wielu państw. W realiach krajowych na żadne zawieszenie broni się nie zanosi. Doktryna „demokracji walczącej” działa na całego. Celem walczących demokratów jest uniemożliwienie pracy prezydentowi Nawrockiemu, który zgłasza projekty ustaw korzystne dla Polaków. Jest zwolennikiem pracy organicznej, służącej narodowi, na co nie mogą się zgodzić uczestnicy koalicji „13 grudnia”. Tworząc wspólne listy, zwierając szyki przed wyborami, doskonale wiedzieli, jakiej tradycji mają służyć: tradycji służby sąsiadom. Ci z 1981 r. służyli sąsiadom ze Wschodu, służalcy z 2023 r. – sąsiadom z Zachodu. Skąd taka tendencja u niektórych rodaków?

To proste – doświadczenie pokoleń wykazało, że zdrada jest zajęciem intratnym, niewymagającym wysokich kwalifikacji umysłowych i moralnych. A dla wrogów, którzy przez 200 lat przeciwczyli wszystkie sposoby okradania Polski, w obecnej sytuacji to kwestia kalkulacji. Jeżeli skorumpują odpowiednią liczbę parlamentarzystów oraz magistratów przy zachodniej granicy, tubylcy sami postawią pomniki Bismarckowi, a parę pokoleń później nawet Hitlerowi. Już teraz na wielu portalach internetowych bardzo często emitowane są filmy o Hitlerze, pokazywane kwatery Hitlera, młodość Hitlera, bunkry Hitlera, kobiety Hitlera, rodzina Hitlera... Trwa osvajanie młodych

Polaków z dziedzictwem europejskiej historii w wersji germańskiej.

Na ekrany kin właśnie trafił jakiś film o Goeringu. Ach, jaki z niego dobrotliwy grubasek. Wyrafinowany kolekcjoner sztuki... kradzionej! A w opowieści o Norymbberdze rzadko pada słowo „Niemcy”. Występują pod pseudonimami: naziści i hitlerowcy. Starsze roczniki od dawna są przyzwyczajone do tego oszustwa, natomiast młodsze pobierają lekcje historii zakłamanie. Łatwiej im będzie zostać zdrajcami.

Zdrada jest zajęciem bardzo dochodowym. Dla narodu – stanowi nieszczęście, klęskę, koszmar. Pani ministerka edukacji w publicznym wystąpieniu oświadczyła, że obozy śmierci zbudowali polscy naziści. Co najciekawsze, w dalszym ciągu jest ministerką.

Dziś Polakom można oficjalnie pluć w twarz i dzieci im germańić. „Rota” Marii Konopnickiej nic dla tego rządu nie znaczy. Za wczesnej „komuny” w wojsku śpiewaliśmy „Rotę” na wieczornym apelu, przed capstrzykiem. Takie mamy paradoksy naszej historii.

W ostatnich dniach doszedł jeszcze jeden zaskakujący paradoks. Otóż premier polskiego rządu oświadczył niemieckiemu kanclerzowi w Berlinie, że jeżeli Niemcy nie zechcą wypłacić Polsce wojennych reparacji, to rząd polski wypłaci...! Pomysłowość tego gościa zapiera dech. /

Do Berlina bez złudzeń

Niemieckie media znów próbują zrozumieć, dlaczego stosunki polsko-niemieckie od lat tkwią w miejscu. Padają diagnozy o „braku werwy”, „stagnacji”, a nawet rzekomej wrażliwości Polaków, którzy łatwo psują „dobry nastrój” w relacjach. Jakby to nasza pamięć była problemem, a nie niemiecka niechęć do uznania oczywistości: że dług wobec polskich ofiar nie został spłacony, a próby wpływu na polską politykę nie są przejawem troski, lecz arogancji.

To w tym kontekście należy czytać wizytę Donalda Tuska w Berlinie. Premier zamiast twardo rozmawiać o odpowiedzialności historycznej, wykonał gest skandaliczny. Sam zaproponował zapłacenie odszkodowań, nie podając nawet konkretnej kwoty. Brzmiało to jak zachowanie kelnera, który – widząc, że klient nie zamierza zapłacić – proponuje, że ureguluje rachunek za niego. Tyle że „rachunek” dotyczy polskich ofiar wojny, a nie eleganckiej kolacji. I tu Tusk odsłonił coś jeszcze ważniejszego: niezrozumienie narodu, który reprezentuje.

Różnica zdań z Niemcami nie ogranicza się do historii. To także ich współczesne projekty: pakt migracyjny, klimatyczny, Mercosur czy katastrofalny reset z Rosją. Każdy z nich przy-

niósł Europie realne koszty, choć w Berlinie wciąż udają, że to cena „postępu”. Gdy ktoś zgłasza sprzeciw – jak prezydent Karol Nawrocki – natychmiast zostaje oznaczony jako „antyeuropejczyk”. W praktyce chodzi o to, że pewna grupa polityczno-ideologiczna uzurpuje sobie prawo do definiowania demokracji według własnego widzimisię. Kto nie pasuje do szablonu – ten wróg.

A skoro o kosztach niemieckiej polityki mowa – gdy nastolatki w Afganistanu i Czeczenii planują zamach na jarmark świąteczny, tamtejsze media, podając informację o zagrożeniach radykalnym islamem, ochoczo dodają do tego narrację o równie groźnym „prawicowym ekstremizmie”. Dane temu przeczą, ale doktryna jest jasna: ekstremizm ma tylko jeden odcień – prawicowy. Kolejna to sprawa, gdzie łatwiej niemieckiemu establishmentowi zrzucić winę na polityczną opozycję, niż uderzyć się w piersi i przeprosić najpierw swoich obywateli, a następnie wszystkich Europejczyków. /



**Samuel
Pereira**

Niemcy wiedzą, ile są nam winni

Ostatnie wypowiedzi premiera sugerujące, że to Polska miałaby dziś wypłacać świadczenia żyjącym ofiarom II wojny światowej, brzmią jak ponury żart. Bo jeśli już wracamy do elementarnego porządku moralnego, trzeba powiedzieć jasno: to, co Niemcy ewentualnie będą skłonne zaferować Tuskowi, będzie jedynie ułamkiem, promilem gigantycznych zobowiązań, które mają wobec Polski. I doskonale o tym wiedzą.

Niemcy stać na uregulowanie tych należności. Ich gospodarka – jedna z najpotężniejszych w Europie – mogłaby wypłacić Polsce należne reparacje w systemie ratalnym rozłożonym na 30 czy 40 lat. Tak samo jak przez dekady – według wielu analiz – RFN wpompywała 2 bln euro w odbudowę landów wschodnich po upadku muru berlińskiego. Jeżeli Berlin był w stanie ponieść tamten ciężar, tym bardziej stać go na elementarną, historyczną przyzwoitość wobec Polski.

Tymczasem widzimy dziś ogromną presję Tuska, by ogłosić jakikolwiek sukces.

Jakikolwiek – byle można było wyjść przed kamery i powiedzieć, że „coś się udało”. Tusk wie, że kwestia reparacji ma ponadpartyjne poparcie. Ponad dwie trzecie Polaków uważa, że Polska powinna dochodzić należnych odszkodowań. To nie jest sprawa jednej partii. To kwestia narodowej godności.

Dlatego premier balansuje: z jednej strony chce zachować twarz przed społeczeństwem, z drugiej – nie chce ryzykować partykularnych interesów z Berlinem, poklepywania po plecach, europejskich układzików i wzajemnych przysług.

A przecież rachunek został wystawiony. W moim raporcie jasno wskazałem: Polska domaga się od Niemiec 1,5 bln euro. Berlin wie, ile jest winien. I każda próba załatwienia sprawy po cichu, półśrodkami, zostanie odebrana jako unik przed odpowiedzialnością.

Im szybciej Niemcy to zrozumieją, tym lepiej dla naszych narodów. Prawda, choć bywa niewygodna, zaprocentuje w przyszłości.

Arkadiusz Mularczyk



Zawsze chciałem śpiewać

Z Jaśkiem Piwowarczykiem, zwycięzcą 16. edycji „The Voice of Poland”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

„Panie Janie” brzmi zbyt oficjalnie, sympatycznemu Jaśkowi Piwowarczykowi łatwiej kibicować? To był – poza imponującym głosem – twój sposób na podbicie widowni?

Jaśiek Piwowarczyk: Wszyscy mówią do mnie Jasiek albo Janek. Jan wydaje się zbyt poważny. Nawet jeśli ma 27 lat [uśmiech].

Widzowie zachwycili się wokalnymi możliwościami i pokochali „swojskiego” chłopaka. Skąd? Z Krakowa. Tu urodzony. Krakus z krwi i kości. Myślę, że nawet jeżeli na dłużej zostaną w Warszawie, to i tak kiedyś wrócę do Krakowa.

Podobno szykowałeś się do „The Voice of Poland” od dawna?

Pamiętam, jak z wypiekami na twarzy oglądałem pierwszą edycję (i nie opuściłem żadnej kolejnej). Śpiewałem wtedy w chórze filharmonii. Przez 10 lat to była moja jedyna muzyczna edukacja.

Dopiero gdzieś ok. 16. roku życia zacząłem się kształcić bardziej profesjonalnie.

Myślałeś już wtedy: „Mógłbym stanąć na tej scenie?”

Zawsze chciałem śpiewać, ale nie miałem tej pewności, odwagi. Wybrałem inną drogę. Poszedłem na akademię muzyczną. Pojawił się jazz i muzyka estradowa została trochę odsunięta na bok, ale pytanie, czy nie spróbować w „The Voice of Poland”, wciąż było obok.

I świetnie, że się zdecydowałeś. Jako zwycięzca 16. edycji wystąpisz na Sylwestrze Dwójki w Katowicach. Z jakimi życzeniami wejdziesz w 2026 r.?

Wszystkim życzyłbym dużo spokoju i pozytywnego myślenia. Żebyśmy się wzajemnie szukali. I razem śpiewali, a nie kłócili się. I żebyśmy się spotkali.



Od stycznia nowy plakat w ponad 12 tys. sklepów Żabka – konkurs rozstrzygnięty!

Już w styczniu 2026 r. w witrynach ponad 12 tys. sklepów Żabka w całej Polsce pojawi się nowy plakat promujący franczyzę autorstwa laureatki konkursu przeprowadzonego przez sieć. Jury pod przewodnictwem Andrzeja Pągowskiego – ikony polskiego plakatu, autora prac wystawianych na całym świecie – spośród blisko 600 zgłoszeń wyłoniło zwycięskie prace. Tak duże zainteresowanie potwierdza, że połączenie sztuki i przedsiębiorczości mocno inspiruje twórców. Pula nagród wyniosła ponad 35 tys. zł

Konkurs na plakat #DobrzeMieć Żabkę!, promujący franczyzę bazującą na sprawdzonym modelu biznesowym Żabki, był skierowany do szerokiego grona twórców – grafików, ilustratorów, studentów kierunków artystycznych oraz wszystkich osób zajmujących się projektowaniem graficznym – zarówno profesjonalistów, jak i pasjonatów designu.

ŚWIEŻE UJĘCIE FRANCZYZY

I miejsce w konkursie i nagrodę w wysokości 15 tys. zł zdobyła Magdalena Marchwicka. To właśnie jej praca już w styczniu pojawi się w witrynach sklepów Żabka. Zwycięski plakat zwrócił uwagę jury świeżym ujęciem franczyzy oraz dynamiczną kompozycją. Praca w czytelny sposób oddaje ideę współpracy – bohaterowie przybijają „piątki”,



niosąc zielone elementy Żabki – niczym fundamenty własnego biznesu.

II miejsce zajął Szymon Szymaniewicz, którego projekt wyróżnia się nowoczesnym podejściem do grafiki i spójną, minimalistyczną formą. III miejsce przypadło Beacie Pasierbek – jury doceniło jej propozycję za estetykę i prosty, a jednocześnie emocjonalny przekaz.

– Konkurs #DobrzeMieć Żabkę! pokazuje, jak twórczo i angażująco można opowiadać o przedsiębiorczości. Otrzymaliśmy prace, które zachwycają kreatywnością, odwagą i wyczuciem estetyki. Cieszy nas, że tak wielu twórców podjęło wyzwanie, a ich spojrzenie wnosi nową energię do opowieści o prowadzeniu własnego biznesu pod zielonym szyldem – mówi Marta Partyka, dyrektor rozwoju franczyzy Żabka Polska.


PRACE ZASKOCZYŁY NAWET JURORÓW

Jurorzy zgodnie podkreślili, że poziom prac z pierwszej edycji konkursu okazał się wyjątkowo wysoki. Zgłoszenia reprezentowały szeroki wachlarz stylów. Uczestnicy celnie uchwycili sedno wyzwania i opowiedzieli o franczyzie

Żabki w nowoczesnym oraz sugestywnym języku graficznym.

– Wybrane w konkursie prace są świetnym świadectwem tego, że w Polsce design reprezentuje wysoki poziom. Ich autorzy łączą atrakcyjną formę graficzną z dobrym zrozumieniem odbiorcy i zasad prowadzenia biznesu, a ta kombinacja ma dziś kluczowe znaczenie – mówi Andrzej Pągowski, przewodniczący jury I edycji konkursu na plakat #DobrzeMieć Żabkę!

Zgłoszenia oceniano pod kątem pomysłu, siły przekazu i spójności z tematem. Liczyło się to, czy projekt potrafi w klarowny sposób opowiedzieć o przedsiębiorczości i współpracy z Żabką oraz przyciągnąć uwagę odbiorcy. Jury brało pod uwagę zarówno jakość wykonania, jak i odwagę interpretacji. Wyróżnione prace pokazały, że o franczyzie można mówić nieszablonowo – poprzez metaforę, humor lub symbol.

Finałowa gala I edycji konkursu odbyła się 25 listopada w siedzibie firmy Żabka w Poznaniu. W wydarzeniu wzięli udział autorzy prac, jurorzy konkursu, franczyzobiorcy oraz przedstawiciele świata sztuki i branży kreatywnej. Gościem specjalnym gali była Katarzyna Dowbor, która przeprowadziła rozmowy ze zwycięzcami oraz jurorami konkursu. 

Ambasador na wojnie z kłamstwem o Polsce



PIOTR GURSZTYN

Co kilka dni polska opinia publiczna otrzymuje przykre i bolesne sygnały z Izraela. Nie można powiedzieć, że zaskakujące, bo przywykliśmy już do tego, iż jeśli tamtejsze oficjalne instytucje, politycy, ważne postacie życia publicznego piszą lub mówią coś o Polsce, to źle. Szczególnie gdy dotyczy to historii.

Niedawno głośno było o wpisie na koncie instytutu Yad Vashem: „Polska była pierwszym krajem, gdzie Żydzi zostali zmuszeni do noszenia wyróżniającej ich odznaki w celu odizolowania ich od otaczającej ludności”. Albo znany w Izraelu lewicowy aktywista Hen Mazzig oburzył się, że z powodu brutalnej pacyfikacji Gazy Sopot zawiesił partnerstwo z Aszkelonem. Mężczyzna napisał: „Sopot to to samo miasto, w którym w 1938 r. mieszkańcy spalili synagogę. Kiedy naziści doszli do władzy, Sopot szybko opowiedział się po ich stronie. A kiedy wybuchła wojna, jego społeczność żydowska została aresztowana i wymordowana niemal z dnia na dzień. [...] Tak więc Sopot, miasto, które kiedyś zwróciło się przeciwko Żydom, musiał wykazać się wyjątkową ślepotą, by teraz odwrócić się od jednego z żydowskich miast, które bardziej niż jakiegokolwiek inne doświadczyło ataków Hamasu. Ludzie, którzy byli sprawcami najciemniejszego rozdziału w historii Żydów, najwyraźniej zapomnieli, co naprawdę oznacza ludobójstwo”. Co z tego, że dziesiątki internautów tłumaczyło

Tom Rose staje się gwiazdą. Nawet nie dlatego, że jest ambasadorem największego mocarstwa i strategicznego sojusznika Polski, ale przede wszystkim z tego powodu, że publicznie broni naszego kraju lepiej niż wielu przedstawicieli polskich elit. Doceńmy to, bo wcale nie musi tego robić, co więcej – naraża się na ostrą krytykę ze strony ważnych dla niego środowisk

mu, że w 1938 r. wspomniane miasto nazywało się Zoppot, było zamieszkane przez ludność niemiecką i należało do Wolnego Miasta Gdańska, w którym rządziła Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników. Wiemy, że już niedługo znowu usłyszymy głos z Izraela, w którym zbrodnie ewidentnie popełnione przez Niemców zostaną przypisane Polsce i Polakom. Czasem z ignorancji, coraz częściej ze złej woli, antypolonizmu.

SYJONISTA Z MAGA

I w tym momencie do Polski przyjeżdża nowy ambasador Stanów Zjednoczonych. Syjonista z nieodłączną kipą na głowie. Tom Rose – 63-letni były dziennikarz, biznesmen, wieloletni wydawca izraelskiej gazety „Jerusalem Post”. Jak sam się żartobliwie przedstawia: „Nie do końca tajny agent spisku judeo-chrześcijańskiego MAGA”. Blisko związany z prezydentem Donaldem Trumpem i mocno osadzony w świecie amerykańskiej prawy.

Mamy już wiele sygnałów, które wskazują na to, że ten ortodoksyjny Żyd z Indiany może się wykazać większym zrozumieniem Polski niż wszyscy jego poprzednicy, łącznie z synem słynnego Zbiga, czyli Markiem Brze-

zinskim. Rose wygląda na kogoś, kto zrozumiał, że Polska to coś więcej niż tylko liberalne salony z Warszawy. Jego poprzednicy, a także większość innych ambasadorów, starali się nie zauważać polskiej prawicy, przyjmując za oczywistą sufłowaną im wizję, że to formacja skrajna, izolowana, schyłkowa, pozbawiona znaczenia i przyszłości. Przy czym pod pojęciem prawicy nie chodzi tylko o polityków Prawa i Sprawiedliwości, lecz także o konserwatywne media, intelektualistów i powiązane z nimi środowiska.

Doskonałym przykładem życia w liberalnej bańce jest kuriozalna wypowiedź partnerki poprzedniego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie Marka Brzezinskiego, która opowiada, że odrzucała zaproszenia z pałacu prezydenckiego, gdy głową państwa był Andrzej Duda. Nie wiadomo, czy bliżej nieznaną do tej pory Olga Leonowicz nie konfabuluje, bo ludzie z otoczenia byłego prezydenta odpowiadają, że dopiero teraz dowiadują się o jej postawie. A prezydent Duda nawet o niej nie słyszał. Jednak manifestacyjny wpis pokazuje atmosferę panującą w pewnych kręgach. Jeśli kiedyś Brzezinski znów będzie oficjalnym przedstawicielem swojego państwa, to powyższa historia zdecy-



Tom Rose

dowanie nie ułatwi mu kontaktów z reprezentantami kilkudziesięciu procent obywateli naszego kraju.

Przykładem tego, jak silne było otorbenie przez nadwiślański salon poprzedników Rose'a, jest kazus Georgette Mosbacher – było nie było – wysłanniczki i bliskiej znajomej Donalda Trumpa. Pani ambasador zachwycała się swoimi relacjami ze stacją TVN, gdy jednocześnie to samo środowisko medialne uważało jej pryncypała, czyli prezydenta Trumpa, za ucieleśnienie obrzydliwości i zła.

Nie wygląda na to, aby teraz było tak samo. Tom Rose to MAGA, a nie miłośnik życia salonowego. Mosbacher trafiła do Polski bardziej przypadkiem niż za sprawą jakiegoś planu. A o nowym ambasadorze słychać, że dobrze zna historię naszego kraju. Zapewniał o tym Gary Bauer, republikański polityk, który przez lata prowadził z Rose'em wspólny podcast polityczny. Polskie tematy często miały się w nim przewijać.

Nie tylko historia, lecz także bieżąca sytuacja polityczna naszego kraju jest czymś, w czym Rose jest dobrze zorientowany. To właśnie znajomość spraw polskich sprawiła, że dostał on szansę od Trumpa na pełnienie funkcji ambasadora w Warszawie. Całość wskazuje na to, że Rose – bardziej aktywista polityczny niż zawodowy dyplomata – nie

traktuje Warszawy jako tylko przyrostanku. Placówka w Polsce to dla niego więcej niż epizod w i tak bogatym CV.

NIE TYLKO SOJUSZNIK, TAKŻE RODZINA

W lipcu br. jako kandydat na ambasadora w Polsce wystąpił przed komisją spraw zagranicznych Senatu USA. Został bardzo dobrze oceniony przez przesłuchujących go senatorów. Ale padły tam też słowa, które powinniśmy docenić jako bardzo ważne.

„Relacje Polski z Izraelem są skomplikowane, ale Izraelczycy muszą zrozumieć, że Polska była ofiarą Holokaustu. Polska nie była sprawcą Holokaustu. Z 22 krajów, które nazistowskie Niemcy okupowały lub którymi kierowały za pośrednictwem marionetkowych reżimów, jedynym krajem, który został podbity i nigdy się nie poddał, była Polska” – mówił Rose. Nazwał też nasz kraj „wzorowym sojusznikiem” USA, dodając, że jesteśmy „nie tylko sojusznikiem, lecz także rodziną”. Podkreślał nasze zaangażowanie w budowę własnych zdolności obronnych. To też ma wielkie znaczenie.

Rose rozumie naszą wrażliwość nie tylko w tematyce historycznej. Nie podziela dość częstego w MAGA lekceważącego stosunku do NATO. Nie jest

zwolennikiem polityki izolacjonistycznej. Prezentuje negatywne nastawienie do putinowskiej Rosji i popiera pomoc dla walczącej Ukrainy.

Zanim odbyło się przesłuchanie w Senacie, miało miejsce inne zdziwienie, które dobrze oddaje postawę Rose'a. Dzień po polskich wyborach prezydenckich, 2 czerwca, bronił prezydenta elekta Karola Nawrockiego, oskarżanego w Izraelu o to, że jest „rewizjonistą Holokaustu”. Rose zdemontował to jawne oszczerstwo. Ten przypadek świadczy, dokąd doszliśmy. Nawrocki przez wiele lat swojej pracy historycznej nie powiedział nic kontrowersyjnego na temat Zagłady. Jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej i prezes Instytutu Pamięci Narodowej, nie zrobił też nic, co by rzucało na niego choćby cień podejrzenia. Co więcej, promotorem jego doktoratu, a obecnie bliskim współpracownikiem, jest prof. Grzegorz Berendt. To ceniony badacz historii Żydów w XX w., nagradzany za swoje badania i publikacje. Na jakiej więc podstawie można nazwać Karola Nawrockiego rewizjonistą Holokaustu? Tom Rose z pewnością zna słynne powiedzenie pisarza Marka Twaina o tym, że kłamstwo obiegnie cały świat, zanim prawda zdąży włożyć buty. Tym razem dzięki niemu buty zostały włożone szybko.

Wcześniej Rose prostował kretyńskie wypowiedzi gwiazdy telewizji NBS Andrei Mitchell, która stwierdziła w swoim programie, że władze polskiego państwa podziemnego pomagały w tłumieniu powstania w getcie warszawskim. Napomnienie pomogło – Mitchell sprostowała i przeprosiła.

ATAKI I OSKARŻENIA

Nie zawsze jest tak miło, że ktoś przyznaje się do błędu. Niedawno Tom Rose został ostro zaatakowany na łamach bardzo popularnej w Izraelu gazety „Israel Hayom”. Już sam tytuł artykułu mówi wszystko: „Dlaczego amerykański wysłannik w Polsce powtarza skrajnie prawicowy rewizjonizm Holocaustu?”. Został skrytykowany za reakcję na oburzający wpis Yad Vashem o Polsce jako pierwszym kraju, w którym Żydzi musieli nosić opaski.

Wspomniana reakcja musiała mocno zabrznieć w żydowskich uszach, bo Rose odwoływał się do oskarżeń Żydów o mord rytualny. „Zbyt długo ten naród [polski – przyp. red.] był obciążany moralną skazą, która nigdy nie była jego. Oszczerstwem, że Polska ponosi odpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez innych. Polska doświadczała głębokiej niesprawiedliwości historycznej. Przekonanie, że współdzielili winę za barbarzyńskie czyny dokonane przeciwko niej, jest groteskowym fałszowaniem historii i w gruncie rzeczy formą »oszczerstwa krwi« wymierzonego w Polaków i w Polskę” – mówił ambasador Rose.

Autor piszący na łamach „Israel Hayom” był tym oburzony: „Rose przyjął narrację coraz częściej promowaną przez polską nacjonalistyczną prawicę: że jakkolwiek sugestia polskiego udziału w prześladowaniach Żydów jest »groteskowym kłamstwem« i »oszczerstwem rytualnym« – pisał Daniel Schatz, publicysta i wykładowca na kilku amerykańskich i izraelskich uczelniach. Nazwał odpowiedź ambasadora „znieszczeniem historii”. „Trudno przecenić, jak zdumiewające jest takie stwierdzenie z ust wysokiego

rangą amerykańskiego dyplomaty, a co dopiero żydowskiego” – czytamy w tym samym artykule. Z tym zdaniem do pewnego stopnia można się zgodzić. Oczywiście nie z atakiem na Rose’a, lecz z konstatacją, że jego wypowiedź rzeczywiście była czymś niezmiernie znaczącym.

Rose został też wtedy zaatakowany przez żydowski tygodnik z Niemiec

„Relacje Polski z Izraelem są skomplikowane, ale Izraelczycy muszą zrozumieć, że Polska była ofiarą Holocaustu. Polska nie była sprawcą Holocaustu” – takie stwierdzenia amerykańskiego ambasadora wywołują furję w wielu środowiskach żydowskich


„Jüdische Allgemeine”: „Tom Rose, nowy ambasador USA w Warszawie, w przemówieniu zaprzeczył udziałowi tysięcy Polaków w Holocaustie. To katastrofa dla reputacji USA”. I dalej: „Niemądre i historycznie fałszywe wybielanie przez Rose’a roli Polski w ludobójstwie europejskich Żydów jest pożywką dla Polaków i innych antysemitów, którzy trywializują Holocaust jako drobne, w zasadzie bezsensowne wydarzenie niegodne upamiętnienia. Przemówienie Rose’a podważa zasadność pamięci o Holocaustie. Dyskredytuje tych żydowskich ocalałych z Shoah, którzy sami lub ich krewni zostali zabici lub zdradzeni przez Polaków” – grzmiało pismo niemieckich Żydów.

Widać tu kolejny paradoks. Przez ostatnie 30 lat w Polsce powszechne było przekonanie, że łatwiej znajdziemy wspólny język z Izraelem niż z Żydami amerykańskimi. Ci pierwsi zdawali się bardziej swojscy. Wydawało się, że trudna codzienność Izraela, perspek-

tywa korzystnych relacji gospodarczych, spora grupa ludzi mieszkających tam i nadal utrzymujących bliskie kontakty z Polską sprawiają, że uda się nawiązać mocne i ciepłe relacje. Żydzi amerykańscy byli odbierani jako odlegli, zimni, negatywnie nastawieni do Polski. Teraz – m.in. za sprawą Rose’a – może być całkiem odwrotnie. Co zresztą też nie jest złą wiadomością w kontekście psujących się relacji z Izraelem i panującej tam niechęci wobec Polski. Rose jako życzliwy Polsce syjonista z dużymi wpływami w Izraelu ma szansę łagodzić napięcia, zmieniać nastawienie obu stron.

TAKT I POLITYCZNE SYMPATIE

Jest jeszcze jedna ważna kwestia związana z nowym ambasadorem. To sprawa wolności obywatelskich. „Ściganie za różnice polityczne jest niedopuszczalne w każdej demokracji” – mówił w wywiadzie dla telewizji w Polsce24. Wypowiedź dotyczyła kampanii tzw. rozliczeń prowadzonych przez obecny rząd. A wiedzę w tym zakresie – jak i w ogóle o polskiej polityce – Tom Rose ma z pierwszej ręki. Pozostaje w bliskim kontakcie z najważniejszymi politykami i postaciami życia publicznego. Nie da się ukryć, że przede wszystkim z prawej strony. Przy czym swoje oczywiste sympatie wobec polskiej prawicy wyraża w sposób taktowny. Nie taki, jak np. w przypadku aroganckiego ambasadora Niemiec Miguela Bergera. Ten bowiem w sposób skandaliczny, absolutnie niedopuszczalny dla odgrywanej przez niego roli, odnosił się do europośła PiS Arkadiusza Mularczyka, pogardliwie wyrażając się przy tym o raporcie na temat polskich strat wojennych.

„Polska to równy partner, nie jest to państwo, na które spogląda się z góry” – to słowa ambasadora Toma Rose’a. Oczywiście dyplomaci często mówią takie gładkie słowa. Tom Rose nie jest zawodowym dyplomatą, a jego dotychczasowe postępowanie świadczy o tym, że to szczerza i ważna deklaracja. Na razie nie zdarzyło się nic, co mogłoby zadać kłam tym jego słowom. 

Niebezpieczny towarzysz Siwiec

Marek Siwiec, razem z Włodzimierzem Czarzastym, tworzy bardzo groźną i agresywną redutę neokomuny, będącą taranem Donalda Tuska w jego wojnie z Polską



STANISŁAW JANECKI

W 1993 r. zaskoczeniem był powrót do władzy w Polsce komunistów (w wersji postkomunistycznej), wzmocniony wygraną Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich w 1995 r., gdyż od ich końca (jak się okazało – udawanego) minęło zaledwie 3,5 roku. A jeszcze większym szokiem może być wprowadzenie komunistów do kierownictwa Sejmu w 2025 r.: Włodzimierza Czarzastego jako marszałka i Marka Siwca jako szefa Kancelarii Sejmu. I właśnie nominacja Siwca może mieć kluczowe znaczenie, gdy chodzi o plan reanimacji różnych pochowanych lub czekających na lepsze czasy towarzyszy. Pierwszą jaskółką ma być – na razie informacyjnie rozmazane – ściągnięcie przez Siwca do Kancelarii Sejmu tow. Krzysztofa Janika, od 1968 r. do końca istnienia członka PZPR, od 1986 r. etatowego kierownika zespołu inteligencji KC PZPR.

O tym, jak groźny jest Siwiec, można się było przekonać tuż po nominacji. W Radiu TOK FM Siwiec oznajmił: „Jeśli ktoś liczy na to, że najbliższe lata to będzie czas wysyłania sobie całusków, gołąbków czy serduszek do Pałacu Prezydenckiego, to mogę zagwarantować, że Sejm będzie dawał bardzo mocny opór”. Tak bezczelnie nie zachowywał się żaden szef kancelarii sejmowej po 1989 r., bo dotychczas nie była to funkcja politycznego zagończyka, tylko raczej organizatora. Siwiec, który nie ma żadnego mandatu z wyborów, zaczął się panoszyć jak aparatczyk

z czasów PRL. Nawiązał do tresowania psów „laniem gazetą po nosie”. I zaczął mówić tonem kogoś w rodzaju tow. Jerzego Łukaszewicza, w latach 1971–1980 sekretarza KC PZPR odpowiedzialnego za prasę i propagandę, później członka politbiura, uważanego za pezetpeerowski beton. Siwcowi łatwo poszło wcielenie się w beton – a może po prostu nigdy nie przestał nim być? Stwierdził: „Czym innym jest perswazja z małym zwierzątkiem, psem – bo jestem psiarzem akurat – »nie rób tego«. Psy małe robią czasami niefajne rzeczy, [...] można go nauczyć. A czym innym jest po prostu lanie go gazetą po nosie. Ja mam takie wrażenie, że w dużym pałacu [prezydenckim] im się bardzo podoba takie lanie gazetą po nosie. Oczywiście raz można udawać, że to jest błąd przy pracy, drugi raz będziemy się dziwić. A za trzecim razem oddamy”. Towarzysz z betonu nawet nie zawahał się straszyć głowę państwa, co jest przekroczeniem wszelkich granic, a przecież to dopiero początek komunistycznej recydywy w Sejmie.

JAK KWAŚNIEWSKI

Życiorys Siwca to studium sprytnego aparaczyka, który suchą stopą przeszedł z PRL do III RP i nie tylko zachował wpływy, przywileje i przewagi, lecz wręcz je wzmocnił. Urodził się 13 marca 1955 r. w Piekarach Śląskich. Jego ojciec pracował jako wicedyrektor tarnobrzeskiego kombinatu siarkowego „Siarkopol”, a matka była prokuratorem. W 1980 r. ukończył Wydział Elektrotechniki, Automatyki i Elektroniki Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Ponadto jest absolwentem podyplomowego studium dziennikarstwa.

Od 1977 r. do jej rozwiązania Siwiec był członkiem PZPR. W latach 1985–1987 pracował w Krakowie jako redaktor naczelny dwutygodnika „Student”. Prowadził też w Telewizji Polskiej program „Otwarte Studio”, bo był kreowany na „otwartego towarzysza”. Życiorys Marka Siwca jest podobny do jego późniejszego „patrona” i mistrza, czyli Aleksandra Kwaśniewskiego. Jest od niego zaledwie o kilka miesięcy starszy. Czy także Siwca upatrzył sobie gen. Wojciech Jaruzelski jako tego, który miał

zastąpić starych towarzyszy, już się chyba nie dowiemy.

Jako student zaczynał w latach 70. w Socjalistycznym Związku Studentów Polskich. W latach 1987–1990 był redaktorem naczelnym związanego z oficjalnym PRL-owskim ruchem studenckim tygodnika „ITD”. Wcześniej (w latach 1981–1984) redaktorem naczelnym tego pisma był Aleksander Kwaśniewski. Tygodnik miał być liberalniejszym obliczem zasadniczo zamordystycznej PRL.

Zwrot w karierze Siwca nastąpił w styczniu 1990 r., gdy na XI Zjeździe rozwiązywała się Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. W jej miejsce powstawała Socjaldemokracja RP (SdRP), której pierwszym przewodniczącym został Aleksander Kwaśniewski. Siwiec był redaktorem naczelnym wydawanej podczas zjazdu/kongresu założycielskiego „Trybuny Kongresowej”, a po kongresie stanął na czele bliskiego SdRP dziennika „Trybuna”, który był kontynuatorem organu KC PZPR, czyli „Trybuny Ludu”. W tamtym okresie Siwiec był także dyrektorem generalnym jednej ze spółek zależnych od przesławnej Art-B.

W pierwszych w pełni demokratycznych wyborach, które odbyły się dopiero 27 października 1991 r., Marek Siwiec został posłem z listy Komitetu Sojuszu Lewicy Demokratycznej (z okręgu kaliskiego). Ponownie wszedł do Sejmu w 1993 r. W Sejmie I kadencji Klub Parlamentarny SLD, choć był drugi co do wielkości, pozostawał izolowany. Nie dostał swojego wicemarszałka ani nie miał szefów komisji sejmowych. Pierwszym przejawem przełamania tej izolacji był wybór Marka Siwca w 1993 r. do pierwszego składu Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Wtedy podejmowała ona kluczowe decyzje dotyczące rynku medialnego, które ułożyły ten rynek na lata. Odpowiadał m.in. za koncesje dla prywatnych nadawców, takich jak Polsat, Radio RMF FM czy Radio ZET.

Po objęciu urzędu prezydenta przez Kwaśniewskiego w grudniu 1995 r. Marek Siwiec został najpierw sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP (zrzekając się mandatu członka KRRiT rok przed upływem kadencji), a potem, na początku 1997 r., szefem BBN.

CZERWONY BIZNES

W 1999 r., gdy wyszła na jaw sprawa kompromitującego i ohydneho zachowania pijanego prezydenta na polskich grobach w Piątkach koło Charkowa, Siwiec tłumaczył, że powodem „nietypowego” zachowania Kwaśniewskiego było zmęczenie spowodowane wyczerpującymi uroczystościami oraz wzruszenie. „Tam się nie da nie wzruszyć” – przekonywał Siwiec.

Po ponownej wygranej Kwaśniewskiego w wyborach w 2000 r. Siwiec wrócił na stanowisko szefa BBN, z którego wcześniej odszedł w wyniku ujawnienia kompromitującego zdarzenia z września 1997 r. z Ostrzeszowa. Na nagrany wtedy filmie widać, jak Kwaśniewski wraz z Markiem Siwcem wysiadają z prezydenckiego śmigłowca. Siwiec najpierw czyni znak krzyża, po czym Kwaśniewski pyta: „Czy minister Siwiec ucałował już ziemię kaliską?”. Na to Siwiec kłeka i całuje ziemię w sposób podobny, jak zwykł to czynić papież Jan Paweł II, gdy lądował w jakimś kraju z pielgrzymką. Po tym zdarzeniu Siwiec podał się do dymisji ze stanowiska szefa BBN, tłumacząc, że nie miał zamiaru kpić z papieża, bo pewne gesty, takie jak całowanie ziemi, mają charakter uniwersalny.

Podczas drugiej kadencji prezydenckiej Kwaśniewskiego Siwiec był obok Marka Ungiera (szefa gabinetu prezydenta) łącznikiem z wielkim biznesem, co – jak opowiadał mi Jan Kulczyk – nie było działalnością charytatywną.

Rola łącznika nie była pierwszym „biznesowym” zajęciem Siwca. Pod koniec lat 80. PZPR (oraz inne partie komunistyczne bloku wschodniego) dostała z Moskwy pozwolenie na tworzenie z pieniędzy partii oraz związanych z nią podmiotów sieci spółek, które pozwoliłyby im łagodnie przejść do kapitalizmu i zachować wszelkie wpływy oraz przewagi. Jedną z takich spółek była PHU „Transakcja” założona 26 lipca 1988 r. w Warszawie przez koncern RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz Akademię Nauk Społecznych przy KC PZPR. W jej radzie nadzorczej znalazł się wtedy m.in. Marek Siwiec. Komitet Centralny PZPR wielokrotnie wspierał Transakcję dużymi dotacjami. Po roz-

wiązaniu PZPR kontrolę nad Transakcją sprawowali m.in. Leszek Miller, Wiesław Huszcza, Marek Siwiec i Jerzy Szmajdziński. Firma zajmowała się m.in. sprowadzaniem do Polski alkoholu dzięki kontaktom z firmą z sowieckiej Gruzji – Sameba oraz sprowadzaniem z Dalekiego Wschodu sprzętu komputerowego, który następnie był reeksportowany ze znacznym zyskiem do Związku Sowieckiego. Transakcja sprowadziła też znaczne ilości wyrobów bawełnianych z Indii. Spółka była również ważnym graczem na rynku hurtowym RTV, mebli i dywanów. Ważną dziedziną jej działalności były także inwestycje kapitałowe. Transakcja założyła szereg spółek córek, których głównymi współdziaławcami były komitety wojewódzkie PZPR. W ten sposób stała się holdingiem i biznesowym zapleczem głównie dla młodych towarzyszy.

Wśród spółek założonych przez Transakcję były m.in. Bank Inicjatyw Gospodarczych SA, TUiR Polisa SA oraz wydawnictwo Muza SA, przejęte potem przez Włodzimierza Czarzastego. Żywość i rozwój Transakcji przerwał likwidator mienia byłej PZPR. Oprotestował on wszystkie uchwały podjęte przez zarząd spółki po 27 lutego 1991 r., czyli wejściu w życie ustawy o przejęciu majątku byłej PZPR. Przed zawieszeniem działalności Transakcja sprzedała spółce Universal SA – za 1,7 mld starych zł – akcje BIG SA, których była właścicielem. To wszystko pokazuje, jak ważnym człowiekiem dla postkomunistów był Marek Siwiec – jeden z tych towarzyszy, którzy pomagali komunistom uwłaszczać się i bogacić, sami też się bogacąc.

REDUTA NEOKOMUNY

W 2004 r. Siwiec wystartował z list Sojuszu Lewicy Demokratycznej w pierwszych wyborach do Parlamentu Europejskiego i zdobył mandat europosła. Formalnie zrezygnował z pracy dla Kwaśniewskiego, a faktycznie ze stanowiska szefa BBN. Wtedy w mediach pojawiły się spekulacje, że postanowił odejść z krajowej polityki, bo miał

związki z aferą Rywina. Dobrze znał samego Rywina, ale tego wątku nigdy nie wyjaśniono. Ta sprawa łączyłaby Siwca z Czarzastym. Od czerwca 2005 r. do czerwca 2006 r. Siwiec był przewodniczącym wpływowego wśród młodych towarzyszy i zaradnego Stowarzyszenia Ordynacka, a po nim przez 11 lat organizacji przewodniczył Włodzimierz Czarzasty. W 2007 r. został wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego. W wyborach europej-

Marek Siwiec: „Jeśli ktoś liczy na to, że najbliższe lata to będzie czas wysyłania sobie całusków, gołąbków czy serduszek do pałacu prezydenckiego, to mogę zagwarantować, że Sejm będzie dawał bardzo mocny opór”. Szef nowej Kancelarii Sejmu obsadził się w roli politycznego zagończyka, a nie organizatora pracy niższej izby parlamentu


skich w 2009 r. wywalczył reelekcję. Od grudnia 2011 r. do kwietnia 2012 r. był wiceprzewodniczącym Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

W grudniu 2012 r. zrezygnował z członkostwa w SLD, a w styczniu 2013 r. został reprezentantem Ruchu Palikota w Parlamencie Europejskim (nie wstępując do partii). 22 lutego 2013 r. wspólnie z Aleksandrem Kwaśniewskim i Januszem Palikotem ogłosili utworzenie ruchu Europa Plus, który stał się koalicją kilku ugrupowań lewicowych. Został także przewodniczącym stowarzyszenia o tej nazwie. 6 października 2013 r. jego działacze współtworzyli nową partię – Twój Ruch (powstała z przekształcenia Ruchu Palikota), której Siwiec został wi-

ceprzewodniczącym. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. nie uzyskał reelekcji. W lutym 2015 r. odszedł z Twojego Ruchu.

W 2007 r. ujawniono, że według danych zawartych w katalogach IPN Siwiec został zarejestrowany pod nr 32287 przez wydział III-1 WUSW Kraków jako TW „Jerzy”. W styczniu 1990 r. miał być wyeliminowany z powodu... rezygnacji. Sytuacja była więc podobna, jak w przypadku Aleksandra Kwaśniewskiego (też nie było śladów jego działalności jako TW poza rejestracją).

Marek Siwiec nie był obecny w polskiej polityce od 2015 r., gdy wystąpił z Twojego Ruchu. Ale ustawił się tak, żeby w każdej chwili wrócić, i to jako rozgrywający, mający wszędzie wpływowych przyjaciół. Został członkiem Rady Fundacji YES (Yalta European Strategy), przewodniczącym Stowarzyszenia European Friends of Israel, członkiem Global Leadership Council Colorado State University. Zasiadał także w radzie Fundacji Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae”, którą hojnie dotował ukraiński oligarcha Wiktor Pińczuk (zięć prezydenta Leonida Kuczmy). Siwiec „ustawił się” też jako dyrektor kijowskiego Centrum Pamięci o Holokauście – Babi Jar.

Marek Siwiec to bardzo niebezpieczny gracz, mający duże doświadczenie i wielu wpływowych przyjaciół rozsianych w administracji, bankach, mediach, spółkach, fundacjach i organizacjach międzynarodowych. Jego nominacja na szefa Kancelarii Sejmu dała mu nowe możliwości działania. Można się spodziewać ściągnięcia do kancelarii Sejmu kolejnych towarzyszy oraz podporządkowanie im Straży Marszałkowskiej. Oznacza to otwartą, bezpardonową i bardzo ostrą wojnę z prezydentem Karolem Nawrockim oraz z opozycją. A także odmrażanie kolejnych zahibernowanych lub uśpionych towarzyszy. Razem z Włodzimierzem Czarzastym tworzą bardzo niebezpieczną i agresywną redutę neokomuny, będącą taranem Donalda Tuska w jego wojnie z Polską. 



Wczoraj Moskwa, dziś Bruksela, po drodze CIA

Czy antyukraińskość Leszka Millera wynika z jego politycznych wyborów, czy z osobistych traum?



JERZY SZMIT

U Leszka Millera na początku wszystko było jak z podręcznika marksizmu-leninizmu. Urodził się w robotniczym Żyrardowie, w ubogiej rodzinie, samotnie wychowany przez matkę. Piął się dzięki – jak twierdzi – warunkom, jakie tworzyło socjalistyczne państwo. Szkoła zawodowa, początki pracy w fabryce, technikum. Jednocześnie Związek Młodzieży Socjalistycznej, zasadnicza służba wojskowa na okręcie podwodnym. Akces do PZPR, skok do pobliskiej Warszawy i kariera ruszyła na dobre.

Musiał być naprawdę mocny wśród młodych towarzyszy, skoro w wieku 31 lat był już etatowym pracownikiem

Komitetu Centralnego PZPR. W stanie wojennym został członkiem Komitetu Wykonawczego PRON. Zaliczył sekretarowanie w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Skierniewicach, a w grudniu 1988 r. zameldował się w Komitecie Centralnym PZPR i został jego sekretarzem.

Przy okrągłym stole dyskutował o sprawach młodzieży. W czerwcu 1989 r. kandydował do Senatu. Bez powodzenia. Nie przeszkodziło mu to jednak wejść do Biura Politycznego KC PZPR w lipcu tego samego roku. Nie na długo, bo w styczniu 1990 r., na ostatnim zjeździe partii, Mieczysław Rakowski kazał „sztandar wyprowadzić”.

Postkomuniści stanęli wobec nowej sytuacji: stare się skończyło, a nowego sztandaru nie było. Ale szybko założyli Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej. Przyzwyczajeni w PRL, że jak ma się władzę, to ma się także pieniądze, przejęli majątek PZPR łącznie z moskiewską pożyczką na rozruch nowej formacji. Rakowski załatwił bowiem dolary w Moskwie, w centrali Komunistycznej

Partii Związku Sowieckiego. W operacji przekazania, a potem częściowego zwrotu pożyczki uczestniczyli Leszek Miller i Aleksander Kwaśniewski oraz grono innych osób. Później wszczęto postępowanie w tej sprawie, a Rakowskiemu postawiono nawet zarzuty prokuratorskie. W 1993 r., gdy ministrem sprawiedliwości był Jerzy Jaskiernia, sprawę umorzono, mimo że o wszystkim ze szczegółami opowiedzieli sowieccy uczestnicy całej operacji. Tak więc Moskwa sfinansowała partię ludzi, którzy od 1989 r. posiadali ogromny klub parlamentarny, w 1993 r. objęli rząd, a w latach 1995–2005 mieli swojego prezydenta.

CYNIZM I GRUSZKI NA WIERZBIE

Minęło trochę lat, a Miller potrafi twierdzić, że żadnej moskiewskiej pożyczki nie było. To jego stała cecha: kiedy cię złapią za rękę, mów, że to nie twoja ręka. Miller potrafi kłamać bez zmrużenia oka, za to z cynicznym uśmiechem na ustach. Swoją umiejętność kłamania i składania

obietnic bez pokrycia szlifował w kampaniach wyborczych i podczas sprawowania urzędu premiera w latach 2001–2004: „Skoro SLD obieca gruszki na wierzbie, to one tam wyrosną” – lubił powtarzać.

10 kwietnia 2010 r., zaraz po katastrofie smoleńskiej, twardo przekonywał, że samolot z polską delegacją cztery razy podchodził do lądowania. Skąd to wiedział? Gdy się okazało, że kłamał, powtarzał, że winni byli piloci i osoby dysponujące lotem – wskazywał na prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Wywodzący się żyrdardowskiego podwórka, gdzie nie było subtelności, Miller szerze nie cierpiał kawiorowej lewicy, która otaczała Kwaśniewskiego. Gdy ten próbował obsadzać ministrów w rządzie Millera, miał usłyszeć: „Oluś, ty tu nie masz nic do powiedzenia”. Oluś to zapamiętał. I zaczęła się szorstka przyjaźń.

Miller od lat się chwali, że podpisał traktat akcesyjny Polski do UE. W tym czasie zdecydowana większość społeczeństwa popierała ten krok, a Unia chciała się rozszerzyć. Nie wymagało to zatem wielkiej zręczności. Co gorsza, wynegocjowane przez Millera warunki akcesyjne na wielu polach, np. w rolnictwie, były bardzo niekorzystne dla Polski. Dziś zresztą coraz lepiej rozumiemy, dlaczego Miller i jego środowisko tak parło do przystąpienia naszego kraju do UE. Współczesna Unia jest strukturą działającą na rzecz zniesienia suwerenności państw narodowych. Wczoraj Moskwa, dziś Bruksela – to hasło trafnie opisuje stan rzeczy.

Dzień po podpisaniu traktatu złożył dymisję z urzędu premiera. Odchodził w niesławie zmieciony dwiema aferami – starachowicką i Rywiną.

Starachowicka dotyczyła kontaktów polityków SLD najwyższego szczebla z przestępcami, za żelaznym kancle rzem ruszył bowiem do władzy, posad i pieniędzy najczarniejszy sort kolegów Millera. Sprawa zakończyła się wyrokami skazującymi działaczy SLD. Kwaśniewski jako prezydent próbował ich ulaskawiać, ale zrezygnował, obawiając się oskarżenia, że wspiera mafię.

Druga afera to afera Rywina. Koledzy Millera paktowali z Agorą – Adamem Michnikiem – w sprawie kształtu ustawy medialnej. W zależności od woli rządzących ustawa mogła ułatwić lub utrudnić

przejęcie przez Agorę jednego z istniejących kanałów telewizyjnych. Oprócz legislacji i stanowisk w grę wchodziło 17,5 mln dol., które miał oferować Rywin za załatwienie dealu. Do wyjaśnienia sprawy Sejm powołał pierwszą komisję śledczą, z raportu której jednoznacznie wynikał patronat Kwaśniewskiego i Millera nad tymi działaniami. Rywin skończył z wyrokiem, a w czasie przesłuchania Millera padło pamiętne zdanie pod adresem Zbigniewa Ziobry: „Pan jest zerem”. Kilka miesięcy wcześniej, gdy los Millera był już przesądzony, zrezygnował z przewodniczenia SLD.

Jako premier podjął jeszcze dwie ważne decyzje. Zgodził się wysłać polskie wojska na wojnę do Iraku, jak również umieścić w Polsce, w Starych Kiejkutach na Mazurach, tajne więzienie CIA dla oskarżonych o terroryzm. Kwaśniewski to potwierdził: „Oczywiście, że wszystko działo się za moją wiedzą. Prezydent i premier godzili się na współpracę wywiadowczą z Amerykanami, bo tego wymagała polska racja stanu. Po zamachu na WTC uznaliśmy, że to niezbędne z powodu nadzwyczajnych okoliczności” (maj 2012 r.). Miller jak zwykle w takich sprawach zaprzecza.

Jego rządy podsumowali wyborcy. Na początku kadencji SLD pod jego rządami dysponował w Sejmie 216 mandatami, następną kadencję zaczęli z klęską – 55 mandatami.

Miller po opuszczeniu KPRM wyjechał do USA w „celach naukowych i badawczych” (!). Już po powrocie w 2005 r. SLD nie chciało go na swoich listach. Kandydował więc do Sejmu z list Samoobrony, ale bezskutecznie. W styczniu 2008 r. założył nową partię, ale po dwóch latach znowu był w SLD. Jeździł na spotkania Klubu Wałdajskiego, gdzie Rosja wzmacniała swoją agenturę wpływu. Po wyborach parlamentarnych 2011 r. wrócił do Sejmu z list SLD, a po kilku miesiącach ponownie stanął na czele partii. No i po czterech latach kolejna klęska: kierowany przez niego Sojusz nie wchodzi do Sejmu. Miller rezygnuje z funkcji przewodniczącego.

Ponownie odżył w 2019 r., gdy PO wystawiła na czołowe miejsca na listach do Parlamentu Europejskiego byłych postkomunistycznych premierów: Millera, Belkę i Cimoszewicza. Wczoraj

Moskwa, dziś Bruksela. Jednak w Europie Miller był dinozaurem, bo tam rządzi teraz towarzystwo Roberta Biedronia. Ponownie już nie kandydował, ale znalazł sobie nowe pole aktywności: antyukraińskość.


ANTYUKRAIŃSKA FOBIA

25 lutego br. stwierdził w Polsat News, że dysponuje danymi ONZ o ok. 16 tys. rosyjskojęzycznych obywateli Ukrainy zamordowanych przez ukraińskie bojówki nacjonalistyczne. Dziennikarze to sprawdzili – jak zwykle kłamał i powtarzał tezy Kremla. Jego antyukraińskich wystąpień są dziesiątki. Czy ma w tym jakiś cel, czy wykonuje czyjeś polecenia, czy uważa, że państwo ukraińskie powinno zniknąć z mapy albo być całkowicie podporządkowane Moskwie? Może robi to z powodów osobistych?

Ukraińcy dostarczają swoim przeciwnikom mocnych argumentów, łącznie z gigantyczną aferą korupcyjną na szczytach władzy w Kijowie. Wobec tego nawet część środowisk patriotycznych okłaskuje Millera. Ten wyczuł falę i wojuje o tytuł pierwszego herolda antyukraińskości z Grzegorzem Braunem. Nietrudno odgadnąć, o czyje względy walczy.

Miller przeżył dwie osobiste tragedie: wypadek helikoptera (2003 r.), w którym był bliski śmierci i utrata syna (2018 r.), którego żoną była Ukrainka. Takie zdarzenia są szansą do refleksji, przewartościowania życia. Po śmierci jedyne go syna Miller wędrował od studia do studia i opowiadał o swoim żalu, ale nic go to nie nauczyło.

Chciałby mierzyć się z dwoma politykami: Jarosławem Kaczyńskim i Donaldem Tuskiem. Obaj stworzyli formację, które potrafiły wygrać, wytrzymać porażkę i wrócić do władzy. Miller raz wygrał, ale dwa razy poprowadził swoją formację do klęski. Dziś lewica, skłócona i podzielona, może być jedynie przystawką Tuska. Choć hałaśliwą i agresywną.

Leszek Miller nie pełni dzisiaj żadnej funkcji. W przyszłym roku skończy 80 lat. Jest spokojny o swój byt: emerytura polska, emerytura europejska, dorabia w mediach. Gen publicznego istnienia połączony z genem kłamstwa i wypychania Polski pod obce władztwo stanowi istotę jego sylwetki politycznej. 



Obława na Stanowskiego

*Na zdrowy rozum
trudno zrozumieć tę
przepychankę. Gdyby
Dorota Wysocka-
-Schnepf nie ciągnęła
sprawy z Krzysztofem
Stanowskim
w nieskończoność, wszyscy
już dawno zapomnieliby
o tym, że kiedyś
– podczas kampanii
wyborczej – nazwał
ją „arcykapłanką
propagandy”
i przypomniał niechlubną
przeszłość jej teścia*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Już od pół roku obserwujemy potyczkę między Dorotą Wysocką-Schnepf a Krzysztofem Stanowskim. Jej najnowszym akordem jest postanowienie Sądu Okręgowego w Warszawie, który zakazał Stanowskiemu publikowania materiałów wideo na temat kobiety.

Nie wolno będzie jej też nazywać „arcykapłanką propagandy” – przynajmniej przez rok, bo na taki okres zostało wydane postanowienie. Zakazy, których jest zresztą więcej, są zabezpieczeniem roszczeń Doroty Wysockiej-Schnepf w związku z procesem o naruszenie dóbr osobistych wytoczonym przez nią Krzysztofowi Stanowskiemu oraz Robertowi Mazurkowi i Kanałowi Zero.

KRÓLOWA JEST NAGA

Wszystko zaczęło się 12 maja br., w najgorętszym okresie kampanii prezydenckiej. Obóz Rafała Trzaskowskiego grzał wtedy sprawę kawalerki rzekomo przejętej przez Karola Nawrockiego. W takich okolicznościach w TVP miała się odbyć debata kandydatów na prezydenta. Reżimowa telewizja uparła się, aby wbrew protestom i zastrzeżeniom wielu komitetów wyborczych poprowadziła ją Dorota Wysocka-Schnepf. Wydawało się jasne, że osoba o tak skrajnie antypisowskich poglądach nie jest w stanie nawet udawać obiektywizmu i jedynym wytłumaczeniem jej udziału w programie są – obok ogromnych ambicji – kwestie polityczne. Prawdopodobnie Nawrocki miał wypaść jak najgorzej, a jego główny rywal – Trzaskowski – opuścić studio jako zwycięzca.

Krzysztof Stanowski postanowił wówczas głośno zaprotestować przeciwko takim praktykom. W trakcie

swojego wystąpienia nazwał Wysocką-Schnepf „arcykapłanką propagandy” i symbolem „tego, co się dzieje z polskimi mediami”. Zasugerował, że prezenterka ma osobisty interes w wygranej Trzaskowskiego, bo jej mąż Ryszard oczekiwał nominacji ambasadorskiej w Rzymie. „Pani nie powinno tu być” – stwierdził.

Stanowski nawiązał również do jej teścia Maksymiliana Schnepfa, byłego żołnierza Armii Czerwonej, który tuż po II wojnie światowej, już jako oficer piechoty LWP, brał udział w obławie augustowskiej, skierowanej przeciwko

polskiemu podziemi niepodległościowemu. „Nie jest to pierwszy raz w historii, gdy osoba nazwiskiem Schnepf przepytuje Polaków. Mam nadzieję, że wyjdziemy stąd wszyscy cali i zdrowi” – powiedział, spoglądając w stronę prowadzącej. Ta odpowiedziała mu wzrokiem pełnym wściekłości, co natychmiast wychwycili internauci, masowo kolportując zdjęcie jej twarzy.

Uderzenie ze strony Stanowskiego było wyjątkowo bolesne. Na oczach całej Polski Wysocka-Schnepf została całkowicie obnażona jako osoba mało wiarygodna, stronnicza, a być może także interesowna. Dziennikarz ukazywał też hipokryzję reżimowej TVP: „Nie jest to czysta woda, tylko taki sam ściek, jaki był wcześniej” – powiedział, nawiązując w ten sposób do politycznego zaangażowania publicznej stacji.

Z punktu widzenia reżimowych mediów najgorsze było jednak to, że te słowa wypowiadał człowiek stojący poza podziałami politycznymi, a więc wiarygodny dla bardzo wielu widzów. Gdyby to samo powiedział przedstawiciel Prawa i Sprawiedliwości, łatwo byłoby to wpisać w kontekst bieżącej walki politycznej i tym samym osłabić przekaz. Być może dla Wysockiej-Schnepf byłby to nawet powód do specyficznego pojmanej chwały. W oczach swojego środowiska mogłaby przecież wówczas uchodzić za „odważną dziennikarkę dzielnie stawiającą opór zakłamanym pisowcom”. Ale w tej sytuacji nie mogła liczyć na takie „profity”.

TEN BEZCZELNY PRZYBŁĘDA

Fenomen Krzysztofa Stanowskiego polega na tym, że działa poza jakąkolwiek bańką: nie jest ani po tej, ani po tamtej stronie politycznej wojny w Polsce. Być może robi to z powodów finansowych, bo mu się to po prostu oplaca (wzrasta oglądalność Kanału Zero), ale w tym przypadku nie ma to większego znaczenia. Efekt jest bowiem taki, że udało mu się zbudować wiarygodność w dużej grupie – zwłaszcza młodych – Polaków, mocno już zmęczonych nieustanną walką pomiędzy głównymi siłami politycznymi w kraju.

I gdy ktoś taki jak Stanowski wytyka rządzącym uprawianie chamskiej propagandy oraz obnaża ich manipulacje,



Uderzenie ze strony Stanowskiego było wyjątkowo bolesne. Bo Wysocka-Schnepf została na oczach całej Polski całkowicie obnażona jako osoba stronnicza i mało wiarygodna

to może wzbudzić większy rezonans wśród ludzi, niż gdyby podobne oskarżenie padło z ust polityka opozycji. Na tym właśnie polega zagrożenie, jakie Stanowski i jego internetowa telewizja mogą stanowić dla sceny politycznej w Polsce. Oczywiście on tej sceny nie rozszadzi, ale jest wystarczająco silny, aby wpływać na panujące nastroje i tym samym być języczkiem u wagi.

Doskonale było to widać podczas tegorocznych wyborów prezydenckich, gdy Stanowski, słusznie punktując zakłamanie obecnej ekipy rządowej, osłabił – szczególnie wśród młodych wyborców – notowania Trzaskowskiego. I właśnie tego nie mogą mu darować rządzący reżim oraz jego funkcjonariusze.

Stanowskiego nie znoszą również z innych powodów. W oczach naszej „dziennikarskiej arystokracji” (to określenie autorstwa Wojciecha Jaruzelskiego) jest on przybłędą, człowiekiem znikąd, kimś spoza „towarzystwa”. Jakim prawem ktoś

taki jak Stanowski ośmiela się rzucać rękawicę pupilkom liberalnego salonu? Na co on sobie pozwala? Nie mam wglądu w sposób myślenia Doroty Wysockiej-Schnepf, ale łatwo mogę sobie wyobrazić jej nabuzowanie z tego powodu.

Warto zauważyć, że Stanowski wcale nie jest zwolennikiem PiS. Tak naprawdę w ogóle nie jest jasne, jakie ma poglądy. Gdy wystartował w wyborach prezydenckich,

potraktowano ten pomysł – zapewne trafnie – w kategoriach performance’u lub chwytu reklamowego. On sam stwierdził, że prezydentem być nie chce, bo nie ma do tego żadnych kompetencji i nie potrafi piastować najwyższego urzędu „z odpowiednią godnością i klasą”. „To zupełnie jak moi konkurenci” – dodał ironicznie. Jeśli jednak można szukać u niego jakiejś politycznej motywacji podczas ostatnich wyborów, to najwyżej taką, że walczy z dominacją jednej ze stron. To w zupełności wystarczyło, aby propagandyści Tuska natychmiast zrobili z niego ukrytego pisowca oraz patostreamera (czyli osobę, która kolportuje w internecie wulgarne lub obsceniczne materiały). Ma to zniechęcić do współpracy z Kanałem Zero autorów wywodzących się z różnych środowisk oraz – przede wszystkim – reklamodawców.

Ogólnie chodzi o to, aby zamknąć Stanowskiemu dobrze prosperujący interes. Bo przecież reżim nie znosi

konkurencji w mediach. Liberalni piewcy wolności i demokracji akceptują tylko tych, którzy są im podporządkowani. Dla nikogo innego nie ma miejsca w życiu publicznym. Dlatego Stanowski – podobnie jak media szerokiego rozumienia prawicy – stał się wrogiem liberałów. To jest głębszy kontekst nie tylko procesu, jaki wytoczyła mu Wysocka-Schnepf, lecz także wielu ataków ze strony prądu.

ZAKAZANE IMIĘ

Dorota Wysocka-Schnepf postanowiła – jak twierdzi – pozwać Krzysztofa Stanowskiego do sądu, gdy ten podał publicznie dostępną informację, że jej syn ma na imię Maximilian. Wcześniej pani Dorota broniła swojego zmarłego teścia przed oskarżeniami o udział w mordach na polskim podziemiu niepodległościowym. Gdy jednak Stanowski zwrócił uwagę, że syn państwa Schnepfów odziedziczył imię po dziadku, ruszyła do ataku.

„Długo znosiłam łgarstwa i nagonkę na moją rodzinę. Szkoda czasu na hejterów i pozwy. Ale piętnowanie 14-latka?! Podłe. Mało wam dzieci zaszczytów wskutek polowania na ich rodziców? Spotykamy się w sądzie. Na początek Stanowski i Mazurek. I nie tylko oni” – napisała 7 września na platformie X. „My, dorośli, uodporniliśmy się na ataki. Ale cierpię, gdy mój synek drży, chce uciekać z Polski, boi się tu żyć. Patostremerzy muszą za to przeprosić. I zapłacić. Niech zaboli. Choć strat moralnych to nie wyrówna” – dodała w kolejnym wpisie.

W odpowiedzi Stanowski nie bawił się w uprzejmości. „Babo, jedyne co napisałem albo powiedziałem o twoim synu, to że ma imię po dziadku (informacja z Wikipedii). Ja mu imienia nie dawałem, więc ewentualne pretensje możesz mieć do siebie” – zauważył przytomnie. Potem wyjaśnił, że sformułowanie „baba” było „najłagodniejszym określeniem, jakie przyszło mu do głowy wobec osoby, która próbuje go wmanewrować w rzekome hejtowanie dziecka”. „To jest prawdziwe obrzydliwstwo – pomawiać kogoś o hejtowanie dziecka i grać tym dzieckiem

dla odreagowania własnych traum” – napisał.

Wkrótce po tej wymianie zdań Stanowski upublicznił pozew, w którym Wysocka-Schnepf ma żądać od niego m.in. 100 tys. zł na edukację syna za granicą (bo jakoby boi się on mieszkać w Polsce). Pod koniec listopada prezydentka zażądała wspomnianego już zabezpieczenia swoich roszczeń o ochronę dóbr osobistych poprzez zakazanie Stanowskiemu nazywania jej „arcykapłanką propagandy”, zestawiania jej osoby ze zbrodniami komunistycznymi, w tym z popełnionymi w czasie oblawy augustowskiej, a także publikowania treści dotyczących wyboru imienia dla jej syna i treści, w których imię to jest zestawiane z zarzutami dotyczącymi zbrodni komunistycznych.

Wytoczenie procesu Stanowskiemu jest wyrazem bezsilnej złości. Bo on nie traktuje Doroty Wysockiej-Schnepf poważnie, nie boi się jej i – co więcej – daje to publicznie do zrozumienia

W ten sposób sprawa, o której wszyscy powoli już zapominali, nabrała nowego życia. Rezultat był łatwy do przewidzenia. W internecie setki ludzi zaczęły przestrzegać się wzajemnie przed nazywaniem Wysockiej-Schnepf „arcykapłanką propagandy”. Pojawiły się też memy, w których reklamowano wodę mineralną z jej wizerunkiem i podpisem „Oblawianka augustowska”. Chyba nie o taki efekt jej chodziło.

WIZERUNKOWE HARAKIRI

Jednak na początku Wysocka-Schnepf triumfowała. „Jak to szło, panie Stanowski? »Masz jedno zadanie: zamknąć się!«. Tak mnie pan zaczął? Karma wraca. To pan ma teraz zamknąć się” – napisała na platformie X,

prezentując postanowienie sądu. „Stanowski jak dotąd grzecznie stosuje polecenie sądu” – dodała zadowolona trzy godziny później. W końcu jednak doczekała się brutalnej odpowiedzi. „Ambasadorko Propagandy, dzisiaj zajmuję się innym tematem. Tym raczej zajmę się w przyszłym tygodniu. Przy okazji – nie mówiłem, że ma pani się zamknąć, tylko że ma pani pilnować zegara. Ciągłe nie może pani zapamiętać swojej roli. W tym cały problem” – odpisał jej Stanowski.

Dziennikarz otrzymał za ten wpis 14 tys. polubień od internautów, a więc 14 razy więcej (!) niż Wysocka-Schnepf. W bitwie wytoczonej Stanowskiemu prezydentka została więc wyraźnie zdeklasowana. I w tym właśnie tkwi cały szkopuł – że mało kto darzy ją sympatią i mało kto jej kibicuje.

Można powiedzieć, że skierowanie przez nią sprawy na drogę sądową jest wyrazem bezsilnej złości. Bo Stanowski nie traktuje jej poważnie, nie boi się jej i – co więcej – daje to publicznie do zrozumienia. W rezultacie Wysocka-Schnepf stała się w internecie obiektem drwin, a to musiało zaboląć wyjątkowo mocno.

Na zdrowy rozum trudno zrozumieć tę przepychankę. Gdyby nie ciągnęła sprawy ze Stanowskim w nieskończoność, wszyscy już dawno zapomnieliby o tym, że kiedyś – podczas kampanii wyborczej – nazwał ją „arcykapłanką propagandy” i przypomniał niechlubną przeszłość jej teścia. Ona jednak, urażona do żywego, popełniła karygodny błąd. Swoją zapiekłością jedynie nagłośniła historię, którą najwyraźniej chciałaby przemilczeć i zaczęła brnąć w konflikt, którego wizerunkowo nie jest w stanie wygrać. Owszem, może postawić na swoim w sądzie, zakazać wypowiadania się na swój temat, ale publicznego szacunku w ten sposób nie kupi.

Na razie jednak Wysocka-Schnepf jest dobrej myśli i szykuje się na kolejny pojedynek ze Stanowskim. Tym razem w internecie. Pod koniec listopada zapowiedziała bowiem start własnego kanału w serwisie YouTube. Być może to nie najgorszy pomysł. Bo choć Kanału Zero raczej nie pokona, to ma przynajmniej szansę na większą oglądalność niż TVP.

Czarzasty pozostanie szefem partii

Koalicja musi sięgać po wszelkie dostępne metody i co jakiś czas powinna próbować odrzucić prezydenckie weto

*Z Waldemarem Witkowskim,
senatorem Lewicy, szefem Unii Pracy,
rozmawia Dorota Łosiewicz*



Jak się panu podobała deklaracja Donalda Tuska w Berlinie, że Polska może sama wypłacić odszkodowania żyjącym ofiarom II wojny światowej?

Waldemar Witkowski: Nie podobała mi się. Gdyby miało dojść do finalizacji tego pomysłu, nie jest to właściwe rozwiązanie. Szkody powinni naprawiać sprawcy, a nie ofiary i ich współtowarzysze. Przecież ofiary – żyjące i te już nieżyjące – pozostały rodziny z traumą. Zadośćuczynienie musi być po stronie tych, którzy stosowali bestialskie metody eliminacji ludzi. Niestety kwestii reparacji nie dopilnowano choćby w traktatach pokojowych. Zostaliśmy wówczas zdradzeni przez wielkie mocarstwa, głównie USA i Związek Radziecki. Mniejsze państwa zostały pominięte.

Może nie zrozumiał pan „światłej” strategii negocjacyjnej premiera? Przecież wicepremier Kosiniak-Kamysz twierdził, że była to prowokacja intelektualna, wicepremier Gawłowski – że szef rządu pogroził Niemcom palcem, a marszałek Czarzasty – że ich zawstydył.

Gdy Donald Tusk wypowiadał te słowa, na pewno był mocno poirytowany postawą kanclerza Merza. Z tego, co wiem, w rodzinie premiera też były ofiary niemieckiego hitleryzmu i nazizmu. To wszystko sprawiło, że ta wypowiedź była mało dyplomatyczna, a bardziej emocjonalna. Uczciwie trzeba jednak powiedzieć, że te słowa wywołały jakiś rezonans w niemieckiej polityce, w środę w niemieckim parlamencie przyjęto bowiem rezolucję wzywającą rząd federalny do niezwłocznego rozpoczęcia fazy planowania oraz budowy w Berlinie pomnika polskich ofiar narodowego socjalizmu i niemieckiej okupacji w latach 1939–1945. Za przyjęciem rezolucji opowiedzieli się obecni na sali plenarnej posłowie i posłanki CDU/CSU, SPD, Zielonych oraz Lewicy. Przeciwno było dwóch deputowanych AfD, reszta tego ugrupowania wstrzymała się od głosu. A przecież wcześniej nie było takiej jednomyślności, przez media przetoczyła

się nawet dyskusja, czy to jest w ogóle potrzebne. W dłuższej perspektywie okaże się, czy to się przełoży na odszkodowania. Już niebawem się dowiemy, czy Niemcy wyasygnują na to środki, np. w budżecie na 2027 r.

A jak się panu podoba pomysł koalicji, by odrzucić prezydenckie weto w sprawie „ustawy łańcuchowej”? **Ryszard Kalisz zachęca nawet, by postępować tak z każdym wetem. Przecież koalicja nie ma 276 głosów.**

Być może marszałek Czarzasty będzie musiał podejmować decyzje niekorzystne dla posłów Lewicy i sympatii sobie nie przysporzy. Niby lubimy, by rządono twardą ręką, pod warunkiem, że nie dotyka ona nas samych

Takie jest prawo. To się nazywa powtórne przegłosowanie ustawy kwalifikowaną większością trzech piątych głosów i wtedy prezydent już nie może zawetować takiej ustawy. A przecież akurat „ustawa łańcuchowa” przeszła większością 280 głosów. Przypomnę, że nawet Jarosław Kaczyński był za. Choć nie sądzę, by posłowie PiS, którzy głosowali za ustawą, zagrali przeciwko prezydentowi. Nie zrobią tego raczej także posłowie Konfederacji, bo to prezydent PiS i Konfederacji. Ogólnie koalicja musi sięgać po wszelkie dostępne metody i co jakiś czas powinna próbować odrzucić prezydenckie weto.

A jak pan patrzy na niedopuszczenie do Konwentu Seniorów kół poselskich, które powstały podczas kadencji? Chodzi o koła partii Razem,

Wolnych Republikanów i Konfederacji Korony Polskiej. Ich posłowie nie kryją niezadowolnienia.

Niektórym to się może nie podobać, ale to działanie zgodne z regulaminem Sejmu, a więc z prawem. Zgodnie z regulaminem w Konwencie biorą udział te komitety, które startowały w wyborach. Podobnie jest w Senacie. Jestem szefem klubu Lewicy. Po wyborach mieliśmy trzy senatorki i sześciu senatorów. Podczas kadencji jeden senator przeszedł do klubu KO. A przecież wyborcy – szczególnie w wyborach do Sejmu – najpierw wybierają partię, na którą głosują, a potem wskazują konkretną osobę na liście. Jeśli polityk w trakcie kadencji zmienia poglądy, jest nieuczciwy wobec wyborców. Nie ma mechanizmu odwołania takiego posła czy senatora, ale w dojrzałych demokracjach zmiana partyjnych barw podczas kadencji prowadzi do infamii. Tak jest w USA czy w Wielkiej Brytanii. Jeśli ktoś zdradził grupę, z którą startował, nie ma szans, by znaleźć się na listach. Przedstawiciele wymienionych kół zdradzili listy, z których startowali, nie mają więc prawa do udziału w Konwencie Seniorów. Pochwalam więc tę decyzję marszałka Czarzastego.

Marszałek Hołownia szczylił się tym, że zlikwidował sejmową zamrażarkę, a marszałek Czarzasty dowodził, że wcale tak nie było. To krytyka poprzednika?

Raczej pokazanie, jak jest w istocie. Marszałek Hołownia miał zasadę konsultowania projektów i kierowania ich do komisji sejmowych, z których już nie wychodziły. Na swoim przykładzie mogę powiedzieć, na czym polegał ten mechanizm. W Senacie z inicjatywy parlamentarnego zespołu ds. spółdzielczości dokonaliśmy zmiany prawa oświatowego, umożliwiając formalne działanie spółdzielni uczniowskich: sklepików, SKO w szkołach. Ustawa była skonsultowana w Senacie, jednogłośnie przyjęta, trafiła do marszałka Hołowni, który skierował ją do konsultacji społecznych. Już się one odbyły. 2 września trafiła do

komisji oświaty i do dziś nie odbyło się tam jej pierwsze czytanie, a to jest warunek, by dalej procedować. Może więc zamrażarka nie istniała w skali całego Sejmu, ale projekty „mrożono” w komisjach.

Czy marszałkowanie Czarzastego przysłuży się lewicy?

Raczej nie zaszkodzi i nie pomoże. Kiedy marszałek jest wyrazisty, łatwiej mu przysporzyć sobie wrogów niż przyjaciół. Być może marszałek będzie musiał podejmować decyzje niekorzystne dla posłów Lewicy i nie zdobędzie sympatii. Niby lubimy, by rządono twardą ręką, pod warunkiem, że nie dotyka ona nas samych.

Marszałkowanie Hołowni sprowadziło jego partię do poziomu poparcia na poziomie ok. 1,5 proc. Lewica – według różnych sondaży – raz jest pod progiem, a raz nad nim.

Lewica ma dość stabilne poparcie i będzie miała własną reprezentację w kolejnym Sejmie. Szymon Hołownia był specyficznym marszałkiem. Był zakochany w tym, co robi i mówi. Nie grał zespołowo, wolał grać na siebie. Okazało się, że nie był dobrym liderem i dlatego jego formacja straciła. Szkoda mi posłów Polski 2050, bo jest tam wiele wartościowych osób, które nie żyły z polityki, tylko trafiły do niej po latach doświadczeń w innej działalności. Takich polityków szczególnie cenię, bo najlepiej by było, gdyby w parlamencie zasiadali ludzie, którzy zbierali doświadczenie życiowe w in-

nych miejscach, coś wiedzą, na czymś się znają, gdzieś odnosili sukcesy. Oni wnoszą do prac legislacyjnych więcej niż ci, którzy znają tylko zawód „poseł” i wyłącznie życie z publicznych pieniędzy.

Teraz wielu z tych posłów chce kandydować na stanowisko szefa partii, ale szybciej odbędą się wybory władz w Nowej Lewicy. Szefem partii powtórnie zostanie Włodzimierz Czarzasty?

Ma największe szanse z grona tych osób, które deklarowały chęć kandydowania, a byli to Tomasz Treła, Krzysztof Gawkowski czy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Nie jestem pewny, czy pani minister wciąż podtrzymuje chęć startu, jest bowiem mocno skoncentrowana na pracy w resorcie. Włodzimierz Czarzasty ma mocną pozycję polityczną, jest bardzo aktywny w terenie – pomijając ten czas, gdy zmagał się z problemami zdrowotnymi. Pojawia się na wszystkich kongresach wojewódzkich. Jego pozycja w partii raczej się umocniła, niż osłabła, sądząc więc, że zostanie wybrany na kolejną kadencję.

Jak pan patrzy – jako człowiek lewicy – na propozycję cię w budżecie NFZ zgłoszoną przez minister zdrowia?

Mamy świadomość, że deficyt budżetowy nie powinien rosnąć. A główne wydatki poza ochroną zdrowia, na którą planujemy wydać prawie 250 mld zł, to obronność. Wydamy na nią ok. 200 mld. Dlatego przy okazji

prac nad budżetem minister Domański napisał do wszystkich ministrów, by szukali oszczędności. Największe znalazł minister sprawiedliwości. W Senacie też tniemy wydatki. Jeśli chodzi o zdrowie – tu mam wątpliwości. Wszyscy, trafiając od czasu do czasu do lekarza, widzimy braki w systemie ochrony zdrowia. Coś trzeba zmienić. Najlepiej by było zwiększyć przychody, ale nie kosztem osób fizycznych. Wszyscy, którzy pracują, płacą 9-proc. składkę na zdrowie. Do tego firmy i instytucje wykupują pracownikom pakiety w prywatnych przychodniach. Trzeci element to samorzady, które są właścicielami szpitali, często wyposażają je w drogi sprzęt, który nie zawsze jest wykorzystywany efektywnie. Mamy też kolejny prywatny segment usług, np. ginekologicznych, stomatologicznych, psychiatrycznych. Kiedy zsumuje się to wszystko, daje to grubo ponad 10 proc. PKB. Ten poziom wydatków na ochronę zdrowia w stosunku do PKB jest więc większy niż w Niemczech. Wydatki idą wieloma strumieniami i nie zawsze są właściwie wykorzystywane. Do tego kilkanaście grup jest zwolnionych z płacenia składki i to nie jest sprawiedliwe. Jako Lewica przygotowaliśmy projekt zmian w finansowaniu opieki zdrowotnej, tak aby był jaśniejszy, prostszy i by do systemu dorzucały się nie tylko osoby fizyczne, lecz także duże korporacje. Czyli nie tylko ci, którzy płacą PIT, lecz także ci, którzy płacą CIT. Niedługo zaprezentujemy ten projekt. /

NOWY PROGRAM

Wierzbicki

Biedroń

mówią jak jest

wPolsce 24

poniedziałek–piątek

18:30

**GDZIE NAS
OGLĄDAĆ:**

52
telewizja
naziemna

909
921, 196
polsat box

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
veetra

65
339, 121
PLAY

459
nasa

631
TOYA

43
evio

Telewizja wPolsce24 mówi prawdę

Informacyjnym sercem najszybciej rozwijającej się stacji w kraju są „Wiadomości wPolsce24”, emitowane codziennie o 19.30. Nowym głównym prowadzącym programu został właśnie Piotr Pawelec



Telewizja wPolsce24 mówi prawdę – to nie tylko hasło marketingowe najszybciej rozwijającej się stacji. To przede wszystkim jej główne zadanie: rzetelnie informować o tym, co dzieje się w Polsce i na świecie. Czasem jest to trudniejsze niż powinno w cywilizowanym kraju. Wszyscy pamiętają szykany, jakie spotykały dziennikarzy wPolsce24 w czasie ostatniej kampanii wyborczej, kiedy sztab Rafała Trzaskowskiego nie pozwalał stacji uczestniczyć w spotkaniach kandydata Koalicji Obywatelskiej z wyborcami.

Niekiedy chęć dotarcia do sedna sprawy wiąże się z przykrymi konsekwencjami. Te spotkały Szymona Szeredę, który za zadawanie pytań demonstrującym zwolennikom obecnej władzy usłyszał zarzuty prokuratorskie.

BRONIĆ PRAWA DO INFORMACJI

Dziś w naszym kraju trzeba bronić prawa do informowania społeczeństwa. Dlatego np. wPolsce24 nie zamierza zostawić bez reakcji ataku na innego reportera stacji, Stanisława Pyrzanowskiego. W minioną środę relacjonował on posiedzenie Sądu Najwyższego, który podjął uchwałę potwierdzającą fakty zapisane w konstytucji i traktatach Unii Europejskiej, a więc to, że polskie

prawo jest nadrzędne wobec unijnego, a instytucje UE nie mają prawa ingerować w obszary, w których nie przekazano im żadnych kompetencji, czyli np. w ustalanie zasad funkcjonowania polskich sądów.

Posiedzenie próbowali zakłócić działacze prorządowego Komitetu Obrony Demokracji. Były okrzyki i transparenty, a także zwykłe chamstwo. Stanisław Pyrzanowski chciał poznać pogląd demonstrantów na to, jak przedstawia się hierarchia prawa w Polsce. – To już nie jesteśmy suwerennym państwem, to już prawo w Polsce stanowią obce sądy? – pytał dziennikarz. – Nie obce, tylko europejskie – odpowiadali aktywiści KOD. – A w jakim kraju mieszkamy, w Europie czy w Polsce? – dociękał Pyrzanowski. – Tutaj są źródła prawa, ale to nie ma co odpowiadać, bo to jest prawackie ścięstwo – odrzekła w końcu Małgorzata Rosłońska-Kijowska, żona byłego lidera KOD Mateusza Kijowskiego.

Potem inny z fanów władzy zasłonił kartką kamerę konserwatywnej stacji, uniemożliwiając dziennikarzom normalną pracę.

– My tych sytuacji nie tolerujemy, my te sytuacje będziemy ścigali prawnie i nie zostawimy tego w ten sposób

– stwierdził w wypowiedzi dla „Wiadomości wPolsce24” dyrektor programy stacji Mariusz Pilis.

NAJWAŻNIEJSZE WIADOMOŚCI I KOMENTARZE

To właśnie emitowany codziennie o 19.30 program jest informacyjnym sercem wPolsce24. W nim są omawiane najważniejsze wiadomości dnia, tutaj padają kluczowe komentarze odnośnie do tego, co się dzieje w naszym kraju. Od niedawna wszystkie wydania „Wiadomości wPolsce24” prowadzi Piotr Pawelec.

– Piotr Pawelec? Niezwykle pracowity, bardzo solidny dziennikarz. Do tego kamera go lubi – mówi nam dyrektor programowy wPolsce24 Mariusz Pilis. – Swoją ciężką pracą i wysokim poziomem pracy dziennikarskiej wypracował sobie pozycję gospodarza naszego flagowego programu informacyjnego. Piotr jest poza wszystkim bardzo sympatycznym człowiekiem. Emanują z niego spokój i szacunek dla ludzi. Widzimy, że nasi widzowie bardzo to cenią.

Pawelec jest dziennikarzem z olbrzymim doświadczeniem. Pracował w TV Republika, a potem przez wiele lat

był związany z Telewizją Polską (oczywiście zanim ta po brutalnym przejęciu przez obecną władzę została postawiona w stan likwidacji). Był w niej reporterem, wydawał „Teleexpress” i współpracował z „Wiadomościami”. Dla wPolsce24 Pawelec pracuje od jesieni ub.r. Tutaj także zaczynał jako reporter, przygotowując informacje z zagranicy dla „Wiadomości wPolsce24”. Świetne, bardzo merytoryczne materiały zaskarbiły dziennikarzowi sympatię odbiorców. Pawelec zaczął się więc pojawiać także jako prowadzący głównego programu informacyjnego wPolsce24.

Reakcja widzów była tak dobra, że szefostwo stacji powierzyło mu codzienne prowadzenie „Wiadomości” od poniedziałku do piątku. Program zdobywa widzów. W listopadzie w szczycie oglądalności gromadził on przed telewizorami 274, 291 a nawet 307 tys. osób.

„Z POKORĄ ZABIEGAMY O WIDZA”

Nowy główny prowadzący „Wiadomości wPolsce24” to kolejna ze zmian, jakie miały miejsce w ramówce stacji w ostatnich miesiącach. Przede wszystkim dochodziły nowe formaty. Mamy więc hitowy, współprowadzony przez byłą rzeczniczkę Karola Nawrockiego program „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest” (poniedziałek–piątek, godz. 18.30). Najlepsze poranne rozmowy polityczne to domena doskonale znanego naszym czytelnikom Marcina Wikły (ponie-

dzialek–piątek, godz. 8.15). Od razu po „Wiadomościach wPolsce24” wydarzenia dnia w nowoczesnej, bardzo dynamicznej formie podsumowują inni autorzy tygodnika „Sieci”, a więc Dorota Łosiewicz i Marek Pyza („Minęła 20.05”, od poniedziałku do piątku, godz. 20.05). Do Samuela Pereiry prowadzącego au-

– Jesienne zmiany w ramówce sprawdziły się, nowe formaty szybko zyskały sympatię widzów. Jesteśmy teraz telewizją jeszcze bardziej autorską, bazującą na warsztacie i osobowościach dziennikarzy tworzących wPolsce24 – mówi redaktor naczelny telewizji wPolsce24 Jacek Karnowski

torską, publicystyczną „Piątkę” w dni powszednie o 13.00 dołączył Oliwier Pochwat, którego „Piątka” emitowana jest od poniedziałku do piątku o 13.20.

Nowe pozycje weekendowe to „Zwalniamy Cię” Wiktora Świetlika, Wojciecha Surmacza i Marty Radzioch (niedziela, godz. 14.00), a także świetnie

przyjęte przez widzów „Hity Feusette’a” (niedziela, godz. 20.05). Tuż po „Hitach” antenę przejmuje Magdalena Ogórek z publicystyczno-rozrywkowym show „Studio Magdaleny Ogórek” (niedziela, godz. 21.00).

– Jesienne zmiany w ramówce sprawdziły się, nowe formaty szybko zyskały sympatię widzów. Jesteśmy teraz telewizją jeszcze bardziej autorską, bazującą na warsztacie i osobowościach dziennikarzy tworzących wPolsce24 – mówi redaktor naczelny telewizji wPolsce24 Jacek Karnowski.

Telewizja wPolsce24 jest najszybciej rozwijającą się stacją informacyjną w kraju. Według danych firmy Nielsen, zajmującej się telemetrią, średnia minutowa widownia wPolsce24 wynosiła w listopadzie blisko 86 tys. widzów, a udział w rynku sięgnął 1,53 proc. Są dni jak 11 listopada, kiedy wPolsce24 nadawała m.in. ekskluzywny wywiad z prezydentem Karolem Nawrockim, ze średnią oglądalnością zbliżającą się do 150 tys. widzów (w szczycie było to ponad 580 tys. widzów) i udziałami w rynku przekraczającymi 2 proc.

– Zadaniem na najbliższe miesiące jest dalsze budowanie widowni. Nie spieszymy się, nie robimy rewolucji. Z pokorą zabiegamy o każdego widza, oferując uczciwość i patriotyczny punkt widzenia. Napędza nas poczucie, że służąc naszym widzom, służymy sprawie polskiej wolności. Tej wszak nie ma bez niezależnych, robionych przez Polaków dla Polaków mediów – podkreśla Jacek Karnowski. **EW**



wPolsce 24

Najważniejszy program informacyjny.

Codziennie o 19:30

GDZIE NAS
OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

909
921, 196
polsat box

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
veetra

65
339, 121
PLAY

459
nasa

631
TOYA

43
evio

Twarzą w twarz z diabłem

Moim zdaniem tylko w Polsce panuje histeria na temat egzorcyzmów, we Włoszech nigdy nie przeżyłam czegoś takiego. Od samego początku wszyscy egzorcyści godzili się, żeby te obrzędy były nagrywane

Z Anną Golędzinowską, byłą polską modelką, a dziś ewangelizatorką, rozmawia Goran Andrijanić



Fot. Marco Canova

Utrata ojca i trudne dzieciństwo w Warszawie, kiedy była pani wykorzystana seksualnie. Potem przeprowadzka do Włoch oraz kariera w świecie mody i mediach w Mediolanie, narkotyki i relacja z siostrzeńcem Silvia Berlusconi. Mimo sukcesu poczucie pustki i bólu. I potem nawrócenie. To wszystko opisała pani w swojej pierwszej książce „Ocalona z piekła”, opublikowanej w 2012 r. Teraz napisała pani nową książkę – „Twarzą w twarz z diabłem”. O czym ona jest?

Anna Golędzinowska: Moja pierwsza książka „Ocalona z piekła” kończyła się moim pierwszym wyjazdem do Medziugorie. Nie ma w niej historii mojego powrotu do Mediolanu, gdzie zaczęłam swoją drogę do nawrócenia. W nowej książce piszę o tym, co przeszedłam, gdy zostawiłam Mediolan. To moja droga duchowa.

I trudny temat egzorcyzmu. Opisuje pani, jak przez sześć lat walczyła z opętaniem.

Kiedy to wszystko się zaczęło i uświadomiłam sobie, że jestem opętana, oczywiście nie myślałam o pisaniu żadnej książki. To był temat, którego się wstydziałam. Przyznanie się do tego, że jesteś opętany, nie jest łatwe. Jeżeli zaczynasz być blisko Pana Boga i zmieniasz swoje życie, jest oczywiste, że zły duch szybko nie da za wygraną.

A pani zaczęła mocno zmieniać życie, i to nie tylko swoje. Z pomocą ruchu Cuori Puri, który zainicjowała pani w Medziugorie, tysiące młodych zdecydowało się, by żyć w czystości do ślubu.

Tak. Wcześniej trafiałam natomiast do egzorcyistów i był to początek sześciolatniej walki, która skończyła się w 2018 r., kiedy zostałam uwolniona. Od tamtej pory nie udzielałam wywiadów. Musiałam przetrwać to, co się stało i odsunąć się w cień. Zły duch sprawił, że straciłam wszystko, musiałam odbudowywać swoje życie. Dopiero po jakimś czasie, kiedy udało mi się je ustabilizować i nabrałam dystansu do tego

wszystkiego, poczułam wewnętrzny obowiązek opowiedzenia o tym. Tym bardziej teraz, kiedy ludzie odchodzą od Pana Boga. W Ewangelii jest historia o tym, jak Pan Jezus uzdrowił dziecięciu trędowatych, a tylko jeden z nich przyszedł, żeby podziękować. Reszta o tym zapomniała. Ja nie chciałam być tą resztą. Powiedziałam sobie, że trzeba dać świadectwo, trzeba to opowiedzieć.

Pani książka zawiera szczegółowy opis egzorcyzmów. Są nawet transkrypcje ich nagrań.

Nagraliśmy prawie wszystkie egzorcyzmy. Kiedy je rejestrowaliśmy, nie myślałam, żeby to gdzieś opublikować. Nagranie miało służyć mojej „ochronie” w przypadku utraty świadomości podczas egzorcyzmu. Chciałam wiedzieć wszystko, co mówiłam w czasie modlitwy nade mną.

Okazało się, że w czasie egzorcyzmów była pani wszystkiego świadoma.

Wiedziałam, co się dzieje, zawsze byłam świadoma. W pewnym momencie spytałam ks. Gabriela Amortha, czy możliwe jest, że ktoś pamięta wszystko, co się stało w czasie jego egzorcyzmu. Odpowiedział mi, że tak i jest bardzo dużo takich przypadków. Czułam się, jakby moja dusza została zamknięta w jakimś słoiku i mogła tylko patrzeć, ale nie była w stanie niczego zrobić, bo ktoś inny używa mojego ciała i głosu. Może to, co powiem, jest głupie, ale miałam odczucie, jakby moja dusza była złączona z Panem Bogiem, czysta i niewinna, i siedziała w tym słoiku, cierpiąc z powodu tego, co tamten [demon – przyp. red.] wyrabiał z moim ciałem. Tak jak małe dziecko, kiedy wyżywa się na nim jakiś dorosły.

Mówiła pani o ks. Amorthcie. Oprócz niego przez egzorcyzm przeprowadzał panią także o. Cipriano de Meo, uczeń św. o. Pio i kilku innych egzorcystów.

Bo byłam bardzo trudnym przypadkiem. Jak mi wyjaśnili, są różne poziomy opętania, a ja byłam tym najcięższym.

Temat egzorcyzmów wydaje się owiany tajemnicą, jednak w książce pisze pani o nich otwarcie. Czy nie uważa pani, że takie podejście może wywołać negatywne reakcje?

Moim zdaniem tylko w Polsce panuje histeria na temat egzorcyzmów, we Włoszech nigdy nie przeżyłam czegoś takiego. Od samego początku wszyscy egzorcyci godzili się, żeby te obrzędy były nagrywane. O. Amroth czy o. Cipriano pisali książki, w których publikowali dialogi ze złym duchem. Jest film pt. „Matteo” Michała Konrada – o. Cipriano pozwolił nagrać do niego egzorcyzmy. Dla mnie to było normalne. W maju zostałam zaproszona jako prelegentka na międzynarodowy kurs modlitwy o uwolnienie i egzorcyzmów na Papieskim Uniwersytecie Regina Apostolorum w Rzymie, gdzie było

200 kapłanów, kandydatów na egzorcystów lub już posługujących. Opowiadałam o swoich doświadczeniach i nikt do mnie nie podszedł z uwagą: „Pani Aniu, o tym nie można mówić”. Rozumiem, że w sprawie egzorcyzmów powinny być jakieś reguły i są one bardzo ważne. Myślę jednak, że jeżeli za zgodą egzorcysty ofiara opętania chce o tym opowiedzieć, to w jakiś sposób może przedstawić materiał do szkolenia czy zrozumienia tego trudnego tematu.

Żyjemy w czasach, w których rzeczywistość duchowa objawiająca się w egzorcyzmie bywa lekceważona. Uważam, że trzeba o niej mówić.

Ważne jest też to, jak się o niej mówi. Oczywiście nie trzeba z tego robić sensacji, ale należy dać do zrozumienia, że zły istnieje, że to niebezpieczeństwo jest realne. Żeby to ilustrować, często wykorzystuję przykład z grzybami. Idziesz do lasu i znajdujesz tam grzyby, który znamy jako szatan. Jest przepiękny, podobny do prawdziwka,

REKLAMA

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

**Dbamy o to,
co się liczy.**

Oferta dostępna w placówkach
Spółdzielczych Kas
oraz Banków Spółdzielczych

**Ubezpieczenie
mieszkań i domów
jednorodzinnych
SALTUS – Mój DOM**

Szeroki zakres ochrony, który możesz
dopasować do swoich potrzeb.



Informacja o charakterze
reklamowym i marketingowym

ale trujący. Demon robi dokładnie to samo. Przybiera postać dobra. Jeśli nie będziesz umiał go rozpoznać po szczegółach, możesz się zatruć. Są też grzyby, które nie są trujące, ale kiedy wypijesz po nich kieliszek wina, tworzy się mieszanina chemiczna, które może cię zabić. Musimy się nauczyć, jak się bronić przed tym niebezpieczeństwem. Jest droga, którą możemy iść i która uwalnia nas od zła, czyli Pan Jezus, który nas uzdrawia. Ludzie muszą zdać sobie sprawę, że świat duchowy istnieje i jest obok nas. Za każdym razem, kiedy prosimy o wsparcie, święci przychodzą nam z pomocą. Trudno to zrozumieć, ale podczas egzorcyzmu widziałam, że oni są ze mną. O. Amorth mówił, że w seminariach wszyscy powinni być nauczani o egzorcyzmach i każdy seminarzysta powinien przynajmniej przez rok być obok jakiegoś egzorcysty. Bo jeżeli nie, to potem ci młodzi kapłani nie mają pojęcia o świecie duchowym. Niektórzy z nich zostają nawet biskupami, prowadzą Kościół, nie wierząc w jego wymiar duchowy. Przecież na tym wszystko bazuje.

W książce można przeczytać, że będąc opętana, prowadziła pani bardzo intensywne życie duchowe, przyjmowała nawet komunie.

Jest bardzo dużo takich przypadków. Mówi o tym wielu egzorcystów i wcale nie jest to nienormalne. Jest też wiele świętych osób, które są i były atakowane przez szatana właśnie za to, co robią.

W tym samym czasie na człowieka działa z jednej strony łaska, a z drugiej – zło. Jak pani to tłumaczy?

Nie mam wytłumaczenia. Jestem tylko narzędziem Pana Boga i to on wie, czemu to się stało i czemu na to pozwolił. Ja wiem tylko o tym, co robiłam, więc mogę o tym opowiedzieć. Jeździłam po całym świecie i z pomocą naszego ruchu wielu młodych ludzi nawróciło się na drogę czystości. W prawie wszystkich egzorcyzmach słyszałam, że jemu nie podobało się właśnie to. Ktoś rzucił klątwę, która była wielokrotnie powtórzona, żeby popsuć wszystko, co robiłam. I prawie mu się to udało.

Temat czystości jest dzisiaj szczególnie istotny.

Jest bardzo ważny. Podczas jednego z egzorcyzmów była obecna św. Maria Goretti. Na nagraniu, które jest również w internecie, można usłyszeć, jak bardzo szatan nienawidzi czystości. Jak nienawidzi św. Marii Goretti. Jak chce zniszczyć wszystkie małżeństwa. Mówił, że nienawidzi małżeństwa i tych, którzy składają obietnicę przed tym „wstrętnym”, czyli przed Panem Jezusem. Nieprzyjaciel chce młodości brudnej duchowo.

Byłam bardzo trudnym przypadkiem. Jak mi wyjaśnili egzorcyci, są różne poziomy opętania, a ja byłam tym najcięższym. Moja walka trwała sześć lat

Wszyscy księża, z którym rozmawiam, mówią, że Kościół bardzo potrzebuje egzorcystów.

Szpecially dzisiaj. Kiedyś opętania były rzadkie, bo ludzie chodzili do kościoła i ich wiara była mocniejsza. Teraz jest o wiele więcej przypadków opętań, ale nie ma egzorcystów. We Włoszech jest ich bardzo mało, w Niemczech podobno nie ma ich w ogóle. Znam przypadek, gdy kobieta z Niemiec specjalnie przyjechała na drugi koniec Włoch, prosząc o egzorcyzm. Takie osoby bardzo cierpią. Egzorcystów jest za mało i nie mają czasu, żeby zając się wszystkimi. Poza tym bywają wyśmiewani albo źle traktowani przez swoich współbraci. Nawet w samym Kościele nie ma prawdziwego zrozumienia tego, co oni naprawdę robią.

Pani historia jest przede wszystkim opowieścią o zwycięstwie dobra nad złem.

To motyw, który powtarza się w całej książce. Na nagraniu jednego z moich ostatnich egzorcyzmów można usłyszeć złego ducha, który mówi, że musi nam coś powiedzieć, bo zmusiła go do tego Matka Boska. Powiedział nam, że wszyscy musimy być wierni Chrystusowi. Nie chciał tego powiedzieć, ale zmusiła go od tego Maryja. Moim zdaniem to jest jedyna prawda warta opowiedzenia. Wszyscy musimy być wierni Chrystusowi. Jest obietnica życia wiecznego, musimy tylko zrobić krok do wiary, otworzyć serce i w to uwierzyć.

Muszę zapytać o Medziugorie. W ostatnich latach zmieniła się struktura narodowościowa pielgrzymów. Wcześniej najwięcej było Włochów, teraz – Polaków.

Po mojej pierwszej książce Polacy zaczęli coraz liczniej odwiedzać Medziugorie. Potem śp. abp Henryk Hoser został mianowany wizytatorem apostolskim, co również sprzyjało otwarciu Polaków na to miejsce. O Medziugorie trudno opowiadać – trzeba tam pojechać. Każdy ma swoją historię i drogę do Matki Boskiej. Ja nigdy nie widziałam tam Bogarodzicy czy wirującego słońca, ale na pewno można tam czuć obecność Jezusa i Maryi. Tam modlitwa łączy się z niebem, a łaska jest mocno odczuwalna. Poznałam tam Maryję dopiero po dwóch latach. Przyjechałam ją wtedy jako moją matkę. Wcześniej zakochałam się w Panu Jezusie. Nie wiem, czy wszyscy tak mają. Jeśli ktoś tam pojedzie i zostanie dotknięty, zaprasza tam

znajomych i rodzinę, bo chce, żeby oni też doświadczyli tego, co on. To miłość Boga i jego przebaczenie. Tam jest morze przebaczenia przez sakrament spowiedzi. Wiele ludzi po latach zostawia tam swoje grzechy i zmienia swoje serce. Ci, którzy tego doświadczyli, nie mogą tego zatrzymać dla siebie.



Oslabiony Zełenski i perspektywy zgniłego pokoju

Pozycja Zełenskiego jest dziś bardzo osłabiona w związku z wielką aferą korupcyjną. Czy w takiej sytuacji może on wynegocjować takie warunki zakończenia wojny, by Ukraińcy uznali je za honorowe? Wydaje się to wyjątkowo trudne. Europejscy sojusznicy Kijowa niewiele robią, by mu pomóc, a Putin stawia twarde warunki zawieszenia broni



MAREK BUDZISZ

Włodimir Zełenski, przebywając w Irlandii, powiedział, że „liczy na sprawiedliwy pokój”. Jego słowa są raczej przejawem myślenia życzeniowego niż planem zakończenia wojny na warunkach, które Ukraina mogłaby uznać za honorowe. Putin – jak donoszą dziennikarze NBS News – po rozmowach w Moskwie z amerykańską delegacją nie chce ustąpić w trzech kwestiach: oddania przez Ukrainę całego Donbasu, formalnego uznania aneksji przez Amerykę i Europę oraz limitów ilościowych i jakościowych dotyczących wielkości ukraińskich sił zbrojnych po zakończeniu wojny. Z innych punktów, takich jak ostateczne odrzucenie przez Kijów i sojuszników planów akcesji do NATO czy narzucenie Ukrainie ustawodawstwa językowego oraz swobody działania dla Cerkwii Patriarchatu Moskiewskiego, rosyjski prezydent nie musi ustępować, bo warunki kompromisu zaproponowanego przez Trumpa całkowicie odpowiadają Rosji.

Warto pamiętać, że pozycja Zełenskiego jest dziś bardzo osłabiona w związku z wielką aferą korupcyjną, ponadto dymisja Andrija Jermaka,

wszechmocnego szefa administracji prezydenta Ukrainy, ożywiła rywalizację polityczną, a nawet walkę przedwyborczą. Co prawda nie ma jeszcze żadnych decyzji dotyczących wyborów – zarówno prezydenckich, jak i parlamentarnych – ale muszą się one kiedyś odbyć, bo kadencja wszystkich władz w związku z wojną została przedłużona ponad konstytucyjne limity.

POLITYCZNE OŻYWIENIE

Dziś na Ukrainie wszyscy wiedzą, że wybory muszą zostać zorganizowane, by życie polityczne wyszło ze stanu uśpienia. Zaktywizowali się deputowani Europejskiej Solidarności Poroszenki, którzy przez pewien czas okupowali nawet mównicę w ukraińskim parlamencie, domagając się powołania „rządu jedności narodowej” w miejsce obecnego gabinetu zdominowanego przez Sługę Narodu, formację Zełenskiego. Buntują się też deputowani „monowiekszości” – jak określa się w Kijowie formację prezydencką – bo nie zatwierdzili oni jeszcze nowych nominacji ministerialnych w miejsce odwołanych już przed tygodniem w związku z aferą korupcyjną szefów resortów. Na początku grudnia odbyło się zamknięte posiedzenie klubu Sługi Narodu z premier Juliją Swyrydenko. Posłowie domagali się zmiany dotychczasowego podejścia do decyzji personalnych. Do tej pory kandydatów na ministrów wybierano w toku zakulisowych negocjacji, w których decydujący głos

Fot. president.gov.ua

należał do prezydenckich urzędników, a Rada Najwyższa zatwierdzała jedynie nowy skład rządu. Tak było w czasie letnich przetarasowań, w wyniku których premier Szmyhał przeszedł na stanowisko ministra obrony, a jego miejsce zajęła dotychczasowa wicepremier Julija Swyrydenko. Teraz deputowani – i to jest w ukraińskiej polityce zapowiedź tektonicznej zmiany – chcą samodzielnie wylaniać kandydatów na wakujące stanowiska ministrów, a nie jedynie zatwierdzać cudze wybory.

MOCNA POZYCJA MUNDUROWYCH

Nie ulega wątpliwości, że w związku z trwającymi negocjacjami na temat zakończenia wojny, a także słabnącą pozycją Zelenskigo, w ukraińskiej polityce większą rolę zaczną odgrywać „ludzie w mundurach”. Zapowiedzią tego trendu był skład ukraińskiej delegacji na rozmowy w Miami i Genewie. Decydującą rolę w zespole negocjacyjnym odgrywali – prócz Rusłana Umerowa, byłego ministra obrony, a obecnie sekretarza Rady Bezpieczeństwa – młody, bo 45-letni gen. Andrij Hnatow, szef Sztabu Generalnego ukraińskich sił zbrojnych, i Wadim Skibicki, zastępca szefa wywiadu wojskowego. Jego przełożony Kyryło Budanow też wyszedł z cienia. Spotkał się z Zelenskim, co komentatorzy ukraińskiego życia politycznego odczytali jako próbę ratowania przez prezydenta jego słabnącej pozycji. Budanow stanął także na czele ukraińskiej delegacji, która spotkała się w Abu Zabi z Danem Driscollem, zastępcą szefa Pentagonu, świeżo mianowanym przez Trumpa specjalnym wysłannikiem ds. Ukrainy i przedstawicielami Rosji. Te negocjacje, którym światowe media poświęcają znacznie mniej uwagi niż rozmowom w Genewie i Moskwie, z punktu widzenia ukraińskiej polityki wewnętrznej są sygnałem, że wywiad i armia muszą „akceptować” warunki pokoju.

Publiczną aktywność zwiększył też Walerij Załużny, były dowódca ukraińskich sił zbrojnych, obecnie ambasador w Wielkiej Brytanii, najpopularniejszy dziś polityk na Ukrainie. Opublikował on w „The Telegraph” artykuł, w którym oskarżył Zelenskigo o nieprzygo-

towanie kraju do wojny i opowiedział się za porozumieniem pokojowym, ale nie traktowanym jako wieczny pokój, a raczej ujmowanym w kategoriach pieriedyszki, czyli przerwy, którą Ukraina musi dobrze wykorzystać, aby być gotową do nowego starcia. To przygotowanie – jak napisał Załużny – musi oznaczać zarówno odbudowę gospodarki, jak i rozbudowę armii, ale przede wszystkim wytrzebiecie korupcji. Były dowódca ukraińskich sił zbrojnych niedwuznacznie sugeruje w swym artykule, że zwycięstwo było możliwe, ale zawiedli rządzący, czyli Zelenski, i obawiający się Rosjan sojusznicy. Teraz Ukraina, wchodząc w trudny czas powojennych napięć, potrzebuje silnego przywództwa.

Media w Kijowie już kilkanaście dni temu pisały, że Załużny zorganizował w Londynie zespół doradców, w tym specjalistów od wizerunku i taktyki wyborczej, co zostało odczytane jako krok do przygotowań do startu w wyborach prezydenckich.

KRYTYCY I OBROŃCY PREZYDENTA

Oslabiona pozycja Zelenskigo uruchomiła również mechanizmy przytłumione w związku z obowiązującym na Ukrainie stanem wojennym. Gra polityczna dopiero się zaczyna. Z aresztu został właśnie wypuszczony Rusłan Magamedrasułow, agent agencji antykorupcyjnej NABU, który miał zdobyć kluczowe dowody w aferze korupcyjnej Mindicsa. Za kratami znalazł się po tym, jak Zelenski – ukraińskie media piszą już o tym otwarciu – broniąc swoich współpracowników, miał latem tego roku nakazać generałowi Maliukowi, szefowi SBU, szukanie „haków” na funkcjonariuszy tej specjalnej agencji antykorupcyjnej. Przy okazji rozpoczęto akcję propagandową, dziś wiążaną z działaniem Andrija Jermaka, w której oskarżano prowadzących dochodzenie w sprawie korupcji w gronie najbliższych współpracowników Zelenskigo o związek z Moskwą. Julija Mendel, była sekretarz prasowa Zelenskigo, publicznie oskarżyła Jermaka zarówno o to, że ten wprowadził prezydenta w błąd, przekonując go, że „Rosja nie zaatakuje”,

jak i zmonopolizował władzę, a jej zdaniem miał mieć ambicje zajęcia miejsca Zelenskigo.

Oslabiony Jermak, który – jak donosi „Ukraińska Prawda” – do końca nie wierzył, że zostanie odwołany i którego rozstanie z Zelenskim „było burzliwe”, na razie nie odpowiada na te oskarżenia, ale jest tylko kwestią czasu, kiedy zabierze głos. Efektem nie będzie raczej wzmocnienie pozycji prezydenta, bo prędzej czy później zaczną wypływać nowe „kompromaty”. Przeciwnicy polityczni będą – zresztą zgodnie z prawdą – głosić, iż Zelenski patronował korupcyjnemu powiązaniom, w które byli uwikłani jego najbliżsi przyjaciele i współpracownicy. Zwolennicy, oskarżając Jermaka, przyczynią się z kolei do budowy wizerunku głowy państwa jako polityka słabego, podatnego na wpływy, człowieka, który dał się omotać wszechmocnemu szefowi własnej administracji.

BEZSILNOŚĆ EUROPY

Na ten niewesoły obraz zamętu w ukraińskiej polityce wewnętrznej należy nałożyć również niepokojące informacje na temat dążeń Rosji i słabości państw sprzyjających Ukrainie. „Władimir Putin będzie dyktował warunki pokoju na Ukrainie, ponieważ wygrywa wojnę. Żadne oburzenie ze strony szefowej unijnej dyplomacji Kai Kallas nie zmieni tego brutalnego faktu. Europejscy przywódcy mogą opracowywać dowolne alternatywne plany pokojowe, ale jedyny głos, który naprawdę się liczy, to głos Putina” – napisał na temat perspektyw zakończenia wojny Owen Matthews, komentator brytyjskiego dziennika „The Telegraph”. Ten trzeźwy, a może nawet brutalny sąd dobrze oddaje położenie Europejczyków, ze zdaniem których obecnie nikt się nie liczy, bo w tej debacie między państwami nie ma znaczenia, kto ma rację, ale kto dysponuje realną siłą i jest gotowy do jej użycia. Putin doskonale to rozumie, deklarując, że „mówił setki razy, iż Rosja nie ma zamiaru atakować Europy”, ale jeśli państwa naszego kontynentu w zdecydują się na wojnę, to on jest gotów rozpocząć ją nawet dzisiaj.

Na Kremlu doskonale zdają sobie sprawę z tego, że wojownicze deklaracje Londynu, Paryża czy Warszawy nie

są poparte argumentem siły – można nawet raczej mówić o wielu przejawach bezsilności. Najlepszym przykładem są sankcje. Europejczycy nałożyli na Rosję już 19 pakietów, co amerykański minister skarbu Scott Bessent skomentował, mówiąc, że już sama liczba tych regulacji najlepiej wskazuje na oczywisty fakt, iż w praktyce nie działają.

Tego samego dnia, kiedy Steve Witkoff i zięć Trumpa Jared Kushner zasiadali z Putinem i jego doradcami do rokowań w sprawie zakończenia wojny (które zresztą do niczego nie doprowadziły), Europejczycy zdecydowali o kolejnych sankcjach. Postanowili całkowicie zaprzestać importu rosyjskiego gazu. Tylko że ograniczenia mają wejść w życie 1 listopada 2027 r., co na Kremlu musiało raczej wywołać rozbawienie, niż zwiększyć gotowość do ustępstw. Warto również pamiętać, że od początku wojny państwa europejskie zapłaciły Rosji za jej surowce energetyczne 220 mld euro, a to oznacza, że jeśli Kreml ma za co kontynuować wojnę, to kraje naszego kontynentu znacznie się do tego przyczyniły.

Innym przykładem bezsilności Europy jest negocjowanie od tygodni użycia zamrożonych w Belgii rosyjskich aktywów, aby poręczyć nimi specjalną, wartą co najmniej 140 mld euro – a mówi się nawet o 210 mld – pożyczkę dla Ukrainy. Bez tych środków Kijów nie będzie w stanie funkcjonować, nie mówiąc już o kontynuowaniu wojny, a sprawa musi zostać rozstrzygnięta do połowy grudnia, bo wówczas spotykają się w Brukseli ministrowie finansów państw członkowskich.

Belgia – a to na terenie tego państwa znajduje się Euroclear, firma, w której zamrożone są rosyjskie aktywa – jest za ich użyciem, ale w taki sposób, aby ryzyko nie obciążało wyłącznie tego niewielkiego i bardzo zadłużonego kraju, ale rozkładało się na wszystkich. Bart De Wever, premier Belgii, obawia się, że Unia nie będzie w stanie podjąć decyzji o przedłużeniu na kolejne sześć miesięcy decyzji o zablokowaniu rosyjskich aktywów. Po ostatniej podróży Orbána do Moskwy i uznanych

za prorosyjskie deklaracjach premiera Słowacji taki scenariusz wcale nie jest nieprawdopodobny. Wówczas Rosjanom trzeba będzie oddać ich pieniądze i to Belgia będzie musiała radzić sobie z takim ryzykiem. Ale skoro przez ostatnie cztery lata państwo to czerpało zyski podatkowe – bo dochody z rosyjskich aktywów dawały Belgii kilka miliardów dolarów rocznie – to teraz musi być gotowa na problemy związane z ich przejęciem – mówią krytycy Brukseli.

Jednak De Wever nie ustępuje i w związku z tym pojawiła się propozycja kompromisowa. Wszystkie kraje

Ukrainie pozostaje albo kontynuowanie obrony bez nadziei na zwycięstwo, albo zaakceptowanie „zgniętego pokoju”, potraktowanie go w kategoriach przerwy na wytchnienie i przygotowanie się do nowego starcia

Unii miałyby zagwarantować, że jeśli trzeba będzie oddać pieniądze Rosjanom, to Europa „się złoży” i wyasygnuje 140 mld euro. Jest wszakże jeden problem. Nawet dla dużych i zamożnych państw naszego kontynentu zdobycie takiej kwoty nie jest kwestią godzin i w takiej sytuacji będzie potrzebne „finansowanie pomostowe”, czyli zaangażowanie instytucji finansowej, która wyłoży pieniądze. Pojawiła się propozycja, aby był nią Europejski Bank Centralny z siedzibą we Frankfurcie, ale jego władze odrzuciły tego rodzaju pomysły, stwierdzając, iż to „wykracza poza kompetencje” przyznane ECB przez państwa członkowskie.

Ten długi opis perturbacji związanych z rosyjskimi aktywami ilustruje oczywistą prawdę – Europa dużo mówi, a mało robi i na dodatek nie dysponuje realnymi narzędziami presji, za po-

mocą których mogłaby zmusić Putina do czegokolwiek.

W związku z impasem w sprawie rosyjskich aktywów Ursula von der Leyen przedstawiła projekt rozwiązania, które trudno zaakceptować nawet jej najgorętszym zwolennikom. Chce się odwołać do regulacji przygotowanych na potrzeby reagowania w sytuacji wojny lub klęsk żywiołowych. Ale takie nadzwyczajne narzędzia nie budzą – delikatnie mówiąc – entuzjazmu w państwach członkowskich. Jeden z wysokich rangą urzędników UE powiedział dziennikarzom „Financial Times”: „Jeśli zapytacie mnie, czy wjeżdżamy prosto w ścianę, to odpowiedź brzmi: »Tak«”. Dlaczego? Bo zdaniem innych oceniających propozycję Komisji użycie środków nadzwyczajnych wcale nie gwarantuje sukcesu. Może się zatem okazać, że Bruksela, dążąc do zapewnienia finansowania Ukrainie, nie osiągnie swoich zamierzeń, łamiąc przy okazji unijne prawa i wywołując głęboki kryzys polityczny Wspólnoty.

Jeśli nie zostanie znalezione rozwiązanie, to Ukraina nie będzie miała pieniędzy na prowadzenie wojny, a w przyszłym roku potrzebuje co najmniej 70 mld dol.

Matthews napisał, że „Europa sprzeciwia się pokojowym planom Trumpa”, ale nie potrafi wypracować żadnej wiarygodnej alternatywy. Na papierze państwa naszego kontynentu wspierające Ukrainę mogą napisać, iż po wojnie powinna mieć ona 800-tysięczną armię. Ale kto ją sfinansuje i uzbroi? Nie wiadomo. Dziś Europa nie ma wojska, nie rozbudowała swej produkcji zbrojeniowej do poziomu umożliwiającego samodzielne zaopatrywanie Kijowa, nie jest nawet w stanie znaleźć środków wystarczających na kontynuowanie wojny. Na podstawie jakich argumentów chce zmusić Putina do pokoju „na naszych warunkach”, kiedy to on dyktuje warunki zakończenia wojny?

Ukrainie pozostaje albo kontynuowanie obrony bez nadziei na zwycięstwo, albo zaakceptowanie „zgniętego pokoju”, potraktowanie go w kategoriach przerwy na wytchnienie i przygotowanie się do nowego starcia.



Ci groźni Polacy

Spójne stanowisko AfD w sprawie Polski i relacji polsko-niemieckich nie istnieje. Raz do głosu dochodzi pragmatyzm, innym razem resentymenty, które padają na podatny grunt w kraju, który coraz silniej wypiera swoją przeszłość



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Na jego wiecach krzyczą najpierw: „Sieg!”, a potem „Mund!”. On nie widzi w tym nic zdrożnego. On to Ulrich Siegmund, polityk Alternatywy dla Niemiec (AfD), który w przyszłym roku może zostać premierem Saksonii-Anhalt. W tym kraju związkowym na wschodzie partia Alice Weidel i Tino Chrupalla ma prawie 40 proc. poparcia w sondażach. Wybory odbędą się we wrześniu 2026 r.

Siegmund, z zawodu przedstawiciel handlowy (sprzedawał m.in. odświeżacze powietrza), w rozmowie z dziennikarzami „Die Welt” wzdygał się przed określeniem Holokaustu jako „najgorszej zbrodni w historii ludzkości”. „Nie ośmielię się tego oceniać” – zaznaczył. Według niego „Holokaust był jednym z najgorszych momentów [historii]” i „ale zawsze trzeba uczyć się z całej historii, nie tylko jej poszczególnych

aspektów”. Ta wypowiedź wywołała spore poruszenie za Odrą.

Zaledwie tydzień wcześniej, w Narodowy Dzień Żaloby, szef AfD w Turynii Björn Höcke wygłosił przemówienie, w którym znacznie zawyżył liczbę ofiar wysiedleń, oskarżył aliantów o ludobójstwo oraz stwierdził, że między 1871 a 1990 r. Niemcom odebrano terytoria „niezgodnie z prawem międzynarodowym”. Według Höckego – z zawodu nauczyciela historii – ofiar wysiedleń było prawie 3 mln. Niemieccy historycy mówią o liczbie „znacznie poniżej miliona”. „Zbrodnie aliantów” to według niego m.in. zbombardowanie Drezna, w którym ucierpiało „100 tys. cywili”.

POLSKI SZOWINIZM

Jednak największe poruszenie – w każdym razie nad Wisłą – wywołały uwagi młodego samorządowca AfD z Saksonii Fabiana Küblego, który napisał na platformie X, że Polacy „postrzegają siebie jako wielką, godną pożałowania, nieustającą ofiarę europejskiej historii”. „Są po prostu Afroamerykanami Europy” – dodał. Wcześniej młody działacz AfD poparł Tino Chrupallę, który w telewizji ZDF powiedział, że „Polska również może stanowić dla

Niemiec zagrożenie”. Chodziło mu oczywiście o obywatela Ukrainy Włodomyra Żurawłowa, podejrzanego o udział w wysadzeniu gazociągu Nord Stream 2, którego polski sąd zwolnił z aresztu i odmówił jego ekstradycji do Niemiec. Zdaniem Küblego „Chrupalla ma absolutną rację”. Przy okazji dodał, że Polska „dopuszcza się największej kradzieży ziemi w historii Europy”.

Zarówno Chrupalla, jak i Höcke mają należeć do skrajnego skrzydła AfD (Der Flügel), które formalnie zostało rozwiązane już kilka lat temu, ale nieformalnie istnieje dalej i według kontrwywiadu gromadzi co najmniej jedną piątą działaczy partii, głównie we wschodnich landach. Urząd Ochrony Konstytucji uważa 3 z 16 krajowych przedstawicielstw AfD za ekstremistyczne – są to właśnie te w Turynii, Saksonii oraz Saksonii-Anhalt. W sześciu kolejnych istnieje podejrzenie ekstremizmu.

Höcke wsławił się m.in. chęcią stawiania niemieckim „bohaterom” II wojny światowej pomników zamiast „obrzydzenia młodzieży przeszłości”. Jest też magazyn „Compact”, wydawany przez Jürgena Elsässera, dawniej polityka skrajnej lewicy. Było już wydanie tego magazynu o „Tysiącletniej Rzeszy”, a także poświęcone „polskiemu szowini-

zmowi”, który miał m.in. doprowadzić do wybuchu II wojny światowej. To zresztą stała teza historyków związanych z AfD. Np. Stefan Scheil utrzymuje, że Niemcy zostały zmuszone do wojny i nie ponoszą głównej odpowiedzialności za jej wybuch. Bez wątplenia są to tezy rewizjonistyczne, niezgodne z ogólnie przyjętą historiografią. Są one powtarzane przez polityków AfD często i chętnie – szczególnie przez tych ze wschodu kraju, którzy zarzucają międzywojennej Polsce imperializm, a wręcz ludobójstwo, jak uczynił niedawno na platformie X poseł do landtagu w Brandenburgii Dominik Kaufner.

ROSJA I HISTORIA

Należy więc zadać pytanie, dlaczego co najmniej część polityków AfD tak zajadłe atakuje Polskę. Pierwszym powodem jest chęć zdyskredytowania naszego kraju, bo występuje przeciwko Rosji. Niemiecki historyk Andreas Umland już w 2014 r. otwarcie pisał w tygodniku „Die Zeit”, że Elsässer to „propagandysta Kremla”. Jest blisko związany z założonym w listopadzie 2007 r. w Moskwie Instytutem na rzecz Demokracji i Współpracy, którym kieruje rosyjski prawnik obalonego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza. Instytut finansował organizowane corocznie konferencje magazynu „Compact” o „suwerenności narodowej”, na których regularnie bywali goście zza Donu, jak Władimir Jakunin, szef rosyjskich kolei.

W 2023 r. Chrupalla brał udział w przyjęciu w ambasadzie rosyjskiej z okazji rocznicy zwycięstwa aliantów nad nazistowskimi Niemcami – mimo rosyjskiej inwazji na Ukrainę. W połowie listopada do Soczi udała się delegacja posłów AfD pod kierownictwem posła Steffena Kotrégo z Berlina, który wygłosił tam przemówienie o konieczności dalszego importowania rosyjskiego gazu i ropy, by „uratować gospodarkę Niemiec”. Jak dodał, wojna na Ukrainie „nie jest naszą wojną”. Taka prorosyjska (ukryta za pacyfizmem) postawa jest bardzo rozpowszechniona w tzw. Ost-AfD – tej ze wschodnich landów.

Kolejną przyczyną napięć z Polską jest to, że partia Weidel i Chrupalli

kontynuuje modny od końca lat 80. nurt „normalizacyjny” – jak pisze dr Krzysztof Rak w analizie dla Instytutu Zachodniego – w niemieckiej kulturze pamięci, przejawiający się w historyzacji i relatywizacji zbrodni popełnionych przez Niemcy podczas II wojny światowej.

Tę strategię, włącznie z oskarżaniem Polski o współwinę za Holokaust, środowiskami tzw. wypędzonych oraz Eriką Steinbach, AfD odziedziczyła po dawnej chadecji, zajmując jej miejsce po prawej stronie sceny politycznej. Jak pisze dr Krzysztof Rak, „stosunek AfD do Polski jest wieloznaczny i ambiwalentny”. „Z jednej strony Alternatywa jako ugrupowanie prawicowo-nacjonalistyczne ma w swojej tradycji ideolo-

Dlaczego co najmniej część polityków AfD tak zajadłe atakuje Polskę? Pierwszym powodem jest chęć zdyskredytowania naszego kraju, bo występuje przeciwko Rosji

gicznej głęboko wbudowane antypolskie kompleksy, resentymenty i traumy. [...] Z drugiej strony część polityków AfD upatruje w relacjach z polską prawicą szansę na osłabienie zapory ogniowej, którą partie establishmentowe otoczyły tę formację w Niemczech. [...] AfD stara się więc wykorzystywać na swoją rzecz napięcia i spory między partiami głównego nurtu a Polską, a polityka historyczna stanowi do tego znakomity pretekst” – czytamy.

WEWNĘTRZNY SPÓR

Tę ambiwalencję widać choćby na przykładzie pomnika dla polskich ofiar II wojny światowej oraz planowanego Domu Polsko-Niemieckiego. W minionym tygodniu Bundestag przyjął

uchwałę wzywającą rząd w Berlinie do szybkiego rozpoczęcia prac nad pomnikiem. AfD w większości wstrzymała się od głosu. Poseł tej partii Götz Frömming zaznaczył przy okazji, że „żaden inny kraj nie ucierpiał tak mocno podczas nazistowskiego terroru jak Polska”. Ale to jego zdaniem nie oznacza, że „należy paść na kolana”. Następnie zręcznie zrzucił winę za złe relacje z naszym krajem na partie mainstreamu, które nie zaprosiły strony polskiej do współtworzenia Domu Polsko-Niemieckiego. Zresztą ten – jego zdaniem – powinien uwzględnić „pamięć o wypędzonych”. AfD stanowczo odrzuca także reparacje, ale popiera polski postulat większych nakładów finansowych na nauczanie języka polskiego w Niemczech.

W sprawie Rosji AfD toczą spore napięcia, biegnące (często) wzdłuż osi wschód–zachód. Poseł Rüdiger Lucassen z Nadrenii ostro skrytykował Fabiana Küblego za to, że nazwał Polaków „Afroamerykanami Europy”. Według niego młody działacz jest „upośledzony umysłowo”. Lucassen również ostro zaatakował zresztą Chrupallę za jego uwagi o zagrożeniu dla Niemiec wywodzącego się z Polski. „To absurdalne” – powiedział były pułkownik niemieckiej armii. Jak pisze „Bild”, tzw. West-AfD, czyli zachodniemiecka część partii pod przewodnictwem Alice Weidel, ciągnie do Ameryki Donalda Trumpa oraz politycznego mainstreamu, co zresztą jest pożądane przez niemiecką sferę biznesową. Ostatnio Weidel przyjęła ostrzejszy ton wobec Rosji, mówiąc pod koniec września: „Putin musi w końcu podjąć jakiś krok w kierunku pokoju”. Skrytykowała również członków swojej partii, którzy pojechali do Rosji. „Po prostu nie rozumiem, jaki jest sens tego wszystkiego” – powiedziała. Nie udało się też wyrzucić z AfD młodego działacza, który walczył jako ochotnik w szeregach armii ukraińskiej, a porosyjskich członków partii nazwał „geopolitycznymi idiotami”.

AfD to partia silnie podzielona. Jak długo potrafi mariaż jej skrajnego skrzydła, czyli Höckego, z tym bardziej liberalnym Weidel, trudno powiedzieć. O tym, która ze stron weźmie górę, także nie sposób dziś rozstrzygnąć. /



Merz, Tusk i drugi najazd Tatarów

Zachwyt Donalda Tuska nad przełomem, jaki następuje w niemieckiej polityce, jest nieco dwuznaczny, jeśli patrzeć na rzecz z perspektywy polskich interesów



JAN ROKITA

Mam rzecz jasna na myśli berliński występ polskiego premiera podczas poniedziałkowej (1 grudnia 2025 r.) wspólnej konferencji prasowej z kanclerzem Niemiec. Konferencji towarzyszącej wznowionym w zeszłym roku tzw. konsultacjom międzyrządowym, które w założeniu miały być kopią praktyki – skądinąd niezłe funkcjonującej – kon-

sultacji niemiecko-francuskich, polegających na tym, iż wszystkie resorty rządów obu państw regularnie starają się wzajemnie „dogrywać” swoje polityczne plany.

Powierzchniowa i płytka kooperacja polsko-niemiecka nigdy nie osiągnęła takiego poziomu instytucjonalnego, jaki umożliwiłby kopiowanie wieloletnich i wypraktykowanych mechanizmów współpracy Berlina i Paryża. Chyba zresztą w Berlinie tak naprawdę nigdy tego nie chcieli, a z kolei w Warszawie bali się tego jak ognia – w obawie o podporządkowanie polskiej polityki niemieckim interesom. A nawet jak za niektórych szefów rządów (np. za Mateusza Morawieckiego) mniej się bali siły Niemiec, to i tak chaotyczne

oraz nierozumiejące idei politycznego planowania polskie struktury rządowe nie umiałyby praktycznie poradzić sobie z tego rodzaju organizacyjnym wyzwaniem.

Summa summarum – te polsko-niemieckie „konsultacje” zawsze były i do dziś są raczej fikcją.

„KOPERNIKAŃSKI PRZEWROT”

Wróćmy jednak do zachwytu Tuska nad tym, co podczas konferencji z Friedrichem Merzem sam nazwał „kopernikańskim przewrotem” w niemieckiej polityce. Pod pewnym względem polski premier ma oczywiście rację. Trudno przecież nie zauważyć albo nie docenić kapitalnego przełomu, jaki dokonał

się w niemieckiej polityce wschodniej – jego symbolicznym przejawem mogą być publiczne deklaracje niemieckiego ministra obrony, stawiającego Bundeswerze za cel „przygotowanie się do zabijania rosyjskich żołnierzy”. Jeszcze parę lat temu w Niemczech ów minister musiałby za coś takiego z dnia na dzień zniknąć z polityki. A dziś, jak pokazują sondaże opinii, Boris Pistorius jest najbardziej popularnym niemieckim politykiem.

To, że dziś Berlin widzi w Moskwie swego głównego wroga – wbrew tradycji politycznej RFN, datującej się co najmniej od czasu kanclerza Willy’ego Brandta – jest w głównej mierze „zasługą” Władimira Putina, który miast zgodliwie negocjować z Niemcami wzajemny układ interesów w Europie Wschodniej, napadł na Ukrainę, narażając w ten sposób Niemcy na katastrofę ich dotychczasowej polityki i ostre problemy ekonomiczne.

To zaś, że w tej nowej sytuacji, po długich wahaniach, Berlin w końcu podjął rzuconą rękawicę i zaczął się zbroić na dużą skalę, szukając na tym polu wspólnych celów z Polską, jest w głównej mierze dobroczynnym efektem namolnej i aroganckiej presji wywieranej przez Donalda Trumpa. Choć pewnie – w jakimś niezbyt wielkim stopniu – miała tu również wpływ krytyka niemieckiego pacyfizmu i tchórzostwa, jaką sformułowano w Warszawie, zwłaszcza od pamiętnego 24 lutego 2022 r – by wspomnieć choćby liczne niemieckie złośliwości Mateusza Morawieckiego czynione w okresie jego premierostwa.

Tusk nie bez racji uważa, iż dzieje się coś, co „jeszcze kilka lat temu było niewyobrażalne”, skoro w tekście deklaracji ogłoszonej po berlińskich konsultacjach oba rządy nawołują do całkowitego porzucenia dostaw surowców energetycznych z Rosji. Teraz w sprawach wschodnich, mówi premier, ja sam i niemiecki kanclerz „idziemy ręką w rękę”. Oczywiście uważny obserwator natychmiast zauważy, że zasługę z tytułu owego przewrotu w niemieckiej polityce Tusk próbuje przypisać samemu sobie, co zwłaszcza w Berlinie

musi robić wrażenie trochę śmieszne. „Jako weteran europejskiej polityki potrzebowałem czasu, aby do tego przekonać” – mówi. No cóż, można na to machnąć ręką, zważywszy, że w gruncie rzeczy od niejakiego czasu cała polska polityka polega na obsesyjnym wzajemnym wyrzucaniu sobie zasług – tych prawdziwych, a także tych całkiem wymyślonych.

Symbolicznym przejawem przełomu w niemieckiej polityce mogą być publiczne deklaracje niemieckiego ministra obrony, stawiającego Bundeswerze za cel „przygotowanie się do zabijania rosyjskich żołnierzy”

O wiele ważniejsze jest pytanie, czy po dokonaniu się owego niekwestionowanego „przewrotu kopernikańskiego” niemiecka i polska wschodnia polityka faktycznie „idą ręką w rękę”. Bo jeśli tak, to by musiało znaczyć, iż rząd Tuska solidaryzuje się zarówno z niemieckim sprzeciwem wobec zaproszenia Ukrainy do NATO, jak i z niemiecką odmową wyposażenia ukraińskiej armii w pociski dalekiego zasięgu, które mogłyby pozwolić Ukraincom na symetryczne odpowiedzi na masowe rosyjskie naloty.

Niestety podczas konferencji prasowej w Berlinie nikt nie postawił takiego pytania. A stanowisko polskie, które w czasach Morawieckiego było dość wyraziste, teraz stało się mętne, być może zresztą za sprawą antyukraińskich przemian polskiej opinii publicznej. Ucieczka od wyrazistości pod pretekstem tego, iż ani członkostwo w NATO, ani wyposażenie Ukraińców w nową broń nie leżą w mocy państwa polskiego, nie jest przekonująca, bo przecież gdy w 2022 r. Morawiecki

domagał się sankcji wobec Moskwy i masowego dozbrojenia Ukrainy, też nie było to w polskiej mocy, a jednak ówczesna jednoznaczność odegrała w tamtym czasie swoją polityczną rolę.

SEANS TERAPEUTYCZNY

Dwuznaczność zachwytu Tuska ma źródło także w tym, że odkąd w Berlinie faktycznie nastąpił ów „przewrót kopernikański”, Niemcy po części odzyskały wpływ na sytuację w Europie Wschodniej, podczas gdy w tym samym czasie Polska ów wpływ całkowicie utraciła. Ta koincydencja nie jest politycznie wygodna dla Tuska, zwłaszcza gdy prawicowa opozycja w naszym kraju z uporem szuka źródła wszelkiego zła w niemieckich intrygach. Merz zatem – niewykluczone, że na prośbę Tuska – zainscenizował dla polskiego premiera telefoniczną pogawędkę z Zeleńskim, Macronem i Starmerem, która raczej nie miała żadnego znaczenia poza terapeutyczną rolą, jaką miała spełnić wobec naszych, polskich, a w szczególności Tuskowych kompleksów drugorzędności i odtrącenia.

Podczas konferencji prasowej Tusk miał więc powód, aby chwalić Merza za to, iż on to by brał ze sobą polskiego premiera na każde spotkanie w sprawach wschodnich, ale nie pozwalają na to ci okropni Amerykanie wespół z Moskalami. Tusk dodał w swoim stylu, iż owo odtrącenie traktuje jako „komplement” wobec siebie samego.

Jak widać Merz jest politykiem sprytnym i wie, jak bez większego wysiłku i bez żadnej szkody dla Niemiec zorganizować polskiemu premierowi seans terapeutyczny, po którym ów będzie miał powód do wdzięczności. A gdy idzie o diagnozę przyczyn urażonych (po raz kolejny) polskich ambicji, to Tusk ma rację tylko w niewielkim stopniu. Owszem, Amerykanie nie chcą mieć z nim do czynienia, na co zresztą sam solidnie zapracował. Ale powody polskiej nieobecności w sprawach wschodnich są głębsze: w kwestiach wojny i pokoju Polska nie ma w istocie niczego do zaproponowania i zaoferowania, a w Kijowie żywią

uzasadnione podejrzenie, iż nie tylko niezyciwi Ukrainie polski prezydent, lecz także polski premier nic nie wniosą do sprawy, a mogą nawet sprawić jakiś kłopot. Bo w Kijowie zaufanie do polskiej polityki jest dziś zerowe.

Paradoksalnie polityczne partnerstwo polsko-niemieckie lepiej wyglądało jeszcze dwa czy trzy lata temu, zaraz po moskiewskiej inwazji na Ukrainę, niżli dzisiaj. Po pierwsze, paradoks ów tkwi tym, że dwa czy trzy lata temu Polską rządziła ekipa uważana za germanofobiczną, tymczasem obecny premier otwarcie – także podczas konferencji z Merzem – przyznaje się do „sympatii do Niemców”. Po drugie zaś, bo było to jeszcze przed owym „przewrotem kopernikańskim” w Berlinie, który teoretycznie winien zbliżyć do siebie nawzajem polską i niemiecką politykę. Rzecz jednak w tym, że po 24 lutego 2022 r. – jak również jeszcze przez jakieś następne dwa lata – układ sił pomiędzy Warszawą i Berlinem był w miarę wyrównany, nawet z chwilową przewagą na rzecz „młodszego partnera”, jakim w relacjach z RFN pozostawała Polska. A w polityce stosunek sił zawsze jest kluczowym faktorem.

Nagle niemiecka polityka i gospodarka znalazły się wówczas w defensywie, a o Polsce, aktywnej na europejskim polu za sprawą dynamicznego Morawieckiego, pisano w Berlinie i wszędzie indziej: „Tak, to Polacy zawsze mieli i nadal mają rację”. W Niemczech nagle słuchano i przejmowano się tym, co mówią polscy politycy, chyba jak nigdy dotąd.

Ale to wszystko minęło i dziś każdy niemiecki polityk rozumie, że sprawy wróciły do patriarchalnej normy. Niemcy znów są starszym bratem, któremu młodsze rodzeństwo zazdrości albo wręcz go nienawidzi, ale ze strachu zazwyczaj okazuje posłuszeństwo.

Na list Merza w obronie niemieckiego przemysłu samochodowego Komisja Europejska potulnie porzuca święty (jak się wydawało) dla Zielonego Ładu zakaz produkcji aut spalinowych po 2035 r. Kanclerzowi udaje się też po cichu odbudować rzecz tyleż tradycyjną, co bezcenną dla polityki RFN: w czasach Donalda Trumpa nikt się nie

spodziewał, że Niemcy tak prędko znów staną się jedynym istotnym punktem odniesienia dla USA w Europie.

Chyba nic dotąd nie uświadomiło nam tego tak dobitnie jak równoczesna z polsko-niemieckimi konsultacjami w Berlinie tamtejsza konferencja na temat bezpieczeństwa europejskiego. To na jej forum Matthew Whitaker, bliski człowiek Trumpa (prokurator generalny USA w pierwszej administracji Trumpa, a od niedawna ambasador USA przy NATO), namawiając Europę do większego zdecydowania w kwestii broni dla Ukrainy, tak oto rzekł na koniec swej mowy, ku zdumieniu i skrywanej dumie niemieckiej publiczności: „Czekam na

Paradoksalnie polityczne partnerstwo polsko-niemieckie lepiej wyglądało jeszcze dwa czy trzy lata temu, zaraz po moskiewskiej inwazji na Ukrainę, niżli dzisiaj

dzień, w którym Niemcy w końcu przyjdą do Stanów Zjednoczonych i powiedzą: »Tak, jesteśmy gotowi objąć Naczelne Dowództwo Sił Sojuszniczych w Europie«. Od II wojny światowej aż do dziś ta pozycja głównego dowódcy NATO na hipotetycznym froncie europejskim, znana pod skrótowcem SACEUR, jest dostępna tylko dla najbardziej zaufanych w Białym Domu generałów amerykańskich. Po prostu Amerykanie – pewnie jeszcze bardziej niż Tusk – docenili niemiecki „przewrót kopernikański”.

REPARACJE I PERGAMINY

Wizerunkowo polsko-niemieckie konsultacje zdominowały oczywiście reparacje i odszkodowania wojenne oraz zwrot po 80 latach – osobistą decyzją Merza – dużego korpusu średniowiecznych pergaminów dotyczących spraw polsko-krzyżackich.

W pierwszej sprawie Tusk chciał odegrać teatr zniecierpliwienia i moralnego szantażu rychłą śmiercią ostatnich ofiar niemieckiej okupacji („pospieszcie się, a jak nie, to sam to załatwię, bo nie chce mi się już o tym mówić”), co chyba zrobiło wrażenie w Niemczech, ale nie w Polsce, bo tu opozycja rzuciła się nań, iż znów jest podnóżkiem dla Niemców. Choć tym razem owo „rzucenie się” było w istocie nieuzasadnione, a intencja Tuska klarowna – wywarcie dodatkowej presji na Merza.

Gdy zaś idzie o krzyżackie pergaminy, to Tusk rzucił na pozór zręczną historyczną anegdotkę, wedle której jeden z owych pergaminów zawiera – jak mówił – „wezwanie zakonu przez papieża Aleksandra IV do wspólnej z Polską obrony przed Tatarami”. Wedle premiera ta rzecz jest „symboliczna” dla naszych czasów.

Niestety może być symboliczna, tyle że w trochę odmienny sposób od tego, jaki wyobraził sobie premier. Jak wiadomo (choćby ze starej pracy gdańskiego profesora Jana Powierskiego, składająco zatwardziałego komunisty, ale znawcy spraw krzyżackich), papież Aleksander IV co prawda wezwał Krzyżaków do walki z tzw. drugim najazdem tatarskim w połowie XIII w., ale dopiero wtedy, gdy straszny Burundaj zdobył i wyrznął Sandomierz i omal nie zdobył Krakowa. Oczywiście Krzyżacy nie ruszyli nawet palcem w obronie pustoszonej Małopolski. Aleksander IV jest zaś kiepsko wspomniany w polskiej historiografii, bo to właśnie ten papież, który z góry dał rozgrzeszenie zbrodniarzom, o ile tylko zaciągną się pod chorągwie krzyżackie, a na dodatek zarządził, iż ziemie, które podbije Zakon, będą własnością Ojca Świętego, który po wsze czasy odda je w bezpłatnąarendę niemieckim zakonnikom. Niestety ten papieski przywilej stał się źródłem licznych późniejszych nieszczęść państwa polskiego. Dobrze by więc było, aby historyczna anegdota o drugim najeździe Tatarów i przeciwrotnych Krzyżakach wspieranych przez papieża faktycznie nie okazała się – wbrew intencjom Tuska – symbolem współczesnej polityki.



Rok 2025 został ogłoszony przez ONZ MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Polska spółdzielczość finansowa jest częścią światowej społeczności.

**Pomagamy, troszczymy się,
jesteśmy blisko.**



Dzięki spółdzielniom świat staje się lepszy

FUNDACJA STEFCZYKA

Świat na opak, czyli walka o znaczenie

Żyjemy w świecie na opak, rzeczywistości odwróconych znaczeń i wartości.

Najważniejsze idee przywoływane w publicznym dyskursie zostały obrócone

w swoje zaprzeczenie. Pod hasłem wolności następuje jej coraz dalej idące ograniczenie.

Liberalne podejście do niej kwestionuje jej elementarny sens

Wolność zostaje sprowadzona do oswożenia popędów oraz zrównania wszelkich form życia. Pogłębia się presja na zakaz ich wartościowania, a ideały, które legły u podstaw cywilizacji, są negowane i dyskryminowane. Tak wolność przeradza się w swoje zaprzeczenie.

Uległość popędom i odruchom dla klasycznych myślicieli była zaprzeczeniem wolności. Dziś podejście to zostało odwrócone. Natomiast odwołanie do klasycznego porządku aksjologicznego, na którym zbudowana została nasza cywilizacja, jest potępiane.

Postulowana przez UE penalizacja „mowy nienawiści” to przywrócenie cenzury. Samo to określenie ma charakter arbitralny, a definiują ją najbardziej wpływowe środowiska. To zabezpieczenie kodeksem karnym dogmatów nowej ideologii. Siły, które są w stanie ustanowić normę prawną, będą ją także egzekwowały. To one określają, czym jest mowa nienawiści i na czym polega „zniewaga” wymierzona np. w „orientację seksualną”. Można za nią uznać wskazanie, że istnieją tylko dwie płcie. W ten sposób karać można obrońców wszystkich naturalnych zasad cywilizacji.

Oficjalne przywrócenie cenzury jest tylko ostentacyjnym ogłoszeniem radykalnego ograniczenia wolności. Natomiast coraz bardziej restrykcyjna



BRONISŁAW WILDSTEIN

kontrola publicznego dyskursu funkcjonuje już od dekad. Oczywiście w imię wolności.

Sprzeciw wobec ideologii emancypacji, zasad gender, małżeństw homoseksualnych, aborcji czy eutanazji jest coraz częściej penalizowany. Wielu obywateli państw zachodnich zostało sędownie skazanych za krytykę dogmatów nowej ortodoksji. Piętno homofobii uniemożliwia obronę tradycyjnego porządku rodzinnego. Oskarżenie o islamofobię uderza w tych, którzy analizują nieprzywiedność islamu do cywilizacji zachodniej i wskazują wewnętrzną sprzeczność multikulturalizmu. Staje się to uprawomocnieniem politycznych represji. W Wielkiej Brytanii w więzieniach za sprzeciw wobec muzułmańskiej imigracji wyładowało już kilka tysięcy osób.

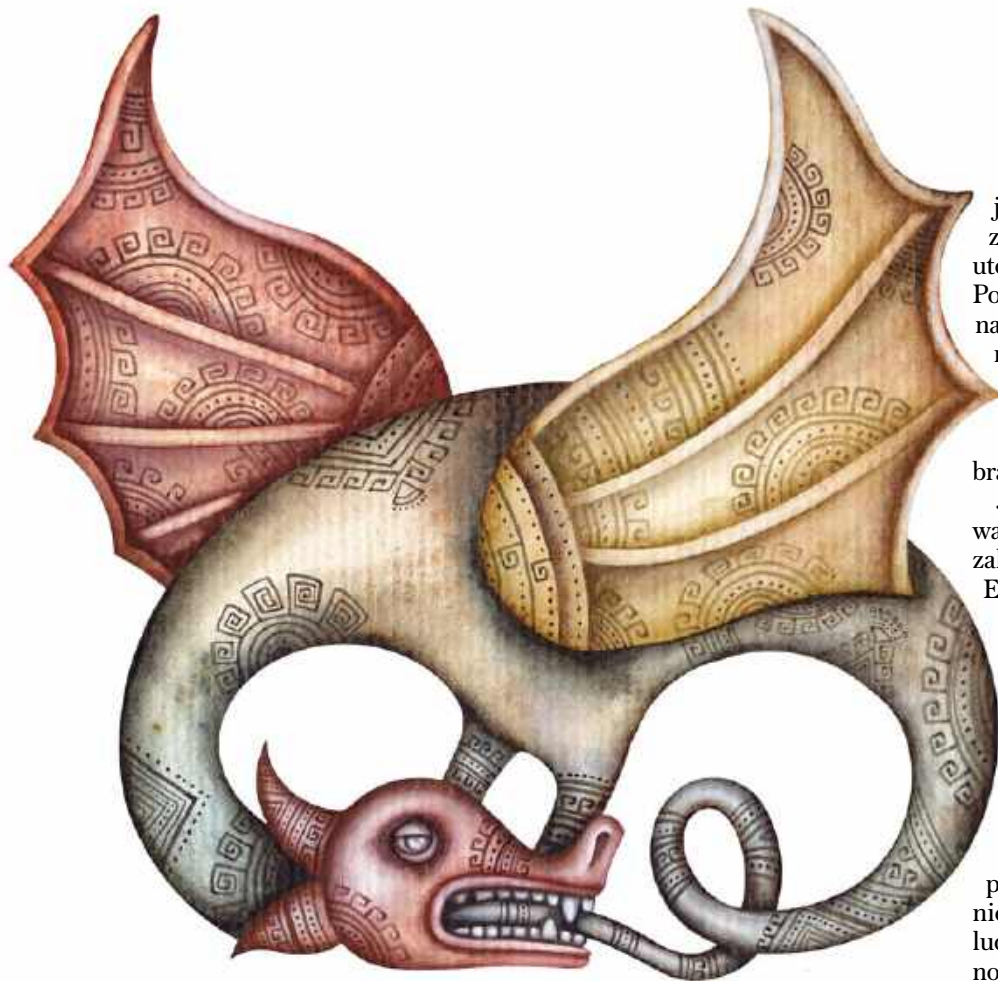
Nowe prawa stają się instrumentem ideologicznej inkwizycji, która ściga nieprawomyślnych, jak zwykle odwołując się do najbardziej wzniosłych sloganów. Liberalne dogmaty stają się uza-

sadnieniem cenzury i budowy nowego totalitaryzmu, ich obrona rozszerzana jest na wszelkie dziedziny życia i obejmuje także pozajęzykowe zachowania. Cenzura i totalitaryzm zawsze występują pod wzniosłymi sztyldami.

Coraz więcej wokół aktywistów, hunwebinów emancypacji, którzy tropią nieprawomyślne wypowiedzi i zachowania, zaspokajając w ten sposób swoją namiętność kontroli i nadzoru – substytut panowania.

* * *

Ciężar wprowadzania w życie nowej ideologii spoczywa jednak głównie na systemie prawnym. Założenie, że za pomocą prawa można rozwiązać wszystkie problemy ludzkie, ma charakter utopijno-totalitarny. To wyobrażenie, że możemy i powinniśmy bez reszty racjonalnie zaplanować nasze życie. Tradycyjnie prawo stanowiło jego szerokie ramy. Wewnętrzne treści kształtowane były przez religię, kulturę, etykę, moralność, obyczaj. Struktury te są dużo bardziej elastyczne, a więc adekwatne do złożoności spraw człowieka, i pozostawiają mu spory wymiar wolności. Zastąpienie ich normą prawną niszczy naturalne środowisko ludzkie, deformuje prawo i likwiduje wolność. Kreuje system zmierzający ku totalitaryzmowi. Prawo, które usiłuje spętać szczelną siecią społeczeństwa zachodnie, jest narzędziem ideologii.



* * *

Nowa ideologia nie ma nazwy i nazwać ją można ideologią emancypacji, gdyż pojęcie to jest dla niej kluczem. Odmieniane jest bez końca we wszystkich dokumentach międzynarodowych gremiów, szczególnie Unii Europejskiej, we wszelkich deklaracjach, oświadczeniach i manifestach. Mamy emancypować się, czyli wyzwalać od norm nakładanych na człowieka przez znaną nam kulturę, a więc kulturę po prostu. Naszym spełnieniem ma być jednostka przekraczająca wszelkie limity, a zatem i tożsamości, które jak wszystkie formy wyznaczone są przez swoje granice. Mamy wyzwolić się od tożsamości religijnej, cywilizacyjnej, narodowej, rodzinnej, a w końcu i płciowej, czyli biologicznej. Czym będzie to przyszłe, nieznane nam istnienie, nie wiemy, ale wiemy, że aby się narodziło, musimy zlikwidować to wszystko, co stworzyło jego poprzednika, czyli człowieka. Pasja przedsięwzięcia emancypacyjnego zostaje obrócona na destrukcję tego, co znamy. Musi zakwestionować wszelkie ograniczenia, a więc i ład naturalny.

Rzecznicy emancypacyjnego projektu protestują przeciw określeniu go jako ideologii. Ma on być po prostu bezalternatywnym spełnieniem ludzkiej racjonalności i wolności. Tylko ludzie uwięzieni w tradycyjnych przesądach, religijni fanatycy, nieoświeceni, czyli niedojrzali, mogą przeciw niemu protestować – słyszymy. I tylko populiści, żeby nie powiedzieć ostrzej – faszyci – chcą zbijać polityczny kapitał na tego typu wstecznicztwie. Dlatego populistów należy otoczyć kordonem sanitarnym i wykluczyć z debaty publicznej, a jeśli mimo to będą kwestionować demokrację liberalną – czyli wolność – to w jej obronie należy ich w ten czy inny sposób usunąć z polityki. Najwyższe ideały, takie jak wolność, pluralizm czy tolerancja, wymagają, aby w ich obronie używać – kiedy trzeba – środków nadzwyczajnych.

* * *

Ideologia to projekt z gruntu nowoczesny. Narodziła się w XIX w. jako konkurentka religii. To całościowe ujęcie ludzkiej przeszłości, terażniejszości i przyszłości oraz wyobrażenie, że jesteśmy w stanie racjonalnie zaprojektować jej optymalny,

jeśli nie doskonały kształt. Ideologia jest zatem zamysłem utopijnym i jak każda utopia musi zmierzać do totalitaryzmu. Po to, aby dalece nieidealnemu światu nadać kształt doskonały – a w każdym razie optymalny – należy przetworzyć go zasadniczo we wszelkich aspektach. Aby to uczynić, trzeba posiadać władzę totalną. Dziś projekt ten przybrał prawniczy charakter.

Jego punktem wyjścia jest zanegowanie ładu naturalnego, co prowadzi do zakwestionowania natury człowieka. Ewentualnie zgodnie z nową ortodoksją ma nią być autonomia i zdolność do autokreacji. Tyle że podejście takie pozwala zakwestionować godność realnie istniejących ludzi w imię ich przyszłego, wyemancypowanego wcielenia. Nie tylko pozwala, lecz także narzuca eksperymenty na nich, i to zarówno społeczne, jak i biologiczne. Doświadczenia XX w. pokazywały, do czego prowadzi inżynieria społeczna, a więc traktowanie ludzi jako surowca do wykucia z nich nowego, wyzwolonego bytu.

Konsekwencje eksperymentów biologicznych pokazuje nam dziś głównie twórczość science fiction, ale nie trzeba proroczego daru, aby wyobrazić sobie hodowlę embrionów służących jako części zamienne dla produkcji nowych ludzi. Zresztą i dziś uśmiercane płody bywają przemysłowo wykorzystywane. Biologiczne konstruowanie ludzi na etapie płodu jest nie tylko obciążone nieznanymi nam konsekwencjami, ale przede wszystkim prowokuje pytanie o godność człowieka. Czy jesteśmy w stanie poważnie ją traktować przy tego typu działaniach?

Po odrzuceniu prawa naturalnego i związanej z nim natury człowieka trudno nie tylko bronić, lecz nawet definiować jego prawa. W efekcie stają się one rejestrem życzeń i pragnień współczesnych. Ich obowiązujący w danym momencie kształt ustalany jest przez dominujące grupy wedle panującej ideologii.

Demokracja liberalna staje się zaprzeczeniem ludowości i dąży do pozabawienia wspólnoty podmiotowości. Pluralizmem nazywany jest narastający monopol dominującej dziś ideologii, a nietolerancja dla niechcących jej przyjąć paraduje pod szyldem tolerancji.

Praworządnością mają być arbitralne rządy prawników.

Spółceństwem obywatelskim nazywana jest dzisiaj sieć organizacji propagujących i nadzorujących wprowadzenie w życie ideologicznych porządków, finansowanych i kontrolowanych przez potężne, zwykle międzynarodowe podmioty, które są w stanie wpływać na politykę rządów. Próby spontanicznej samoorganizacji obywateli, którzy usiłują bronić swojego kulturowego środowiska i wartości, na których jest ono ufundowane, piętnowane są jako populistyczne, a nawet faszystowskie. Tak atakowany jest w Polsce Marsz Niepodległości czy Ruch Obrony Granic.

* * *

Ten odwrócony świat, w którym zaprzeczono znaczeniu elementarnych pojęć, a więc zakwestionowane zostały punkty oparcia ludzkiego rozumienia i komunikacji, powoduje zagubienie współczesnego człowieka i jego podatność na manipulację. Fundamentalne odwrócenie sensów siłą rzeczy przenoszone jest na polityczną rutynę i elementarny poziom egzystencji. Dziś w Polsce politycy opozycji, którzy zawsze podkreślali zagrożenie moskiewskie, są pomawiani bez żadnych uzasadnień o sprzyjanie Kremlowi, a czynią to ci, którzy dokonywali „resetu” w stosunkach z Rosją i prezentowali ją jako kraj, z którym należy utrzymywać dobrosąsiedzkie stosunki. Rząd, który proporcjonalnie najbardziej z wszystkich państw wspomógł Ukrainę w obronie przed Moskwą, piętnowany jest jako sprzyjający Putinowi.

Przywracaniem praworządności nazywane jest łamanie konstytucji i obowiązujących praw itd.

* * *

Znane nam totalitarne systemy przekształciły całość kultury w jeden wielki aparat propagandowy. Spełnieniem ideologicznej utopii miał się stać świat, w którym ludzie nie umieliby nawet wypowiedzieć – a więc uzmysłowić sobie – alternatywnego stanu rzeczy. Nie potrafiliby zatem wystąpić przeciw obowiązującemu *status quo*. Finałem tego

procesu miało być przekształcenie języka, który zamiast środkiem wyrazu i przedstawienia rzeczywistości stać się miał intelektualną klątką formatującą mówienie i myślenie poddanych „nowego, wspaniałego świata”.

Komunistyczny system był próbą realizacji tego projektu. Stał się jednak zapisem załamywania się przemocy w zderzeniu z naturą człowieka, co ostatecznie doprowadziło do upadku ustroju. Niemniej był najambitniejszym jak dotąd przedsięwzięciem odwrócenia znaczeń znanego ludziom świata.

Próba transformacji podstawowych pojęć ludzkich wpisana jest w sam

Demokracja liberalna staje się zaprzeczeniem ludowładztwa i dąży do pozbawienia wspólnoty podmiotowości. Pluralizmem nazywany jest narastający monopol dominującej dziś ideologii, a nietolerancja dla niechcących jej przyjąć paraduje pod szyldem tolerancji

rdzeń lewicowej ideologii. Marks uznał całość ludzkiej kultury z religią, moralnością, relacjami płciowymi i rodzinnymi za ideologię, która służy uprąmocnieniu istniejącej *status quo*, czyli porządku dominacji pracodawców nad klasą robotniczą. Rewolucja nie powinna zatem brać pod uwagę żadnych tradycyjnych względów, które służą jedynie legitymizacji systemu wyzysku.

O ile uznanie przez Marksa całości istniejącej kultury za ideologię jest groteskowym nadużyciem, o tyle sam marksizm ma wszelkie cechy, które pozwalają go zinterpretować jako ideologię. Marksieści często zresztą przyjmowali ten szyld, dodając do niego określenie „naukowa”, co stanowiło oksymoron.

Podejście Marksa przeciwstawia dobro klasy robotniczej poglądom jej

przedstawicieli. Akcentowali to jego następcy. György Lukács ukuł termin „falszywa świadomość”, co oznacza narzucenie proletariotowi przez klasy panujące poglądów radykalnie sprzecznych z jego fundamentalnym interesem. Antonio Gramsci odwrócił kierunek marksowskiego determinizmu i ogłosił, że wychowani w tradycyjny sposób pracownicy nigdy nie dokonają rewolucji. Do jej urzeczywistnienia należy zdobyć hegemonię w kulturze, przejąć ośrodki edukacji i uczynić je wehikułem rewolucyjnego myślenia oraz przede wszystkim zlikwidować – a w każdym razie usunąć z życia publicznego – religię.

Współczesna liberalna lewica zrealizowała ten program, czego efektem jest zwycięska rewolucja, która w drugiej połowie XX w. przetoczyła się przez Zachód.

Można uznać, że idea „falszywej świadomości” jest kluczowa dla ideologicznej mentalności. Zakłada ona, że twórcy nowej ideologii, która za ideologię się nie uznaje, dysponują kluczową mądrością pozwalającym otworzyć drzwi do właściwego rozumienia świata, jak dotąd szczelnie zamkniętego przez tradycyjną kulturę. Podążając śladami Marksa, demaskują ją jako system legitymujący wyzysk proletariatu, klasowy układ dominacji, patriarchalny porządek czy jaką tam jeszcze formułę na potępienie cywilizacji ludzkiej wymyśłą postępowcy.

To z takiego modelu wyrastają rozmaite „szkoły krytyczne”, które są absolutnie bezkrytyczne wobec swoich arbitralnych założeń. Podejście takie pozwala usytuować się w roli arbitra ludzkich dylematów i sporów. Dostarczać ma ono ostatecznej wiedzy, która pozwala dekonstruować podstawowe idee ludzkiej cywilizacji.

* * *

Zakwestionowanie ładu świata – bo tym jest uznanie, że możemy dokonywać dowolnych jego przekształceń – oznacza ostatecznie zanegowanie jego rzeczywistości. Rzeczywistość jest traktowana jako bierna materia powolna wszelkim ludzkim działaniom. Znamiennie jest, że rzecznicy tego podejścia odmawiają

oparcia się na doświadczeniach historycznych, a prawomocność swojego projektu osadzają w przyszłości. Ten paradoks, oparcie się na tym, czego nie ma, jest często świadomie wygrywany przez bardziej wyrafinowanych rzeczników utopijnych zamierzeń.

Można sądzić, że marksizm został złożony do grobu wraz z upadkiem komunistycznego bloku. Współczesna liberalna lewica pogodziła się z rynkiem, odrzuciła mesjanistyczną rolę klasy robotniczej, romantyczny sztafaż krwawej rewolucji czy ekonomiczny determinizm. Niemniej pod tym wszystkim zachowała podstawowy impuls marksistowskiej ideologii – dążenie do emancypacji. Rewolucja miała do tego prowadzić i ten cel nadal przyświeca dominującej dziś ideologii, toteż uznać ją można za rodzaj postmarksizmu. I można przyjąć, że w powojennej Europie dokonana została rewolucja.

Przebiega ona w Europie przez ostatnich kilkadziesiąt lat pokojowo i bez naruszania demokratycznych procedur. Na naszym kontynencie nadal funkcjonują instytucje, które tworzyły jego specyfikę. Tyle że zaczynają one znaczyć coś radykalnie innego niż jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej, a regulatywne idee, obyczaje i normy kulturowe wydają się zaprzeczeniem tego, co obowiązywało jeszcze pół wieku temu.

* * *

Wbrew zewnętrznym pozorom, które sugerowałyby proces ewolucyjny, charakter i radykalizm zmian w Europie zaklasyfikować należy jako rewolucję. Gdyż ów nie do końca skoordynowany proces transformacji cywilizacji europejskiej uderza w jej fundament i usiłuje odwrócić jej podstawowe sensy, a w miejsce kultury kreuje kontrkulturę – to termin, którego używali burzyciele dotychczasowego i prawodawcy nowego ładu.

Ta zmiana objęła także centralne idee, które fundowały Europę. Dlatego jako „wartości europejskie” przywoływane są rozwiązania kwestionujące podstawy cywilizacji zachodniej, a więc Europy jako idei, do której musimy się odwoływać, próbując budować kontynentalną wspólnotę. Geografia do tego nie wystarczy. Wszystko to powoduje,

że proces, który do tego doprowadził, należy postrzegać jako rewolucję.

* * *

Ideologia emancypacji zmierza do totalitarnej realizacji. Nowy totalitaryzm na pozór zasadniczo różni się od tych, które pamiętamy z XX w. Jest zdecydowanie mniej represyjny, a swoją przemoc realizuje głównie w symbolicznym wymiarze. Zamiast jednego centrum wytwarza układ sieciowy. Niemniej tak jak jego pierwotne wcielenie usiłuje objąć wszelkie aspekty ludzkiej egzystencji, rozbić tradycyjne wspólnoty i doprowadzić do stanu, w którym samotne i bezbronne jednostki konfrontowane są z wszechwładnym, ideologicznym molochem. W sytuacji zagrożenia, czyli wobec narastającego buntu mieszkańców Zachodu przeciw odbierającemu im wolność systemowi, jego rzecznicy coraz częściej odwołują się do rozumianej dosłownie przemocy.

Sieciowa władza nowej oligarchii wygląda jak zaprzeczenie totalitaryzmu. Zmierza jednak do podobnego monopolu. Wytwarza zamknięty układ, a jego rozproszenie łatwiej pozwała kontrolować całość życia społecznego. Ponieważ stanowi zjawisko nowe, trudniejszy jest do rozpoznania i do nazwania, co nie znaczy, że jest mniej skuteczny w swoich roszczeniach do panowania niż jego poprzedniczki.

Legitymacją jest dla niego ideologia emancypacji, która jak wszelkie ideologie stanowi doskonale uzasadnienie władzy. Wyemancypowani rządzący mają przecież doprowadzić do wyzwolenia nieświadomy ogół i dla jego dobra oczywiście muszą czasem działać wbrew jego woli, a więc – mówiąc słowami Jana Jakuba Rousseau – „zmuszać go do wolności”.

* * *

Okazało się, że nowa ideologia spełnia oczekiwania współczesnego wielkiego biznesu. Tradycyjne ideały religijne, moralne czy etyczne, etos związany ze wspólnotową tożsamością i obowiązujący obyczaj stanowią zawsze barierę przed rozbuchanym konsumpcjonizmem. Wyemancypowanie człowieka ze wszelkich wspólnot i tożsamości, przyjęcie, że wolność to likwidacja

wszelkich barier dla ludzkich popędów, to zaproszenie do hedonistycznego modelu życia. To idealny stan dla producentów nowych potrzeb.

Nie twierdzą, że liderzy wielkiego biznesu kreują ideologię emancypacji czy choćby włączają się w nią, rozpoznając ją jako swojego sprzymierzeńca. Nie – po prostu w epoce zaspokojenia elementarnych potrzeb poszukują strategii, które pozwolą im sprzedać nowe produkty. Wiedzą, że sprzyja im libertynizm, a ogranicza ich dyscyplina społeczna. W sposób spontaniczny działają więc na rzecz pierwszego, a przeciw drugiej.


Obok wielkiego biznesu na oligarchię obecną składają się ośrodki opinio-twórcze, w tym media, zwykle zresztą w rękach wielkiego biznesu, potężne korporacje z prawniczą na czele, która emancypuje się z tradycyjnej roli pośrednika władzy ustawodawczej czy intelektualistów i ludzie kultury, którzy mają wreszcie złudne poczucie kreowania rzeczywistości społecznej.

Środowiska te na ogół podążają za duchem czasu i dostosowują się do obowiązującej ideologii z tym większą satysfakcją, że ich konformizm – zgodnie z regułami świata odwróconego – przedstawiany jest jako akt wolności, a nawet buntu.

Rzecznicy ideologii emancypacji dążą do rozbicia tradycyjnych wspólnot i tożsamości w imię wyzwolenia człowieka, w rzeczywistości zaś pozbawiają go oparcia i czynią bezbronnym wobec presji dominujących ośrodków. Czynią z niego idealnego konsumenta towarów i idei.

* * *

Jeśli zatem chcemy obronić naszą cywilizację i jej fundamentalne idee, musimy rozpoznać zagrożenia, z jakimi się dzisiaj mierzymy. Musimy zdać sobie sprawę z kulturowej wojny totalnej, która dzieli obecnie naszą cywilizacyjną hemisferę. Zjawiska polityczne są wyłącznie jej pochodną.

Obrona naszego świata to w punkcie wyjścia obrona znaczeń, bez których tracimy jakąkolwiek orientację. To odmowa zgody na ich zawłaszczanie i arbitralne definiowanie. Brońmy demokracji, a nie jej liberalnej wersji, która staje się coraz bardziej jej zaprzeczeniem. 

Falszowanie historii.

Jak Rossoliński-Liebe próbuje przerzucić winę za Holocaust na Polaków

W książce „Polnische Bürgermeister und der Holocaust: Besatzung, Verwaltung und Kollaboration” polsko-niemiecki historyk opisał rzekomą współpracę polskich burmistrzów z niemieckimi okupantami w czasie II wojny światowej. Za pomocą manipulacji autor usiłuje zdjąć odpowiedzialność z Niemców, czyli prawdziwych zbrodniarzy



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Książka Grzegorza Rossolińskiego-Liebiga wywołała falę oburzenia. Krytycy wskazują, że autor nie tylko zakłamuje obraz okupacji, lecz także wpisuje się w szerszą, wieloletnią akcję wypaczania i oczerzniania postawy Polski i Polaków podczas II wojny światowej.



Fot. Domena Publiczna

Rossoliński-Liebe, budując swoją narrację za pomocą manipulacji, nadużyć i wybiórczego podejścia do źródeł, tworzy obraz, który zaciera niemieckie sprawstwo i jednocześnie obciąża Polaków winą za działania okupanta. Tego typu publikacje są wykorzystywane do podważania wiarygodności Polski oraz podtrzymywania fałszywych narracji uderzających w prawdę o sprawcach Zagłady.

NIEMIECKA SZKOŁA HISTORII

Grzegorz Rossoliński-Liebe przedstawia się jako polsko-niemiecki historyk. Urodzony w 1979 r. w Zabrzu edukację akademicką i całą karierę naukową rozwijał już w Niemczech. W 2012 r. obronił doktorat poświęcony Stepanowi Banderze i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Obecnie mieszka w Berlinie, a jego działalność naukowa jest finansowana przez liczne fundacje i instytucje z Niemiec, Europy, Stanów Zjednoczonych i Izraela, zajmujące się badaniem

Holokaustu, m.in. Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie, United States Holocaust Memorial Museum oraz instytut Yad Vashem. Rossoliński-Liebe pracuje w Instytucie Historii im. Friedricha Meineckego, będącym częścią Freie Universität Berlin (Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego). Jest autorem wielu publikacji dotyczących faszyzmu, Holocaustu, nacjonalizmu i antysemityzmu.

W 2014 r. rozpoczął badanie postaw Polaków wobec niemieckiej okupacji w czasie II wojny światowej. Jego wcześniejsze prace często wzbudzały kontrowersje – szczególnie te poświęcone ukraińskiemu nacjonalizmowi i pamięci historycznej.

W 2023 r. na podstawie rozprawy „Polnische Bürgermeister und der Holocaust. Besatzung, Verwaltung und Kollaboration” Grzegorz Rossoliński-Liebe uzyskał na Freie Universität w Berlinie stopień doktora habilitowanego. Już na tym etapie pojawiają się wątpliwości co do naukowej rangi tego

„dzieła”. Choćby dlatego, że na stronach internetowych nie można się zapoznać ani z treścią recenzji naukowych wspomnianego tekstu, ani z nazwiskami recenzentów. Praca została wydana w 2024 r. nakładem niemieckiego wydawnictwa Wallstein Verlag.

„BADACZ” Z BERLINA OBURZONY

Publikacja opisuje działalność polskich burmistrzów w Generalnym Gubernatorstwie (GG) podczas okupacji niemieckiej, a autor podkreśla we wstępie, że jest to pierwsza próba kompleksowego ujęcia tematu. Nie oznacza to jednak, że nikt wcześniej nie zajmował się tym zagadnieniem. Brak obszernych opracowań wynika nie z niewiedzy badaczy, lecz z marginalnej, podporządkowanej roli, jaką burmistrzowie odgrywali w okupacyjnej strukturze niemieckiej administracji. Z tego powodu temat nie budził większego zainteresowania uczonych.

Rossoliński-Liebe już w wstępie przyjmuje jednak tezę o czynnym udziale polskich burmistrzów w Holokauście, traktując ich jak współsprawców Zagłady i przedstawiając swoje badania jako próbę szczegółowego opisu tego zjawiska. Punktem wyjścia jego narracji nie jest więc pytanie, czy burmistrzowie mieli jakikolwiek wpływ na los Żydów, lecz w jaki sposób mieli go wywierać. Polsko-niemiecki historyk jest wręcz oburzony wynikami dotychczasowych badań, które pokazywały, że udział polskich burmistrzów w Holokauście ograniczał się do wypełniania decyzji podejmowanych przez władze niemieckie.

Autor za jeden ze swoich celów uznaje stworzenie zbiorowej biografii tej grupy zawodowej i przekonuje, że analiza kontaktów owych burmistrzów z radami żydowskimi, niemieckimi zwierzchnikami czy udział w tworzeniu gett pozwoli zrekonstruować ich postawy i wpływ na Zagładę. Taka konstrukcja nie przeskoczyła autorowi całkowicie pominięcia tego, że podobne czynności administracyjne wykonywali również członkowie Judenratów, działający pod przymusem

okupanta. To pokazuje, jak wybiórcza i nielogiczna jest próba budowania polskiego współsprawstwa w systemie narzuconym przez Niemców.

POLACY INICJUJĄCY ZAGŁADĘ

Rossoliński-Liebe konsekwentnie przypisuje polskim burmistrzom wpływ na politykę okupanta, co stoi w jawnej sprzeczności z realiami GG. Twierdzi, że „okupanci nie byliby w stanie zrealizować dwóch wspomnianych zadań w gminach i miastach bez udziału burmistrzów i administracji lokalnej”. Przekonuje, że burmistrzowie, choć „w przeciwieństwie do niemieckich lub polskich policjantów, strażaków lub sołtysów” nie brali bezpośredniego udziału

Książka Rossolińskiego-Liebigego pojawia się w chwili, gdy Polska ponownie podniosła kwestię reparacji wojennych od Niemiec. W tym kontekście publikacje sugerujące współodpowiedzialność Polaków za Zagładę stają się narzędziem osłabiania polskiej argumentacji

w mordowaniu Żydów, mieli działać jako „sprawcy zza biurka”. Autor idzie jednak znacznie dalej, sugerując, że Polacy nie tylko wykonywali niemieckie polecenia, lecz wręcz współtworzyli politykę nazistowską. Bazuje na tezie, że nowoczesna biurokracja sprzyjała „podziałowi pracy”, który zacierał odpowiedzialność i prowadził do wspólnego i efektywnego działania.

W takim ujęciu burmistrzowie wraz z niemieckimi kierownikami rejonowymi (kreis- i stadthauptmannami) mieli rzekomo kształtować politykę okupacyjną, uczestniczyć w prześlą-

dowaniach i mordowaniu Żydów oraz eksploatacji GG. Polscy członkowie administracji mieli się wymieniać pomyślnymi i planami oraz wykazywać inicjatywę w realizacji zamierzeń okupanta. Autor rozróżnia przy tym dwa sposoby udziału burmistrzów w Zagładzie: wykonywanie rozkazów przełożonych oraz działania podejmowane z własnej inicjatywy, takie jak okradanie Żydów.

Z budowanej niewiarygodnej narracji o rzekomo przyjaznych relacjach między polskimi a niemieckimi urzędnikami Rossoliński-Liebe wyprowadza tezę, że miały istnieć warunki sprzyjające „współpracy” obu stron. Według oderwanej od rzeczywistości narracji autora współpraca między Polakami a Niemcami prowadziła do wzajemnego „uczenia się”, co miało się szczególnie uwidocznić przy tworzeniu gett i rabowaniu żydowskiego mienia. W najbardziej skrajnym fragmencie Rossoliński-Liebe posuwa się do skandalicznego stwierdzenia, że „polscy burmistrzowie byli często bardziej odpowiedzialni za Holokaust niż ich niemieccy odpowiednicy”.

GENERALNYM GUBERNATORSTWEM RZĄDZILI POLACY?

Aby wesprzeć swoje tezy, Rossoliński-Liebe ucieka się do rażących manipulacji. Świadomie unika pojęć „władze niemieckie” i „administracja niemiecka”, twierdząc, że są nieprecyzyjne i wymagają wyjaśnienia, oraz niechętnie posługuje się samym terminem „Generalne Gubernatorstwo”. Równocześnie wprowadza do obiegu nieistniejące pojęcie „rządu krakowskiego”. W ten sposób stara się stworzyć wrażenie, jakoby GG nie było tworem niemieckim, lecz jakąś odrębną strukturą quasi-państwową z pewnym stopniem autonomii.

W dodatku wskazuje, że Niemcy pełnili funkcje jedynie na szczyście administracji. Oczywiście nie jest to prawda, a ich przedstawiciele można znaleźć także w urzędach niższych szczebli. Kluczowe stanowisko kreishauptmannów (odpowiedników starostów zarówno w miejskich, jak i wiejskich

gminach) piastowali wyłącznie Niemcy. Stanowili bezpośrednią lokalną ekspozyturę władzy okupacyjnej, podejmując wszystkie decyzje i nadzorując absolutnie każdy element administracji. Polscy urzędnicy działali pod całkowitą kontrolą i groźbą natychmiastowych represji w razie nieposłuszeństwa.

HITLER NIE ZAJĄŁ POLSKI

Rossoliński-Liebe posuwa się jeszcze dalej, twierdząc, że między II RP a GG istniała ciągłość prawna. Znaczną część książki poświęca opisowi realiów II Rzeczypospolitej, nastrojom społecznym oraz ustawodawstwu międzywojennemu, co służy stworzeniu obrazu Polski jako państwa strukturalnie wrogiego Żydom. Autor konsekwentnie buduje narrację, według której polskie miasta miały być miejscami przeznaczonymi przemocą lub co najmniej systemową i powszechną niechęcią wobec ludności żydowskiej. Zestawienie tych wątków z okresem okupacji ma wywołać wrażenie, że Polacy i Niemcy ściśle współpracowali ze sobą w czasie wojny.

Elementem tej konstrukcji jest również teza, że administracja GG miała rzekomo charakter niemiecko-polski. Aby ją wesprzeć, Rossoliński-Liebe przywołuje fakt, że wpisy w „Dzienniku Rozporządzeń dla Generalnego Gubernatorstwa” i innych oficjalnych organach skierowane do Polaków... były publikowane także w języku polskim. Wychodząc z takiego założenia, autor często posługuje się określeniami, takimi jak „polsko-niemiecka administracja” czy nawet „polsko-niemieckie ustawodawstwo”.

W swoich rozważaniach Rossoliński-Liebe zdaje się nie dostrzegać podstawowej różnicy między suwerenną II RP a okupacyjnym tworem narzuconym siłą po 1939 r. Niemcy całkowicie zlikwidowali państwo polskie, a struktury GG nie miały nic wspólnego ani z prawem, ani z instytucjami II RP. Obsadzanie niższych stanowisk Polakami wynikało z praktycznego zapotrzebowania okupanta, a nie z jakiegokolwiek formy współzrządzenia. Co więcej, już w listopadzie 1939 r. pod groźbą represji zmuszono przedwojennych urzędników do powrotu do pracy. Ich udział

w administracji nie wynikał z dobrowolnej decyzji, lecz z przymusu, a każdy z nich działał pod bezpośrednią groźbą kary, w tym natychmiastowej egzekucji. Lokalna administracja była narzędziem okupanta, pozbawionym jakiegokolwiek swobody działania.

Polsko-niemiecki historyk konsekwentnie stosuje selekcję dokumentów podporządkowaną z góry założonej tezie. Cytuje źródła wybiórczo, a następnie interpretuje je w sposób sprzeczny z podstawowymi zasadami pracy historyka. Autor stosuje także bardziej drastyczne zabiegi: przeinacza treść przywoływanych dokumentów i zakłamuje fakty, choć archiwalia jednoznacznie wskazują na coś przeciwnego. Łączenie danych prawdziwych z nieprawdziwymi prowadzi do zwykłego fałszu. Metoda polegająca na powoływaniu się na autentyczne źródła wbrew ich rzeczywistej treści jest skompromitowana w środowisku naukowym.

CZY POLSKA ZASŁUGUJE NA REPARACJE?

Książka Rossolińskiego-Liebego pojawia się w chwili, gdy Polska ponownie podniosła kwestię reparacji wojennych od Niemiec. Mimo biernej postawy rządu premiera Donalda Tuska prezydent RP Karol Nawrocki prowadzi intensywną kampanię międzynarodową na rzecz rozliczenia strat poniesionych podczas II wojny światowej. W tym kontekście publikacje sugerujące współodpowiedzialność Polaków za Zagładę stają się narzędziem osłabiania polskiej argumentacji. Budują bowiem narrację o rzekomej wspólwinie Polaków, co pozwala Niemcom unikać rozmowy o odpowiedzialności III Rzeszy oraz roszczeniach odszkodowawczych.

Praca o polskich burmistrzach w Generalnym Gubernatorstwie wpisuje się w szerszy proces prób redefiniowania historii II wojny światowej w sposób korzystny dla współczesnej polityki Berlina. Publikacje osób, takich jak Jan Grabowski, Barbara Engelking czy właśnie Grzegorz Rossoliński-Liebe, rozmywają niemieckie spraw-



Grzegorz Rossoliński-Liebe

stwo, przerzucają odpowiedzialność na okupowane społeczeństwa oraz tworzą wrażenie, że Polacy byli współtwórcami niemieckiej polityki ludobójstwa. W efekcie narracje tego typu stanowią nie tylko fałszerstwo historyczne, lecz także narzędzie wpływu politycznego.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA HOLOKAUST

Jeśli wierzyć Rossolińskiemu-Liebemu, odpowiedzialność za Zagładę tak naprawdę ponoszą Polacy. Autor pomija terror stosowany przez Niemców wobec Polaków. Nie wspomina o masowych egzekucjach, torturach, pacyfikacjach, deportacjach na roboty przymusowe, wysiedleniach całych społeczności (które przecież dotyczyły także polskich Żydów). W jego książce nie ma miejsca na opis okupacyjnych realiów, które determinowały zachowania ludności cywilnej i całkowicie pozbawiały Polaków wpływu na decyzje okupanta.

Fakty historyczne są jednoznaczne: Holocaust został zaplanowany, zorganizowany i przeprowadzony przez państwo niemieckie. Polskie państwo zostało przez Niemców zniszczone, a Polacy znaleźli się pod brutalnym terrorem, w którym sprzeciw wobec okupacyjnych rozkazów mógł się w każdej chwili skończyć natychmiastową egzekucją. Lokalna administracja – także ta, w której pod przymusem pracowali Polacy – była całkowicie podporządkowana niemieckim władzom i pozbawiona jakiegokolwiek autonomii. Największe obozy Zagłady na ziemiach polskich były budowane, zarządzane i obsługiwane wyłącznie przez Niemców. O tym Rossoliński-Liebe też nie raczył wspomnieć.

K

ULTURY

A close-up portrait of Kuba Czekaj, a man with dark, wavy hair and light blue eyes, looking directly at the camera with a neutral expression. He is wearing a dark, textured jacket. The background is a blurred, dark interior space.

Czarne chmury nad Wrocławiem

Reżyser Kuba Czekaj nie może pamiętać epidemii, która w 1963 r. dotknęła jego rodzinne miasto. Jednak w serialu „Czarna śmierć” potrafi poruszająco opowiadać o wydarzeniach sprzed lat i mimo kostiumu wciągać w nie współczesnego widza



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Wyjatkowo upalnego lata 1963 r. za sprawą choroby, o której niewiele było wiadomo, nad Wrocław nadciągnęły czarne chmury. – Do tego zaczęło się tuszowanie albo opóźnianie wiadomości docierających do opinii publicznej – opowiada reżyser serialu „Czarna śmierć” Kuba Czekaj. – Niesamowite okazały się konotacje z naszym niedawnym doświadczeniem pandemicznym. Też przeżywalismy dezorientację, medialny chaos. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje z nami, z naszymi bliskimi. W 1963 r. sytuacja była podobna, tyle że zamiast internetu były we Wrocławiu trzy gazety i ograniczony dostęp do telefonów stacjonarnych.

KLUCZE DO PRZESZŁOŚCI

To, że Kuba („nie Jakub”, co mocno akcentuje) Czekaj potrafi wchodzić głęboko w świat bohaterów i opowiedane przez nich historie, pokazywały nagradzane krótkometrażowe fabuły: „Ciemnego pokoju nie trzeba się bać” (2009) i „Twist & Blood” (2010), pełnometrażowy debiut „Baby Bump” (2016) i kolejny film „Królewicz Olch” (2017). A co jest kluczem do „Czarnej śmierci”? – Poza wspomnianymi konotacjami wielość wątków i tropów – mówi. – W kolejnych odcinkach różne losy i zdarzenia będą się łączyć i przeplatać. Pojawią się nowi bohaterowie, a niektórzy dawni mogą nieoczekiwanie zniknąć.

Reżyser podkreśla znaczenie miejsca rozgrywających się zdarzeń: – To, że akcja serialu „Czarna śmierć” toczy się we Wrocławiu, było dla mnie ważne na kilku płaszczyznach. Przede wszystkim nigdy wcześniej nie realizowałem projektu historycznego. Poza tym, kiedy zastanawiałem się, czy przystąpić do konkursu na reżyserię tego projektu, przeważało to, że opisane



Kuba Czekaj z Agnieszką Podsiadlik na planie „Czarnej śmierci”

Fot. Lukasz Bak

wydarzenia dzieją się w moim rodzinnym mieście.

TAJEMNICA Z PRL

Przyznaje, że nie miał pojęcia o epidemii czarnej ospy we Wrocławiu. – W domu nie mówiło się na ten temat, a przecież w tym czasie dziadkowie funkcjonowali w tym mieście – zauważa. – Przed zdjęciami próbowałem nawet porozmawiać o tym z babcią i mamą. Nie zapamiętały tamtego czasu jako wyjątkowego. Oczywiście moja mama była wtedy dzieckiem i myślę, że patrzyła na to podobnie jak ja – jako mały chłopiec – na zagrożenie ze strony Czarnobyli: niby coś się dzieje, ale świat dziecka skupia się na zupełnie innych sprawach.

Zastanowiło go jednak, że taki temat ani razu nie pojawił się podczas rodzinnych spotkań. Także z tego powodu chciał się temu przyjrzeć. – No i bardzo kusila mnie epoka, do której było to moje pierwsze podejście – zdradza. – Bardzo specyficzny okres lat 60. Z jednej strony nie jest to jeszcze późny PRL, który pamiętam [reżyser urodził się w 1984 r. – przyp. red.], bardziej znany choćby za sprawą filmów, tylko PRL wczesny, gdzie przychodzą jeszcze paczki z Ameryki, jest większa swoboda, życie wydaje się bardziej barwne niż to, co znamy z przekazów. Uznałem to za bardzo ciekawe i zarazem inspirujące, by znaleźć dla tej historii odpowiednią formę opowiadania – dodaje.

TWÓRCZA WARIACJA

Wspomina, że materiały archiwalne, z których ekipa korzystała we wszystkich odcinkach, wzbudziły w nim no-

stalgię, której się nie spodziewał. – Uderzyło mnie, jak wiele z tych miejsc nadal istnieje. Ulic, placów, kamienic. Wielu ludzi już nie ma, a miejsca pozostały – konstatuje. – Można powiedzieć, że dzięki serialowi na nowo odkrywałem rodzinne miasto. Nie tylko centrum, Rynek, lecz także okolice Dworca Głównego, Nadodrza czy rozmaite zaułki, które nie trafiają na turystyczne mapy, a które pamiętam z dzieciństwa. Realizowaliśmy zdjęcia przy dawnym pedecie (teraz nazywa się Renoma) na Świdnickiej. Ulica jest właściwie nienaruszona. Odnowiona, z innymi reklamami, ale cały konstrukt architektoniczny jest ten sam.

Nie ukrywa, że kiedy w trakcie montażu archiwalia były zestawiane z ujęciami stworzonymi na potrzeby serialu – inspirowanego prawdziwymi wydarzeniami, choć będącego twórczą wariacją na ich temat – robiło to na nim naprawdę duże wrażenie.

SPOTKANIE Z WIDZEM

Serial „Czarna śmierć” porusza widzów TVP1 w niedzielne wieczory, a do jakich nowych projektów przygotowuje się Kuba Czekaj?

– Choć w ostatnim czasie reżyseruję głównie seriale, traktuję je bardzo filmowo – podkreśla. – Staram się, by były krótszymi, ale pełnoprawnymi wypowiedziami filmowymi. Wieloodcinkowe produkcje dają więcej czasu na przeprowadzenie historii. Jednak to właśnie film – zwłaszcza ten poszukujący, tworzony z myślą o spotkaniu z publicznością – daje coś wyjątkowego: bezpośredni kontakt z widzem. Dla tych konfrontacji warto robić kino. /



**Maciej
Walaszczyk**

Nowa zimna wojna

W swojej kolejnej ciekawej analizie, którą możemy przeczytać na łamach krakowskiego dwumiesięcznika „Arcana”, prof. Kazimierz Dadak rysuje obraz światowych przemian polityczno-gospodarczych. Znany nam porządek, znaczony dominacją USA i globalnego kapitalizmu, dynamicznie przekształca się w system dwubiegunowy.

Z jednej strony Zachód (G7), a w nim bezradna politycznie i ekonomicznie UE, pod przewodnictwem USA, a z drugiej – luźny sojusz krajów BRICS, łączący m.in. Brazylię, Rosję, Indie, Chiny i RPA. Nowy amerykański nacjonalizm symbolizowany przez slogan: „America First”, stojąc w sprzeczności z interesami narodowymi innych państw, wzmocni więc tendencje tych, które pragną zachować daleko idącą suwerenność. Zwłaszcza że kraje wchodzące w skład BRICS – szczególnie Chiny – wykonały ogromny skok rozwojowy, notowany wzrostem udziału w światowym PKB z 5,5 proc. do niemal 25 proc. w 2024 r. Stało się to kosztem m.in. Japonii, Włoch, Niemiec czy Wielkiej Brytanii. Szczególnie ponura perspektywa rysuje się przed Europą, w której trudno do odwrócenia schyłkowy trend utrzymującej malejącej

znaczenie. Choć – jak się okazuje – wciąż ma znaczący ekonomiczny potencjał zdolny do całkowitego oparcia się ewentualnej rosyjskiej agresji. Autor rozważa wiele różnych czynników, zarówno wyrażanych w danych statystycznych (prężność systemu bankowego i rynku kapitałowego), innowacyjności, jak i wydarzeń, takich jak rezygnacja przez Arabię Saudyjską z zobowiązania obligującego ją do rozliczania sprzedaży ropy w dolarach. W tej sytuacji Waszyngton chce ustanowić system, w którym zdecydowana większość pożytków przypadnie hegemonowi. Zdaniem ekonomisty te wysiłki, konfrontowane z witalnością świata BRICS, w długiej perspektywie będą jednak skazane na niepowodzenie.

Z kolei Ryszard Surmacz przyznaje rację opinii, że po 1989 r. Polska weszła na drogę prowadzącą do utraty Ziem Zachodnich, a cicha wojna o nie rozgrywa się w świadomości ludzi zamieszkujących zachodnie i północne terytoria naszego kraju. Warto także zapoznać się z próbą ujęcia w jednym szkicu ukraińskiej świadomości narodowo-historycznej na południu i wschodzie walczącej Ukrainy, w tym Odessy i prowincji dawnego chanatu krymskiego. Jej autor, dyplomata Robert Czyżewski, nie ma wątpliwości, że w obecnej sytuacji będą one „banderowskie” albo ponownie staną się częścią rosyjskiego imperium. /



„Arcana” 185/2025

Historia pierwszego pocałunku

O dawna oczekiwano oficjalnego wydania tego koncertu, nagranych w ramach słynnego cyklu, podobno najlepszego ze wszystkich, jakie zostały zaaranżowane przez tę stację. Wspaniale, że możemy posłuchać nieżyjącej już Dolores O’Riordan w znakomitym secie akustycznym na żywo. Jej śpiew był rzadko spotykanym rodzajem transcendentnego instrumentu, którym potrafiła ściągnąć na siebie uwagę widowni, wydobyc szept, niepokojącą nostalgię, a także potężny gniew i dumę. Formuła tego koncertu odpowiednio eksponuje fenomenalne pieśniarstwo tej irlandzkiej legendy. Płyta dokumentuje pełny, 45-minutowy, złożony z dziewięciu utworów występ, który pierwotnie został nagrany 14 lutego 1995 r., a wyemitowany 18 kwietnia tego samego roku. Uproszczone aranżacje, oszczędny akompaniament akustycznych gitar i dyskretnych linii basowych wyzwalają całą paletę nastrojów drzemających w poszczególnych kompozycjach The Cranberries, zagranych tutaj dodatkowo z towarzyszeniem kameralnego kwartetu smyczkowego Electra Strings.

Znajdujemy tu piosenki, które chwilę wcześniej ukazały się na przełomowym dla zespołu

albumie „No Need to Argue” – poza utworem tytułowym są tu m.in. „Dreaming My Dreams”, „Ode to My Family”, „Empty”, „Zombie”. Ten ostatni stał się rodzajem antywojennego protest songu, napisanego ku pamięci dwóch chłopców, którzy ponieśli śmierć w zamachu bombowym IRA w Warrington w 1993 r. Znalazł się tu także niewydany nigdy w formacie studyjnym „Yesterday’s Gone”, zarejestrowany właśnie podczas tego koncertu. Gdy O’Riordan śpiewa o swym dziewczęcym zauroczeniu pewnym chłopakiem poznanym na dyskotecce w rodzinnym Limerick, pierwszym pocałunku i pierwszym rozczarowaniu, zaczynamy tęsknić za czasami, gdy chłopcy i dziewczyny nie flirtowali z sobą za pośrednictwem telefonów. Piosenka „Linger” – bo o niej mowa – nie bez pomocy MTV otworzyła grupie drogę do sławy. Śpiew zakochanej Dolores nabiera tu jeszcze silniejszego wyrazu. To głos nieco zbuntowanej, irlandzkiej katoliczki, która mając już potem dość sławy, wołała zając się dziećmi, praniem i rodziną, którą określała jako własne wybawienie. Choć niestety do końca nie potrafiła się uporać z dręczącymi ją demonami.



The Cranberries, „MTV Unplugged”,
Universal 2025

Maciej Walaszczyk

Mistrz politycznego pamfletu

16 grudnia w siedzibie PIW miał się odbyć jubileusz 90. urodzin Piotra Wierzbickiego. Niestety jubilat nie dotrze już na spotkanie. Zmarł 28 listopada br. w Warszawie. – Bezpośrednim powodem zorganizowania tego spotkania było wydanie wyboru jego esejów i felietonów muzycznych pt. „Burza śnieżna w Bostonie”, a ja miałem to spotkanie poprowadzić – mówi Waław Holiwiński, pisarz, który niegdys również współpracował z powołaną w 1993 r. do życia „Gazetą Polską”. Co interesujące, spotkanie, którego organizatorem była siostra jubilata, miało mieć formułę zamkniętą, a zaproszeni zostali zarówno Jarosław Kaczyński, jak i Adam Michnik. Nie przypadkiem, bo to ludzie, z którymi ścieżki życiowe tego znakomitego autora oraz politycznego komentatora przecięły się nieraz, i to w bardzo ważnych momentach najnowszej historii, definiując polityczny spór, którego staliśmy się częścią.

DEFINICJA SPORU O POLSKĘ

Piotr Wierzbicki, szczególnie biorąc pod uwagę polityczne wybory, z pewnością chadzał własnymi, czasem bardzo krętymi drogami. Był może nawet nieobliczalny, choć dziś wiemy, że przez to niezwykle ciekawy. Uważał, że poglądów politycznych nie powinno się wkładać do słoika z formaliną. Idąc więc często pod prąd, starał się stworzyć oryginalny sposób myślenia o Polsce, polityce i kulturze narodowej. Był jednym z kilku mistrzów prawicowego felietonu, który w rękach tak zręcznego publicysty mocniej niż za pomocą politycznych programów oddziaływał na czytelnika szukającego innego punktu widzenia niż oficjalnie zadekretowany.

W 1976 r. poparł KOR, a jego teksty zaczęły się ukazywać w wydawnictwach

Mistrz eseju, politycznego pamfletu i muzycznego felietonu chadzał własnymi ścieżkami. Piotr Wierzbicki uczynił jednak wiele, by prawica w Polsce posiadała własny głos i siłę politycznej argumentacji

drugiego obiegu, głównie w miesięczniku „Głos”, a także w „Zapisie”. To w tym ostatnim, kojarzonym ze środowiskiem Jacka Kuronia, ukazał się „Traktat o gniadach”, który pod koniec lat 70. wyszydził różne ideologiczne uzasadnienia wymyślone przez inteligentów zaangażowanych w popieranie komunizmu albo powstrzymujących się od otwartego sprzeciwu wobec systemu. Po latach wyznawał, że dawał się wówczas ponieść iluzji „w cudowną moc słowa”. Zupełnie niesłusznie, bo tekst i wydana potem książka były lekturą odkrywczą, wywołującą wielki ferment w środowisku opozycji. A szczególnie w kręgach tzw. salonu, w którym panował klimat partyjnej dyscypliny. Nawiązując do pomysłu Janusza Szpotańskiego, zdefiniował w niej PRL-owskiego inteligenta, „intelektualnego, naukowego lub artystycznego pomocnika nowych panów Polski, który jest w głębi duszy antykomunistyczny, ale równocześnie zajęty uzasadnianiem ich władzy i swojej wobec nich uległości”. Ośmieszał wszelkie dwójmyślenie stosowane do pokrycia własnego konformizmu. Wiedział, co mówi, bo wcześniej sam był członkiem

redakcji tygodników, m.in. związanego z ZSP „ITD” czy Putramentowskiej „Literatury”. Później tłumaczył się z tego w „eposie gnidologicznym” pt. „Rozkosznie” (1991), który można odczytać jako rodzaj publicznego wyznania winy.

Po publikacji „Traktatu” ukazała się polemika Adama Michnika i odpowiedź, którą napisał Jarosław Kaczyński, wspierająca tezy Wierzbickiego. Spór trwa właściwie do dziś, choć lata temu autor książki postanowił się od niego zdystansować.

KONSERWATYWNY STYL MYŚLENIA

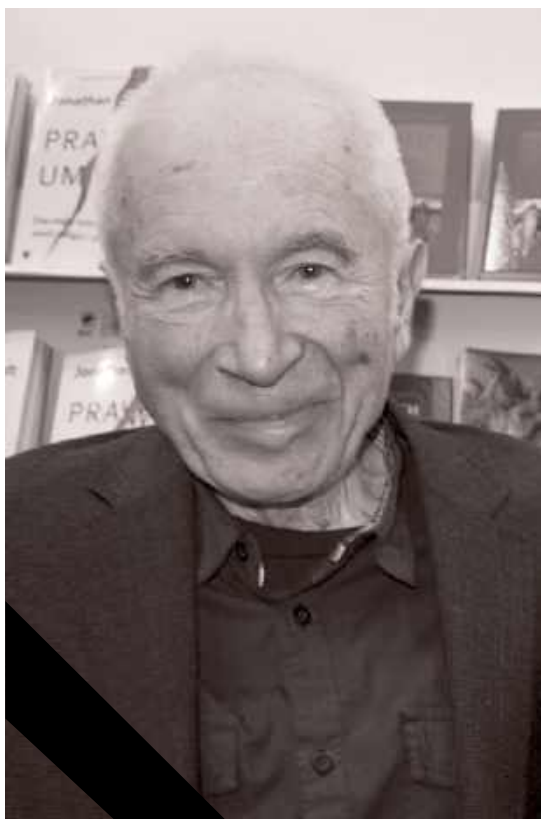
W latach 80. ukazały się jego kolejne ważne książki polityczne. Okazały się lekturami formacyjnymi dla młodych adeptów prawicy, szukających inspiracji w myśli narodowej i konserwatyźmie, co – szczególnie w czasach późnego PRL – było zadaniem trudnym. Jedną z nich była znakomita „Struktura kłamstwa”, stanowiąca analizę stosowanej w Związku Sowieckim propagandy i socjotechniki, napisana w przekonaniu, że jeszcze nigdy w dziejach „kłamstwo nie miało do swej dyspozycji zastępów tak licznych fałszerzy”. Zachęcał w niej do nabycia umiejętności rozszyfrowania metod stosowanych w „produkcji masowego kłamstwa XX w.”. Wydany w 1986 r. traktat na temat manipulacji nie stracił wiele na aktualności nawet w czasach mediów społecznościowych i wszechobecnej reklamy.

Drugą z ówczesnych książek Wierzbickiego były słynne „Myśli starożytnego Polaka”, nieprzypadkowo już tytułem nawiązujące do znanego dzieła Dmowskiego. Książka jest pasjonującą polemiką z opozycyjną lewicą, która już za moment postanowi porozumieć się z ekipą Kiszczaka-Jaruzelskiego przy okrągłym stole. Wierzbicki stał

się dzięki niej – obok tekstów Mirosława Dzielskiego czy Stefana Kisielewskiego – jednym z głównych punktów odniesienia dla rodzącego się konserwatyizmu. Pierwsze poważne starcie miało miejsce już w 1989 r., a jego kulminacją było poparcie Jarosława Kaczyńskiego, praca w redakcji „Tygodnika Solidarność”, postawienie na prezydenturę Lecha Wałęsy, będące konfrontacją z obozem politycznym Tadeusza Mazowieckiego. Początkowo Wierzbicki upatrywał w liderze Solidarności odpornego na ciosy, wyrachowanego taktyka („Bitwa o Wałęsę”). Wojna na górze okazała się jednak kolejną odsłoną sporu z lat 70., w kolejnych latach detonującą właściwie niekończące się polityczne perturbacje. W końcu wokół Wałęsy ujawniły się siły związane z aparatem władzy PRL, a on sam jako prezydent zaczął nie na żarty wojować z opozycyjną wobec niego prawicą. Stojący po jej stronie Wierzbicki podjął się więc wydawania dziennika „Nowy Świat”, który stał się pierwszą poważną, choć ograniczoną zasięgiem alternatywą dla nowego układu medialnego. Wojna na górze ostatecznie skończyła się odzyskaniem władzy przez postkomunistów w 1993 r., a potem prezydenturą Aleksandra Kwaśniewskiego.

LUSTRACJA I ROZCZAROWANIE

W międzyczasie miała miejsce tzw. noc teczek, a więc próba lustracji i obalenie rządu Jana Olszewskiego. Dla założonego w 1993 r. tygodnika „Gazeta Polska” wydarzenia te na wiele lat stały się politycznym punktem odniesienia. To na jej łamach została wydrukowana tzw. lista Macierewicza, a sam Wierzbicki wspierał Olszewskiego. Angażował się więc w budowanie prawicowej opozycji, marząc o silnym obozie antykomunistycznym, który skupiłby szeroki blok mogący być alternatywą dla demoliberalnego monopolu. W książce „Upiorki” apelował do polityków prawicy, by odwołali się do większościowego „instynktu polskości”, oznaczającego tradycyjny program



Narodowej Demokracji. Był pewien, że taki zabieg doprowadzi do sformowania potężnej partii narodowej. „Formułuję prorocstwo. Tak się musi stać” – mówił podczas jednego ze spotkań w 1995 r. I miał rację!

Ale nieoczekiwanie po jakimś czasie zaciągnął hamulec, publikując dwa wymowne teksty odcinające się od radykalizmu prawicy i m.in. Radia Maryja oraz rodzącego się eurosceptycyzmu. Wolta zakończyła się wspieraniem fatalnych w skutkach rządów Jerzego Buzka i koalicji UW-AWS, pieczętując rozejście się ze wspieraną od lat prawicową opozycją. W 2006 r. w jednym z rozliczeniowych tekstów wyjaśniał, że od Michnika oddaliły go po prostu wydarzenia pierwszych lat III RP, gdy nie był w stanie pogodzić się z wizją Polski, w której dawni dygnitarze PRL awansowali na dżentelmenów, a zasłużonemu Olszewskiemu przydzielono „rolę potwora”.

Wierzbicki wycofał się z komentowania polityki, tracąc też „Gazetę Polską”, o co miał potem pretensje, m.in. do

kierownictwa PiS i wielu swoich współpracowników. Już wcześniej u tego samego Michnika dostał miejsce na swój muzyczny felieton. Zajął się eseistyką zgodnie z własnym przekonaniem, że wszystko, co dobre, jest aktualne i nie ulega dewaluacji. Dowodzi tego m.in. znakomita książka o Mickiewiczu.

ENTUZJASTA MUZYKI

Wierzbicki był polonistą. Po ukończeniu studiów filologicznych na Uniwersytecie Warszawskim w 1957 r. rozpoczął współpracę z pismem literackim „Współczesność” i równocześnie przez kilka lat pracował jako nauczyciel języka polskiego w warszawskich podstawówkach. Swoje doświadczenia z tego czasu opublikował – choć z dużym poślizgiem – w książce pod znanym tytułem „Entuzjasta w szkole”. Dzieciom chciał zaszczyścić własne pasje do astronomii i kosmologii, a do prowadzonych przez siebie lekcji wplatać wątki muzyczne.

Dużą część pisarstwa Wierzbickiego to właśnie muzyka, której był bardzo ciekawym popularyzatorem. A może wyjątkowo czułym melomanem, który fałszyfikował twierdzenie, że pisanie o muzyce to tańczenie o architekturze. Bo pisał pięknie, zawsze używając malowniczych metafor, plastycznych wyrażań ułatwiających mówienie o rzeczach skomplikowanych. Od czytającego wymagało to i tak sporego osłuchania, jednocześnie lektura m.in. „Muzykalnego kosmosu”, „Boskiego Bacha” czy kilku pasjonujących książek o Chopinie jest też po prostu zaproszeniem do muzycznego świata, a nawet kolekcjonowania dobrych nagrań. Okładka płyty – jak pouczał – to odwrotność etykiety na butelce wina. Na tej ostatniej powinna się znajdować jedynie nazwa winnicy. Inaczej w przypadku płyty – im więcej, tym lepiej. No i „nie ma żadnego the best of Mozart, the best of Chopin, the best of Bach. To nie są proszki do prania”.

Maciej Walaszczyk



HITY I KITY ZAREMBY

„Ministranci” Piotra Domalewskiego dostali na festiwalu w Gdyni Złote Lwy i zostali dobrze przyjęci przez liberalne elity. Konserwatyści zareagowali nieufnością. Mnie ten film po prostu wzruszył

Dostajemy opowieść o czwórce chłopców z podstawówki zaangażowanych w życie swojej parafii w biednej dzielnicy. Domalewski opowiadał, że poznał ten świat, bo sam był ministrantem. Ma on 42 lata, więc jego doświadczenie to odległa przeszłość.

Nie jestem pewien, czy dziś nadal tak duże grupy chłopców garną się do ministrantury. Nie wiemy nawet, gdzie to się dzieje. Skądinąd sam w jeszcze dalszej przeszłości służyłem do mszy.

Chłopcy odkrywają, że proboszcz zgodził się na wyjęcie pieniędzy z puli pomocy potrzebującym, by przekazać je kurii. Postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce. Podслушują spowiedzi w konfesjonale, aby odkryć, kto ma finansowe kłopoty. I sięgają po tę pomoc do parafialnego sejfu.



Film o świętości

Robią to w duchu kruczaty, niezgody na zło, ducha wykładanym w rapowych piosenkach. To przedziwna mieszanka katolickiej ortodoksji i popkultury, pytanie – na ile istotnie dzisiejsza. To podsuwa im kolejne pomysły na walkę z grzechem. Wikła ich to w dylematy zakończone pęknięciem grupy.

Recenzent Klubu Jagiellońskiego Łukasz Wesolowski nazwał ten film „mniej depresyjnym »Klerem«” (Wojciecha Smarzowskiego). Jego zdaniem kolejne filmy krytykujące Kościół błędnie przeciwstawiają wolność jednostki wspólnocie.

Ale przecież chłopcy przywdziewają kominiarki właśnie w imię wspólnotowości. Ktoś może powiedzieć, że kryje się za tym zamiysł sprowadzenia Kościoła do roli instytucji charytatywnej. Ale to nie jest nieposłuszeństwo w imię powstrzymywania księży przed duszpasterstwem czy modyfikacji ich nauk. Oni chcą tylko, żeby było więcej dobra, zgodnie z tekstami ewangelii, których słuchają na mszach.

Z kolei Łukasz Adamski opisał film jako antyklerykalny, a jednak chrześcijański. Prawda, mamy tu atmosferę kościelnej rutyny proboszcza (świetny – jak zawsze – Sławomir Orzechowski) i światowego rekolekcyjisty z kurii (równie dobry Tomasz Schuchardt, grający chyba we wszystkich filmach). Ale jest to bardziej przyzmana niż atak, nie ma tu agresji rodem z kabaretowego „Kleru”.

To zarazem także opowieść o zmaganiu się ze złem w ogóle, tym w świe-

cie dorosłych: pijaństwem, nieuczciwością, bezdusnością w rodzinach. Filip dostaje lekcję daremności dobrych uczynków. Kościół nie radzi sobie z tą daremnością, bo jest stworzony na miarę ludzi, którzy do niego przychodzą.

Dlatego kiedy Adamski pisze, że to apel pod hasłem: „My jesteśmy Kościołem” (dawny kontestatorski ruch w Austrii), uważam to za przesadę. Nie ma tu sporu o dogmaty, naukę. Jeśli Domalewski wierzy w taką interpretację własnego filmu (recenzent go zna, ja nie), to mnie jej nie narzucał. Owszem, zakończenie może sugerować, że dobra lepiej poszukać poza murami świątyni – to skutek błędu zmęczonego rutyną proboszcza. Ale to dopiero znak zapytania, dla mnie finał pozostaje otwarty.

Poza wszystkim to opowieść o tym, jakie ciężary mogą spadać na barki dziecka. Gdy czytamy, że podsłuchiwanie spowiedzi jest grzechem powodującym wykluczenie z Kościoła, to przecież chłopcy w ich wieku pozostają niewinni. To film o arcytrudnym dążeniu do świętości – w gruncie rzeczy Filip powtarza ofiarę Chrystusa. Ale i o przyjaźni, również wystawionej na próby.

Akcja jest prosta i – mimo humorystycznych scenek – smutna. Nie byłoby tego filmu, gdyby nie kreacje Tobiasza Wajdy (Filip), Brunona Blacha-Baara (Gucci), Mikołaja i Filipa Juszczyków (bracia Kurczak). Polskie kino wreszcie nauczyło się prowadzić dziecięcych aktorów.

Piotr Zaremba



Gomułkowski Wrocław w cieniu zarazy

To dobry pomysł, aby w serialu TVP „Czarna śmierć” pokazać epidemię ospy we Wrocławiu w 1963 r. Jak katastroficzny „Heweliusz” Holoubka zawierał kawał prawdy o początkach III RP, tak ten temat pozwala podpatrzeć fragmenty społecznej rzeczywistości PRL

W 1971 r. Roman Załuski nakręcił o tych wydarzeniach film „Zaraza”. Ze zrozumiałych powodów krytyczne spojrzenie na reakcję władz musiało być w nim limitowane.

Sama sytuacja była ewenementem w izolowanej od świata Polsce. Mieliliśmy wtedy względny spokój, pomijając eksplozje polityczne. A tu nagle trzeba było zamknąć Wrocław, osadzać ludzi w izolatoriach, działać w warunkach kataklizmu. Podobno wirus przywłókl z Azji oficer SB, co znajduje odzwierciedlenie w serialu.

„Czarną śmierć” wyreżyserował Kuba Czekaj, twórca części odcinków netfliksowej „Anieli”. Scenariusz napisali sprawni fachmani: Piotr Derewenda i Wojciech Lepianka. I jakby nie do końca mogli się zdecydować, o czym to jest.

W pierwszych odcinkach władze, a także dyspozycyjny wobec nich ordynator Zajdler (kapitałny Cezary Pazura), starają się wyciszyć sprawę. To wątek wielu filmów o kataklizmach, a tu mamy totalitarnych rządzących. Absurdalne obchody ulicznych święta 22 lipca, gdy w tym samym czasie ludzie są już przynusowo zamykani w szpitalach-wieżeniach, robią wrażenie. Potem, gdy epidemia jest już ogłoszona, dziennikarz Igor Bielik (dobry Tomasz Ziętek), którego żona była jedną z pierwszych ofiar, szuka pacjenta zero.

Mamy klimat budowany przez mroczne, oniryczne plenery przeplatane ze zdjęciami dokumentalnymi. Jednak fabuła zawiera sporo niejasności i niedoróbek, portrety bohaterów są zamazane. Na pogrzebie żony Bielika zostaje pochwycona i odizolowana cała grupa żałobników. Ale dziennikarz zaraz wychodzi ze szpitala i nie wiemy, z czyjego polecenia.

Doznaję wrażenia, że pomimo mroczności tamta epoka jest zbyt kolorowa jak na siemiętną gomułkowszczyznę. To był bardzo sformalizowany patriarchy, a tu elegancka oficer SB Łucja Winter (Agnieszka Podsiadlik) wpada na posiedzenie komitetu PZPR i rządzi się, jakby wszystkim kierowała. Ale może po tylu latach nie da się odtworzyć realiów. Mimo wszystko po czwartym odcinku czekam na finał.

POLACY NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

Sztuka Białorusina Mikity Ilinczyka „Un-packing” została słabo zauważona, choć jest koprodukcją dwóch teatrów: warszawskiego Dramatycznego i wrocławskiego Współczesnego. Dotyka wspólnej polsko-białoruskiej historii i współczesnego problemu migrantów. Jest dziwna, a chwilami drażniąco stronnicza

Autor, przedstawiany jako uchodźca polityczny, doczekał się już w Polsce innej premiery. „2049: Witaj, Abdo”, sztuka wystawiona w Teatrze Studio, jest wizją przyszłości. W Europie zwyciężył islam i wystawia rachunkowej dawnym gospodarzom. Polsce zarzuca masowe morderstwa na migrantach przekraczających polsko-białoruską granicę.

Nie widziałem, nie podejmuję się recenzji. Prawica protestuje, że w publicznym teatrze upowszechnia się niedowiedzione oszczerstwa pod adresem Polski. Inny paradoks to zaangażowanie przeciwnika reżimu Łukaszenki w upowszechnianie propagandy tego reżimu.

„Un-Packing” nie jest tak drastyczne, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że pisarz zawiał do Polski, żeby psuć samopoczucie Polakom. Wyreżyserowała to młoda artystka Katarzyna Kalwat. Rzecz także dzieje się w przyszłości, choć nie tak odległej (2029 r.). W tekście spleciono dwa wątki: prowadzonej przed kamerami dyskusji o dylematach związanych z migrantami i zaślności w relacjach Polaków z Białorusinami zaraz po wojnie.

Wszystko dzieje się w zagrożonej tekturowymi pułkami przestrzeni schroniska dla białoruskich uchodźców. Opiekuje się nimi polska posłanka o radykalnie lewicowym programie migracyjnym. Ogłasza ona zastąpienie narodowych tożsamości uznaniem wszystkich Europejczyków za „uchodźców”. Jej przemowy brzmią jak autoparodia i nie wiem, jaki jest stosunek autora do nich. Zwłaszcza że Marta Ojrzyńska, grająca tę postać, nie szczędzi jej rysów satyrycznych. To urodzona manipulująca. Jest jednak skazana na klęskę, bo Polska właśnie znajduje się niemal za drzwiami Unii.

Nie wiadomo zresztą, czy złośliwy portret posłanki nie wynika z innej okoliczności. Jest ona rodzinie związana z Podlasiem. Jej wuj (jeszcze bardziej satyryczny Mariusz Dręzek) to rekonstruktor, wierny pamięci żołnierzy wyklętych, a ona nie umie się odciąć od rodziny. Tymczasem pisarz grany przez Białorusina Kiryła Mashekę oskarża antykomunistycznych partyzantów z Podlasia, że w 1945 r. napadli jego rodzinę, omal jej nie zabili, zmusili do ucieczki na teren ZSRS.

Sztuka toczy się wartko, jest dobrze zagrana. Spór o stosunek do napływu obcych jest tu cokolwiek zamazany, za to rozliczenie ze „zbrodniami polskiego podziemia” – jednoznaczne.

Ilinczyk bazował na książce Białorusinki Anety Prymaki-Oniszk. To jednak zaledwie akt oskarżenia. Gdzie rozprawa? Wuj obwinia Białorusinów o współpracę z sowiecką partyzantką. Ta wersja jest jednak z góry wykpiąca. Mamy więc kolejny rutynowy obrachunek, który raczej zostawia nas z pytaniami, niż przybliży do prawdy.

Załamane kultury Zachodu

Zdradziłaś męża, ostatnią stówę na buty syna zostawiasz w błyszczącym Las Vegas? Jeździsz naćpany autem 40 km/h? Schniesz, bo każda relacja kończy się przegraną? Zapisz wodkę perfumami, a i tak wszyscy w pracy wiedzą? Niszczysz żonę psychicznie, podnosisz rękę na dzieci? Prosiłaś nieprzyjaciela natury ludzkiej o każdego faceta, który ci się spodoba i jesteś wrakiem? Pornografia wyniszcza cię od 40 lat z górą? Chcesz się podobać wszystkim, destrukcyjnie spełniać oczekiwania każdego? Masz w sobie bunt aż po samozniszczenie, kłamiesz, gwałcisz psychicznie, obmawiasz, kradniesz?

Szukasz pocieszenia w stworzeniu i uzależniasz się. Od alkoholu, gniewu, toksycznych relacji, substancji psychoaktywnych, leków tłumiących, leków nakręcających. Stajesz się piniaczem, nienawistnikiem, kradniesz w sklepie, mimo iż masz pieniądze – byle coś się działo. Słuchasz telewizji, które nakręcają emocje tak, że nienawidzisz swoich błędzących braci. A przecież ty też czasem błędziłeś. Uzależniasz się od nienawiści, od jedzenia albo niejedzenia – mięsa, od biegania albo od leżenia w smrodzie przy komputerze w pokoju z zaciągniętymi w dzień zasłonami. Masz deficyty, nie rozwiązujesz swoich problemów i wtedy są tylko dwie drogi: ucieczki lub agresji. Od ilu substancji, relacji, stanów emocjonalnych, uczuć jesteś uzależniona?

Tylko od bezinteresownej miłości Boga nie można się uzależnić, bo ona właśnie jest – bezinteresowna. Każde pocieszenie płynące od natury, od stworzenia, może prowadzić do zniewolenia, o ile jest w miejsce jakiegoś braku.

Myślisz o samobójstwie, że rozwiązałyby twoje problemy? Nieprzyjacieli natury ludzkiej kusi nas ku rozpacz.

Bóg dopuszcza, byśmy poszli za pragnieniami zranionego serca, poddał nas nieposłuszeństwu, aby wszystkim okazać swe miłosierdzie. Ale trzeba wyciągnąć rękę, by dotknąć nadziei.

Bo substancją nadziei jest wiara. Co zatem się dzieje w świecie, w którym wiarę wyparły wierzenia? Wierzenia, czyli współczesne ideologie, herezje, filozofie i style życia mające konsekwencje światopoglądowe.

Każdy system wierzeń jest fałszywy. Tylko wiara daje człowiekowi dostęp do prawdy, nieustający pokój wewnętrzny, niegasnącą nadzieję, zdolność do radykalnego poświęcenia. Dzieje się tak, bo za wierzeniami stoi stworzenie. A wiara jest darem Stwórcy. Darem, który trzeba chcieć przyjąć

Zapytajmy jeszcze inaczej: jak wysokiej próby jest nadzieja, której substancją są wierzenia? Otóż nadzieja niesiona przez dostępne na rynku techniki, kursy, warsztaty samodoskonalenia, przez mentoring, coaching, a także psychologię, nurty terapeutyczne czy psychiatrię traktowane jak coś więcej niż sama nauka to tylko rozwiązania cząstkowe lub pułapka dla duszy. Fałszywa nadzieja prowadzi do zniewolenia, smutku, poczucia beznadziei i finalnie do rozpacz.



ROBERT TEKIELI

Religia jest ośrodkiem kultury. Duch sercem cywilizacji. Dzisiejsza kultura Zachodu to kultura rozpacz. Bo sens życia i śmierci jest dany człowiekowi w Jezusie Chrystusie.

Kultura nie może być neutralna wobec prawdy. Bez religii, bez wiary skuteczne poszukiwanie prawdy o rzeczywistości jest niemożliwe. Bez świadomości transcendencji człowiek staje się tylko jedną z rzeczy. Cierpiących rzeczy.

Każdy system wierzeń jest fałszywy. Tylko wiara daje człowiekowi dostęp do prawdy, nieustający pokój wewnętrzny, niegasnącą nadzieję, zdolność do radykalnego poświęcenia. Dzieje się tak, bo za wierzeniami stoi stworzenie. A wiara jest darem Stwórcy. Darem, który trzeba chcieć przyjąć.

Swego czasu Benedykt XVI napisał w encyklice o nadziei, że to właśnie wiara jest jej substancją, budulcem. Nadzieja wyrasta z wiary. Czy można sensownie żyć bez nadziei prawdziwej?

Nadzieja, pocieszenie płyną również z wierzeń. Tyle że nadzieja ulotna, fałszywa, a pocieszenie płynące od rzeczy – uzależnia.

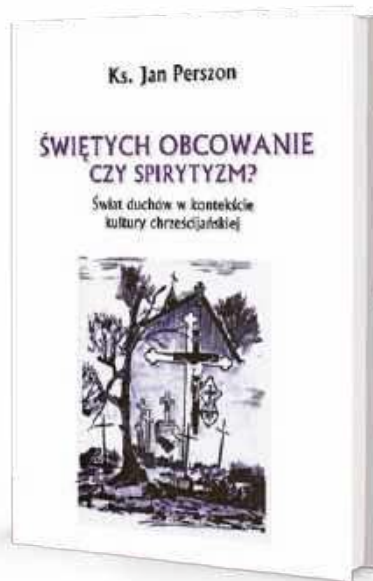
Wiara jest materialna jak miłość i pokój. Rozsyłając uczniów, Jezus mówi: „Gdy do jakiegoś domu wejdziecie, najpierw mówcie: »Pokój temu domowi!«. Jeśli tam mieszka człowiek godny pokoju, wasz pokój spocznie na nim; jeśli nie, powróci do was”. Pokój i wiara są

czymś realnym, „materialnym” – jak elektryczność czy powietrze, których nie postrzegamy zmysłami. A mimo to wiara zanika. Konsekwencją załamania zachodniej kultury jest masowe odejście od chrześcijaństwa, niemal całkowite odejście społeczeństw od Kościoła i wspólnot. Żywa więź z Bogiem, którą na co dzień oddychały wcześniejsze pokolenia, została wyparta przez promocję skrajnego indywidualizmu złączoną z upowszechnieniem dobrobytu i „religii konsumpcji”. W młodszych pokoleniach zanika środowisko wiary, czyli przesycony odniesieniami do Boga kontekst społeczny: rodzinny, rówieśniczy, zawodowy, środowiskowy, narodowy. I w mieście, i na wsi dom przestał być Kościołem.

Czy w XX w. Kościół instytucjonalny dodatkowo sam strzelił sobie w kolano? Czy traci ludzi Zachodu na własne życzenie?

Czytam monografię naukową ks. prof. Jana Perszona „Świętych obcowanie czy spirytyzm? Świat duchów w kontekście kultury chrześcijańskiej”. Przed wiosną napiszę jej dużą recenzję. Pomijam teraz najważniejszy wątek książki: „Jeśli naturalne zdolności parapsychologiczne (telepatia, telekineza, bilokacja, jasnowidztwo) istnieją, to Kościół musi zrewidować osąd, który dawniej rzeczy te traktował jako argument na rzecz nadprzyrodzonego pochodzenia wizji”. I koncentruję się na temacie wiary.

Otóż – pisze Perszon – świat wiary słabł wraz z przesunięciem priorytetów w nauczaniu Kościoła. „W świadomości religijnej – co w Polsce wyraźnie zaznaczyło się już w II połowie XX wieku – zmienia się obraz Boga. Przestał On być groźny i wymagający (niemal nigdzie nie usłyszy się kazania czy katechezy o Sędzim i Sądzie), akcentuje się natomiast Jego dobroć i miłosierdzie. Kaznodzieje już »nie straszą« nikogo wiecznym potępieniem. Ta »łagodność« [...] oznacza [...] zmianę mentalności wewnątrz wspólnoty Kościoła. Jeśli trudno o wieczne potępienie, słabnie motywacja do religijnego wysiłku w zabieganiu o zbawienie siebie i innych. Troska o »dusze czyścicowe«, jaką jeszcze wspólnie



praktykują gremialnie starsi (i tak jest na Kaszubach), ma bezpośredni związek z głęboką wiarą i zakorzeniem w komunii Kościoła. Gdy te rzeczywistości stają się jedynie częścią tradycji, prędkiej czy później staną się nieważne i zbędne”.

We wspomnianej encyklice o nadziei Benedykt XVI przywołuje dialog chrzcielny kapłana z rodzicami, w trakcie którego dziś rodzice proszą już tylko o przyjęcie do Kościoła, a kiedyś prosili dla swojego dziecka o wiarę – czyli o życie wieczne. „Rodzice oczekują czegoś więcej dla dziecka przyjmującego Chrzest: oczekują, że wiara, do której przynależy materialność Kościoła i jego sakramentów, da mu życie – życie wieczne. Wiara jest substancją nadziei. Tu jednak pojawia się pytanie: czy naprawdę tego chcemy – żyć wiecznie? Być może wiele osób odrzuca dziś wiarę, gdyż życie wieczne nie wydaje im się rzeczą pożądaną. Nie chcą życia wiecznego, lecz obecnego, a wiara w życie wieczne wydaje się im w tym przeszkodą. Kontynuować życie na wieczność – bez końca jawi się bardziej jako wyrok niż dar. Oczywiście chciałoby się odsunąć śmierć jak najdalej. Ale żyć zawsze, bez końca – to w sumie może być tylko nudne i ostatecznie nie do zniesienia”. Czy dziś naprawdę chcemy żyć wiecznie? Czy współcześni katolicy pragną zbawienia jak niczego innego na świecie?

Benedykt konkluduje, przywołując św. Ambrożego: „Nieśmiertelność jest raczej ciężarem niż korzyścią, jeśli nie rozświetla jej łaska”.


Wiosna, lato, jesień, zima. Wiosna, lato... Czy będziemy widzieć koło karmy czy koło przyrody – nużąca powtarzalność? Właśnie stąd się bierze fatalizm pogaństwa. Czas bez początku i końca. Beznadzieja.

Czyż bez nadziei życie nie jest kieratem? Smutnym marszem ku nieuniknionej agonii?

Czy zatem Kościół, zmieniając w XX w. priorytety w swym nauczaniu, doprowadził najpierw do zmiany obrazu Boga na prowadzący do kwiatyzmu, a teraz prowadzi katolików ku pogaństwu? Ku przeżywaniu życia w cieniu fatum? Bo dla ilu znanych ci katolików niebo nie wydaje się nudne?

Aby nie dać się pogodzić i osłabnięciu ducha w narodzie, czytam w adwentowe wieczory książkę Benedykta XVI „Pan trzyma nas za rękę”, a w niej o Kościele, który kiedyś miał odwagę chrzczyć rzeczywistość, a nie poddawał się – jak dzisiaj – wrogiemu Bogu duchowi czasu. „[S]łowo »adwent« zostało zaczerpnięte z łaciny w czasach Jezusa, z ówczesnego języka politycznego i religijnego. Określało pierwszą wizytę wielkiej osobistości w danym miejscu. Na przykład mamy monety korynckie z I wieku, które mówią o »adwencie Augusta« (był to Neron) albo wiadomości z kalendarza z IV w., które mówią o adwencie: adventus ibi Konstantyna”. I dalej: „Chrześcijanie wiedzieli, że prawdziwy Władca świata, prawdziwe Bóstwo, Syn Boży, nawiedził ten świat. Tym jest Adwent – nawiedzeniem Władcy świata, naszego Brata, naszego Pana Jezusa Chrystusa”.

Dobra nowina brzmi: ożyje serce szukających Boga. Musisz się wdrapać na drzewo, a dostąpisz oczyszczenia. Serdeczne lzy to lzy serca, kamienną skorupę którego Jezus właśnie kruszy. Pragniesz radości, pokoju duszy, odpoczynku, wybawienia? Bóg jest wszechmocny. Bóg jest wszechdobry. „Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

Trzeba służyć. Zaprosz ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych. A będziesz szczęśliwy, ponieważ nie mają czym się tobie odwdziżyć – odpłatę bowiem otrzymasz przy zmarłych wstaniu sprawiedliwych. 

Chiny trzymają świat za gardło

Pekin kompletnie ograł Europę. Chińczycy albo się z niej śmieją, albo na niej zarabiają

Z **Radosławem Pyfflem**, komentatorem spraw międzynarodowych, ekspertem Instytutu Sobieskiego, rozmawia **Stanisław Koczoł**



Ostatnie lata przyniosły zmianę w chińskiej dyplomacji – od maksymy Deng Xiaopinga: „Ukrywaj siłę, czekaj na czas” do strategicznej aktywności. Jaka jest pana zdaniem główna motywacja tej zmiany? Czy to poczucie siły i silna gospodarka, świadoma rezygnacja z dotychczasowej strategii?

Radosław Pyffel: Przyznam, że jestem zaskoczony pojawiającymi się ostatnio w polskiej przestrzeni publicznej wypowiedziami o „wzroście asertywności Chin”. Każdy, kto zna trochę ich język i kulturę, wie, że w Azji istnieje kilka poziomów przekazu. Zmianę, o którą pan pyta, obserwowałem

w Chinach jakieś 10 lat temu. Może nie była oficjalnie deklarowana, ale już wtedy się dokonywała. Rozmawiając z przedstawicielami elit czy zwykłymi ludźmi i rozumiejąc konieczność czytania między wierszami, już wówczas dało się zauważyć, może niewypowiedziane przez nich wprost, ale rosące przekonanie, że w pewnym momencie swój interes w przestrzeni międzynarodowej Chiny zaczną artykułować otwarcie, bez ozdobników. Historycy będą się spierać, kiedy nastąpiło odejście od doktryny „ukrywania siły” Deng Xiaopinga, ale na pewno skończyła się ona już w 2013 r., na początku rządów Xi Jinpinga. Już wtedy Chiny osiągnęły taki poziom rozwoju gospodarczego, że nikt na świecie by nie uwierzył, że jest to kraj słaby, nawet gdyby Pekin o tym gorąco zapewniał. To wtedy stopniowo zaczęła się uaktywniać BRICS – organizacja polityczna i gospodarcza założona przez Brazylię, Rosję, Indie i Chiny, do której należy teraz już 10 państw, powstały nowe instytucje finansowe i nowa architektura globalnego ładu.



Chiny już dawno wyszły z cienia, a my jesteśmy zaskoczeni, niczym drogowcy pierwszym śniegiem.

Jeżeli zmiana dokonała się już dawno, to co w takim razie dzieje się teraz? Międzynarodowa aktywność Chin jest widoczna gołym okiem.

Zacząło się już dawno, a teraz po prostu obserwujemy kolejny etap tego zjawiska, które – moim zdaniem – zostało przyspieszone przez Donalda Trumpa.

Prezydent Ameryki przyspieszył aktywność Chin?

Chodzi o sposób komunikowania. On komunikuje bardzo wprost. I Chińczycy zaczęli robić to samo, artykułując swoje interesy. Tak jak Donald Trump już nie bawia się w język dyplomacji, np. przypominając, kto kontroluje metale ziem rzadkich i kto – nawiązując do Trumpa – jakie ma karty.

W takim razie o co chodzi w relacjach między USA a Chinami? O prymat technologiczny? A może o jakąś rekonfigurację globalnego systemu finansowego? Coś jest na rzeczy, bo mamy próbę osłabienia dominacji dolara, duże zakupy złota przez Chiny.

Przechodzimy wielką rekonfigurację systemu globalnego. Prezydent USA nie broni starego porządku, bo wie, że jest on nie do utrzymania. Wykonuje takie ruchy – czasem zaskakujące – aby nowy system stał się jak najbardziej korzystny dla Stanów Zjednoczonych. Chiny – choć dużo spokojniej – starają się robić to samo, także w swoim interesie. Wygląda na to, że w polityce światowej może się pojawić nowy układ, w którym będzie dominować kilka światowych mocarstw: na pewno USA i Chiny, a także Indie i zapewne jednak Rosja, która, choć ma dość słabe karty w tej rozgrywce, może się w niej utrzymać.

Czy jest to możliwe? System dwóch mocarstw – USA i Rosji Sowieckiej – ledwo się trzymał, a co dopiero konglomerat czterech sił o rozbieżnych interesach.

Ale nie ma obecnie mocarstwa zdolnego narzucić wszystkim swoją wolę. USA od 10 miesięcy nie są w stanie uspokoić nawet dużo słabszej Rosji. Mamy więc stan chwiejnej równowagi między mocarstwami. 25 listopada Donald Trump rozmawiał telefonicznie z przywódcą Chin Xi Jinpingiem i powiedział, że rozmowa była świetna. W Polsce panuje przekonanie, że to tylko robienie dobrej miny do złej gry, a III wojna światowa to już kwestia kilku miesięcy. Ale nie można wykluczyć, że stan chwiejnej równowagi między mocarstwami utrzyma się przez dłuższy czas.

W większości przypadków napięcia między mocarstwami kończyły się wojną.

To prawda. Z reguły, jeżeli inne mocarstwo zbliżało się do dotychczasowego hegemonu, to ta zmiana rzadko następowała bez walki czy konfliktu kinetycznego. Zobaczmy, jak będzie tym razem. Chiny rzeczywiście w sposób bardzo planowy, wielopłaszczyznowy podminowują amerykańską hegemonię bazującą na dolarze. Mamy do czynienia z przechodzeniem w systemie finansowym na złoto, waluty lokalne, dokonuje się aktywizacja Globalnego Południa. Pamiętajmy, że Indie kupują rosyjską ropę, płacąc swoją walutą, czyli rupią. Nie tylko Chiny dokonują zatem procesu globalnej rekonfiguracji.

Jak zareagują na to Stany Zjednoczone? III wojna światowa jest nieunikniona?

To się dobrze sprzedaje, zwłaszcza w Polsce. Natomiast Trump często sprawia wrażenie raczej boga handlu niż wojny. Kogoś, kto po prostu renegeguje warunki i chce zarabiać. Podwyższa stawkę, potem ją obniża. Nie tylko wobec Rosji, lecz także rzadko decyduje się na zaostrenie kursu i użycie środków przymusu bezpośredniego. Myślę, że czeka nas sporo ciekawych wydarzeń i scenariusz starcia kinetycznego wcale nie jest nieunikniony. Choć oczywiście Chiny od bardzo dawna się do niego przygotowują – gromadzą zapasy surowców, zboża, złota. Stały się taką twierdzą, jaką swego czasu było Bizancjum.

Kooperacja nie będzie łatwa, o czym można się było przekonać ostatnio, gdy Chiny chciały radykalnie ograniczyć eksport metali ziem rzadkich. Pekin kontroluje większość tego rynku. Na ile ta dominacja jest realnym instrumentem nacisku na Zachód?

Ale właśnie użycie metali ziem rzadkich jako narzędzia geoeconomicznego przez Chiny – czy w zasadzie tylko pogroźenie palcem, że jeżeli sytuacja w polityce światowej będzie szła nie po ich myśli, to wtedy naciśną ten guzik – natychmiast wywołało chęci konfliktu kinetycznego, który zresztą bez dostaw z Chin trudno by było prowadzić, także Amerykanom. Kontrola metali ziem rzadkich przez Pekin to oczywiście ból głowy przede wszystkim dla USA, ale właściwie dla całego rozwiniętego świata, w tym Unii Europejskiej. Surowce te są kluczowymi komponentami w branży motoryzacyjnej, elektronice, militariach. Bez nich wszystko staje. W reakcji na groźby Trumpa Chiny wprowadziły bardzo silne obostrzenia, ale później, po rozmowie z nim, zapowiedziały złagodzenie tych najbardziej restrykcyjnych przepisów. Podkreślam: Pekin nie odszedł od kontroli tego rynku, ale ją złagodził. Zresztą to niejedyny problem, jeżeli chodzi o łańcuchy dostaw kluczowe dla Europy. Na rynku komponentów leków udział Chin też sięga kilkudziesięciu procent. Gdyby rząd w Pekinie użył tego argumentu – bardzo ciężkiego kalibru – okazałoby się, że bez jego zgody nie można produkować leków. Chiny trzymają świat za gardło.

Perspektywa jest druzgocąca. Co się w takim razie stało, że Unia oddała Pekinowi rynki kluczowe dla naszego bezpieczeństwa?

Stało się tak z kilku powodów. Po pierwsze, w Chinach istnieje system polityczny, który nie podlega sondażom, cykлом wyborczym, krótkiej perspektywie. Mogą planować działania, których cel strategiczny zostanie osiągnięty za 10 czy 20 lat. Po drugie, wygoda społeczeństw zachodnich. Wiele branż zostało

wyeksportowanych do Chin, chociażby wspomniane metale ziem rzadkich i ich rafinacja. Praca przy ich wydobyciu jest ciężka, można się pobrudzić, generuje też duże koszty środowiskowe, protesty społeczne itd. Więc zajęli się tym Chińczycy. Trzeci czynnik to chciwość międzynarodowych korporacji, które chciały zarabiać szybko tanim kosztem. Dodałbym jeszcze czwarty czynnik, wcale niewynikający z krótkowzroczności czy chciwości. To czynnik ideologiczny, polegający na pewności, że Chiny prędzej czy później się zdemokratyzują, bo demokracja jest najdoskonalszym systemem i wystarczy zaczekać, aż chiński system runie. Pojawiały się nawet wyliczenia, że miałyby do tego dojść w 2018 r., po osiągnięciu pewnego poziomu dochodów w Chinach, gdy klasa średnia stanie się wystarczająco liczna. Dziś wiemy, że nic takiego się nie stało.

Czy to znaczy, że model demokratyczny nigdy nie trafi do Chin, nie zostanie tam przyjęty? Może jednak kiedyś tak się stanie?

Nie wiem, jak będzie z demokracją na Zachodzie, a tym bardziej w Chinach. Natomiast dzisiaj w Państwie Środka panuje przekonanie, że ich model jest bardziej racjonalny, że model demokratyczny halucynuje, zidiociał, generuje bardzo dziwne pomysły związane z zieloną energią, w której Chiny kompletnie ograły Europę. Chińczycy albo się z tego śmieją, albo na tym zarabiają. To niepopularne, wręcz nie do przyjęcia w Polsce, ale powiem to wprost: Chińczycy robili swoje, a Zachód nie był w stanie zareagować, bo uważał, że zaadaptowanie zachodniego systemu wartości w Chinach jest kwestią czasu.

Wróćmy jeszcze do UE. Unia stara się nie zerwać całkowicie więzi handlowych z Chinami. Czy ta próba znalezienia autonomii między rywalizującymi mocarstwami jest realistyczna?

Pana pytanie zakłada, że Unia Europejska ma jakiś wybór. Moim zdaniem dramat UE polega na tym, że ona tego

wyboru nie ma. Gdyby go miała, już dawno by zerwała z Chinami. Tymczasem skończyło się na retoryce. Pekin nie musiał nawet grozić palcem, tak jak w przypadku metali ziem rzadkich. Po prostu skończyło się na deriskingu, czyli ograniczeniu ryzyka, i dywersyfikacji, czyli zmniejszeniu zależności od Chin i kupowania – jeżeli się da – u innych dostawców.

Może po prostu Unia nie ma alternatywy, dobry wybór jest niemożliwy?

Jeszcze w czasach prezydentury Joe Bidena istniała koncepcja stworzenia jednego wielkiego bloku zachodniego i jakby powrotu do zimnej wojny. Trump nie realizuje tej wizji.

Obawiam się, że Polska zostanie wyizolowana albo sama się wyizoluje z nowo tworzącego się łańcucha dostaw, w którym tak istotną rolę będą odgrywać Chiny i świat pozaeuropejski

Mówił nawet, że Unia jest gorsza od Chin. Machnął na nią ręką i nałożył 15-proc. cla. Dzisiaj Europa Zachodnia stoi trochę w kontrze do USA. Nie ma wyboru, bo nie może się odciąć od Chin i pójść w kierunku Stanów Zjednoczonych.

Wydaje się, że Chiny powinny się pochylić nad Europą i coś jej zaproponować.

Niemcy, Hiszpanie, Francuzi – nie wspominając o Węgrzech, które są krajem bardzo zaprzyjaźnionym z Trumpem, a jednocześnie największym odbiorcą chińskich inwestycji w Europie – przyjmują oferty Pekinu. Chiny nie są natomiast zainteresowane rozmowami z Unią, tylko z poszczególnymi krajami. Ubóstwiają Macrona, wiele propozycji składają Niemcom, którzy krytykują

rząd w Pekinie, a potem dogadują się w sprawie wspólnych biznesów. Np. dopuścili Chińczyków do joint venture w terminalu portowym w Hamburgu, choć wcześniej twierdzili, że nic z tego nie będzie, bo to zagraża ich bezpieczeństwu.

Jak w tym układzie odnajduje się Polska? Chiny są u nas coraz bardziej widoczne. Wykorzystujemy ich obecność czy się jej boimy?

Sądzę, że się boimy i jesteśmy bierni. Boimy się, ale i tak niczego to nie zmienia, bo procesy, które Chiny modernizują, dzieją się niezależnie od nas. Na całym świecie, także w Unii – jesteśmy częścią jej wspólnego rynku.

Mam wrażenie, że największym niebezpieczeństwem dla Polski jest teraz to, że nie widzimy tego kształtującego się na nowo układu i żyjemy, jakby to był świat lat 80. XX w. z Trumpem jako Reaganem i poruszamy się od ściany do ściany. Albo chcemy się bezkrytycznie otwierać na Chiny, co nie zawsze jest rozsądne, albo totalnie zamykać. Albo, albo. To bez sensu. Trzeba umieć balansować. Jeżeli się zamkniemy, to chiński biznes i tak przechwycą Węgrzy albo Niemcy. Szansą była Izera, czyli elektryczny samochód produkowany razem z Chińczykami.

Mogła sprawić, że Polska awansuje w łańcuchu dostaw i stanie się producentem [projekt został porzucony w grudniu 2024 r. – przyp. red.], ale się przestraszyliśmy. A Chiny? Już nie zabiegają o przychyłność, tylko mówią: „Albo bierzecie, albo idziemy na Węgry, do Niemiec, albo do Hiszpanii”. Czas, kiedy Polska mogła się pozycjonować lepiej, już minął. Obawiam się, iż Rzeczpospolita zostanie wyizolowana albo sama się wyizoluje. Nie tylko z rozmów pokojowych – dotyczących przecież także naszego kraju, co już się dzieje – lecz także z nowo tworzącego się łańcucha dostaw, w którym tak istotną rolę będą odgrywać Chiny i świat pozaeuropejski. Wygląda na to, że zdecydują za nas inni. Byłaby to wielka szkoda. Bo Polska to przecież kraj inteligentnych ludzi i wielkich możliwości. 

Lewicowa cenzura i inteligentne śmietniki

Nie wszyscy na lewicy otwierają szampana po tym, jak marszałkiem Sejmu został Włodzimierz Czarzasty. Powodów do świętowania z pewnością nie ma wicepremier Krzysztof Gawkowski. Wojna o przywództwo na lewicy wkracza w decydującą fazę. Partyjne wybory tuż-tuż, a sukcesów w kierowanym przez niego resorcie cyfryzacji jak na lekarstwo

Rok temu Gawkowski zapowiedział, że byłby gotów zastąpić Czarzastego na fotelu przewodniczącego Nowej Lewicy. A partyjne wybory odbędą się już w grudniu. Pytanie jednak brzmi: czy gdy Czarzasty skupi się wyłącznie na marszałkowaniu, to będzie zadowolony z Gawkowskiego jako następcy? Jeśli wierzyć kuluarowym pogłoskom o „szorstkiej przyjaźni” między nimi – raczej nie.

SPOKÓJ BIG TECHÓW

Kierowane przez Gawkowskiego Ministerstwo Cyfryzacji nie osiągnęło wielu sukcesów, ma za to wiele wpadek. O ile szef resortu chętnie zapowiada przełomowe projekty, o tyle, mówiąc kolokwialnie, ma problem z ich dowiezieniem.

Pomysł opodatkowania big techów, którego zwolennikiem jest Gawkowski, wywołał nerwową reakcję ambasady amerykańskiej. Obecny ambasador Tom Rose ostrzegł, że podatek może mieć negatywny wpływ na relacje polsko-amerykańskie. W odpowiedzi wicepremier zapewnił, iż żadne mocarstwo nie będzie się wtrącać w polskie sprawy, a dzięki tej daninie budżet państwa zostanie zasilony miliardami złotych. Tyle że na zapowiedzi się skończyło.

CENZURA I NADREGULACJA

Inny projekt, z którego Gawkowski jest dumny, to nowelizacja ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną, już przyjęta przez Sejm. Pod niewinną nazwą kryje się wprowadzenie państwowej cenzury treści publikowanych w sieci na podstawie bardzo niejasnych przesłanek. Krytycy – PiS i Konfederacja – obawiają się, że będzie to narzędzie do zamykania ust oponentom rządu. Najpewniej jednak i ten projekt trafi do kosza, prezydent Nawrocki dał bowiem do zrozumienia, że na żadną cenzurę się nie zgodzi.

DYKTATURA MINISTERIALNA

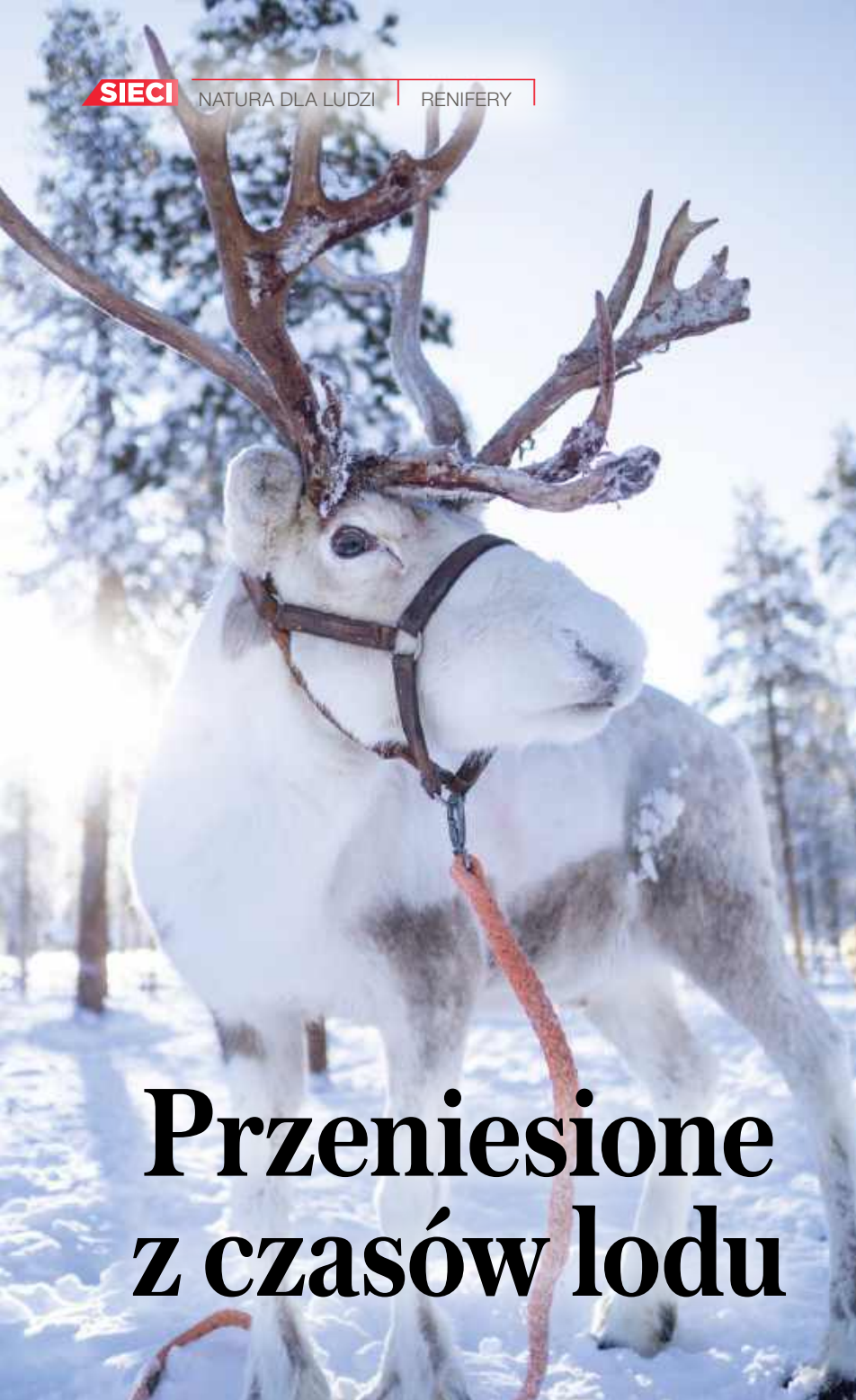
W listopadzie do Sejmu trafił projekt ustawy o Krajowym Systemie Cyfryzacji. Podczas Forum Ekonomicznego

w Karpaczu Gawkowski stwierdził, że „kto jest przeciwko KSC w proponowanym kształcie, dopuszcza się cyfrowej zdrady stanu”. Pomijając kuriozalną terminologię, niemającą zakotwiczenia w prawie, projekt budzi spore zastrzeżenia. Ma być implementacją unijnej dyrektywy NIS2, która ma na celu podniesienie poziomu ochrony kluczowych usług w UE. Tyle że wychodzi daleko poza jej ramy. Wprowadza pojęcie dostawcy wysokiego ryzyka (DWR) i procedurę jego definiowania, które nie wynikają z dyrektywy NIS2, dodatkowo zalecenia przeznaczone dla sektora telekomunikacji są stosowane do wszystkich 18 sektorów NIS2. Projekt narzuca nowe obowiązki dla 38 tys. podmiotów gospodarczych, większość których będzie objęta procedurą DWR. Daje za to wręcz dyktatorskie kompetencje ministrowi cyfryzacji – będzie on mógł zablokować kupowanie od danego dostawcy komponentów do produkcji np. leków, żywności czy produktów energetycznych. Wykonalność decyzji ministra będzie natychmiastowa – od dnia jej podjęcia podmioty nie mogą nabywać produktów lub usług „zablokowanego” dostawcy.

INTELIGENTNE ŚMIETNIKI

Kontrowersje wokół tzw. lex Gawkowski pokazują, jak łatwo projekt ustawy technicznej może się stać politycznym problemem. Choć formalnie autorem zmian w ustawie o utrzymaniu czystości i porządku w gminach jest resort klimatu, to właśnie Gawkowski stał się główną twarzą dyskusji. Powód jest prosty: nowelizacja przewiduje obowiązek stosowania tzw. inteligentnych śmietników. A na rynku jest w praktyce jeden dostawca gotowego rozwiązania: firma T4B/T-Master, w której Gawkowski pracował przez lata. Ustawa otwiera rynek warty setki milionów złotych dla technologii, którą dysponuje wyłącznie jeden gracz. Dodatkowe wątpliwości budzi to, że projekt trafił do uzgodnień w Ministerstwie Cyfryzacji, choć resort zapewnia, że Krzysztof Gawkowski nie uczestniczył w opiniowaniu.

Bartosz Życiński



Przeniesione z czasów lodu

Są symbolem świąt Bożego Narodzenia. Bez nich nie byłoby prezentów – w końcu to one ciągną sanie św. Mikołaja. Ale to rogowce oryginalne nawet wśród liczącej ponad 40 gatunków rodziny jeleniowatych (Cervidae), obfitującej w okazy rzadkie i niepowtarzalne. Dlaczego renifer tundrowy jest tak wyjątkowy?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jeleniowate występują w obu Amerykach, Europie, Azji i małym zakątku Afryki Północnej (w Polsce rodzime są: łoś euroazjatycki, jelen ślachećny i sarna europejska, ale np. daniel to gatunek wsiedlony przez ludzi).

Są zwierzętami parzystokopytnymi. Co zaskakujące u zwierząt, które dużo czasu spędzają, skubiąc i zgrzyzając rośliny, jeleniowate nie posiadają górnych siekaczy.

Wyróżniają się wielkim porożem – bardzo ciekawym tworem utworzonym z tkanki kostnej. Co roku jest ono zrzućane i co roku wyrasta od nowa. W początkowym okresie jest ukrwione i pokryte delikatną, safianową skórką nazywaną scypulem, a pod koniec stanowi broń twardą jak kość – z której jest zbudowane.

Pierwsza cecha wyróżniająca renifery tundrowe pojawia się już przy porożu – tylko u tego gatunku posiadają je zarówno samce, jak i samice.

Renifer jest też jedynym udomowionym jeleniowatym, ale dotyczy to tylko części osobników, bo udomowienie jest częściowe i paradoksalnie podkreśla pierwotność tego gatunku, nawiązując do relacji człowiek–zwierzę z najdawniejszych czasów.

ZIMNA KRAINA

Zasięg występowania reniferów tundrowych jest bardzo rozległy. Obejmuje całą północną Azję, północną Europę i północ Ameryki Północnej – Alaskę, Kanadę i część Grenlandii. Na Islandii jest to gatunek wprowadzony przez ludzi. Jeszcze w średniowieczu dzikie, przypuszczalnie rodzime renifery żyły w Irlandii i Szkocji.

Istnieje wyjątkowo wiele podgatunków renifera tundrowego (*Rangifer tarandus*), a niektórzy posuwają się dalej, dzieląc renifery na sześć osobnych gatunków i dopiero w ich obrębie wyróżniając podgatunki. Pojawiająca się nazwa „karibu” jest poniekąd synonimem słowa renifer lub ren, ale odnosi się tylko do podgatunków północnoamerykańskich.

Naturalnym środowiskiem życia reniferów są lasy borealne, w których dominują świerki o wąskich koronach, brzoza i osika, a także leżąca dalej na północ bezdrzewna tundra – miejsca, w których zimy są długie i mroźne, lata zaś krótkie, obfitujące w komary i meszki. Zimą ważnym czynnikiem jest gruba pokrywa śnieżna, natomiast latem mokradła – zarówno rozmarzające torfowiska oraz bagna, jak i podmokliśka z wytopionego śniegu, który powoli wsiąka w zamarzniętą w głębi glebę lub nie zdąży wsiąknąć przez kolejną zimą.

Przystosowaniem reniferów do takich warunków jest bardzo gęste futro o warstwowej budowie oraz szerokie racice, chroniące przed zapadaniem się w śniegu lub bagnistym torfie, w dodatku pod naciskiem ciała rozchodzące się na boki, dzięki czemu oparcie jest bardziej stabilne (widać to po tropach, na których – podobnie jak u dzików – odciskają się również boczne palce).

Futro jest ważne również z innych powodów. Gryzące owady są tak dokuczliwe, że renifery nieraz podejmują wędrówki nie tylko w poszukiwaniu pokarmu czy bezpiecznego terenu do wydania na świat młodych, lecz także po to, żeby umknąć owadom. Szukają wówczas miejsc wietrznych, a nawet mimo mniejszej ilości pokarmu – pokrytych śniegiem, gdzie owadów jest mniej. Wiele żywiących się ich krwią owadów to zresztą nie tylko uciążliwość. Zbyt długie wystawianie się na ich ugryzienia mogłoby się skończyć śmiercią i nie chodzi tu o przenoszone choroby, ale o rzecz najprostszą – potencjalne wykrwawienie. Zdarza się, że dorosły osobnik w ciągu tygodnia traci aż litr krwi, wyssanej przez owady i wypływającej z ugryzień.

TRAWIĄ JAK ŚLIMAKI

Życie na dalekiej Północy wiąże się również z koniecznością wyżywienia się wszystkimi dostępnymi rodzajami karmy, dlatego tak ważne są porosty. Jeden z nich, szczególnie ulubiony przez renifery, powszechny na Północy, otrzymał od nich swoją nazwę – chrobotek reniferowy (*Cladonia rangiferina*). W Polsce jest dość rzadki i podlega ochronie gatunkowej, spotyka się go czasem w runie sosnowych lasów nazywanych borami chrobotkowymi.

Porosty są bardzo specyficznymi organizmami. Obecnie zalicza się je do grzybów, ale faktycznie – mówiąc w dużym uproszczeniu – są połączeniem przerażających się wzajemnie grzyba i rośliny. Wytwarzają mnóstwo właściwych sobie substancji, w tym silne kwasy porostowe. Renifery są jedynymi dużymi ssakami trawiącymi porosty. Co jeszcze dziwniejsze, posiadają enzym trawienny, który oprócz nich mają wyłącznie niektóre ślimaki.

Oryginalność diety reniferów na tym się nie kończy. Żeby się wyżywić, ogryzają zrzucone poroże (u nas, jeżeli znajdzie się poroże jelenie ze śladami ogryzienia, jest to ślad żerowania lisów lub gryzoni). Do tego czasem zjadają również jaja ptaków, ryby i małe ssaki – są więc też drapieżnikami.

OBRAZKI Z PLEJSTOCENU

Renifery w zasięgu swojego występowania odgrywają ogromną rolę w przyrodzie. Jako roślinożercy występujący w dużej liczbie mają wpływ na kształt, krajobraz i skład gatunkowy północnych lasów i tundry – w pewnym sensie rośnie tam to, na co pozwolą te zwierzęta. Roślinożercy zamieniający w swoich przewodach pokarmowych rośliny – czyli producentów pierwotnych korzystających z energii słonecznej – na swoje ciało są kluczowi dla przetrwania wilków, rosomaków, w niektórych rejonach niedźwiedzi, a w jeszcze innych – orłów przednich. Na niektórych terenach, w miejscach i okresach przychodzenia na świat potomstwa, to właśnie orły przednie są głównymi drapieżnikami skutecznie polującymi na młode renifery. Są wystarczająco duże i silne, żeby je upolować. W przeciwieństwie do drapieżników poruszających się po lądzie orły nie muszą się przedzierać przez uzbrojone w racice i poroża dorosłe osobniki – mogą atakować z zaskoczenia z powietrza. Później nie muszą też unosić ofiary w powietrze i odlatywać z nią, zresztą nie dałyby rady – młody renifer jest dla nich za ciężki. Wystarczy, że poczekają, aż stado powędruje dalej, zostawiając orłom ich zdobycz pośród porostów i krzewinek.

Ponieważ renifery dobrze pływają i przemierzają w ten sposób znaczne morskie przestrzenie, stwierdzano dość niezwykle przypadki (być może wcale nie tak rzadkie), kiedy znajdowano całego renifera w żołądku rekina grenlandzkiego,

drapieżnika wód północnych dorastającego do znacznych rozmiarów, bo aż 6 m długości i 1 tys. kg masy ciała (oraz bardzo długowiecznego – rekiny grenlandzkie mogą żyć 400, a być może nawet 500 lat).

Ważną cechą reniferów, niewystępującą u innych jeleniowatych, jest także podejmowanie okresowych migracji – na duże odległości i wielkimi stadami, co przypomina słynne spektakularne wędrówki stad trawożerców z Afryki.


Jeszcze kilkanaście tysięcy lat temu i dawniej, w epoce lodowcowej, renifery żyły również w naszej szerokości geograficznej, a nawet dalej na południe. Były wówczas jedynym z podstawowych gatunków, na które polowali i którymi żywili się ludzie.

Obecnie na dalekiej Północy żyją tak, jak w plejstocenie żyli ich przodkowie obok naszych przodków. Kto więc wybierze się na Północ i zobaczy dzikie renifery, przeniesie się o tysiące lat, do epoki lodowcowej – czasów megafauny plejstocenu.

PIERWOTNA RELACJA

Relacje reniferów z ludźmi są unikalne, jakby przeniesione z czasów epoki lodowcowej i niewiele późniejszych, przed powstaniem pierwszych cywilizacji. Część reniferów została udomowiona. Służą jako zwierzęta pociągowe, niekiedy ludzie Północy jeżdżą na nich wierzchem. Dostarczają też mięsa, skór i mleka.

Ale nie przesadzajmy z tym udomowieniem. Ich stada są zdecydowanie półdzikie. Renifery większość czasu wędrują po bezludziach, a ich hodowcy mają nad nimi bardzo symboliczną kontrolę. To przypomina relacje zachodzącą pomiędzy ludźmi a zwierzętami z początku okresu udomowienia, kiedy człowiek próbował zatrzymać je przy sobie. Była to korzyść obojętna – również ze strony zwierząt, jeżeli bowiem spojrzeć z perspektywy gatunku, a nie osobników, celem każdego z nich jest przetrwanie i powstanie kolejnych pokoleń. Oczywiście ludzie zabijali renifery dla własnych celów, ale jednocześnie bronili je przed drapieżnikami, starając się, by gatunek nie tylko przetrwał, lecz także był liczny i w dobrej kondycji. Bo w tamtych czasach na Północy nie było wielu takich tragarzy.

Choć obecnie przypominamy sobie o reniferach tylko w okolicach świąt Bożego Narodzenia, to warto pamiętać, że łączy nas z nimi bardzo długa historia. 



Polsko-norweska opowieść świąteczna

Wyjechałem z Polski – i rodzinnego Golubia-Dobrzynia – w 1983 r. Miałem sześć lat. Ojciec był w Solidarności. Kiedy po roku internowania wrócił do domu, rodzice zdecydowali się na emigrację. Myśleli o Francji albo USA, ale gdy ojciec pojechał do Warszawy, postanowił też wejść do mijanej ambasady Norwegii. I tak ruszyliśmy – z mamą, tatą i dwoma starszymi siostrami – na północ Europy. Po roku urodziła się kolejna siostra. W tak dużej rodzinie trzeba walczyć o zainteresowanie dorosłych. Podobno od małego potrafiłem skutecznie skupić na sobie uwagę.

Ojciec mówił, że aktorskie talenty odziedziczyłem po dziadku, który potrafił parodiować różne osoby. I jako jedyny w rodzinie zostałem zawodowym aktorem.

Moje imię po norwesku wymawia się, zamieniając „r” na „h”. Poza tym jest takie jak w Polsce, do której jeździłem z siostrami na wakacje (tata długi czas miał tu zakaz wstępu). Odwiedzaliśmy babcię w Ostródzie i wujka w Elblągu, ale najwięcej czasu spędzaliśmy w Czernikowie koło Golubia-Dobrzynia, gdzie jest rodzinna działka.

W minionym roku po raz pierwszy zabrałem do Polski swoje dzieci:

dwóch synów (Isak ma lat 20, a Emil 17) oraz 6-letnią Agnes. Pojechaliśmy całą rodziną – także z moimi siostrami i ojcem. Było naprawdę super. Dzieci zakochały się w Polsce. Ostatnie dni spędziliśmy w Gdańsku i Sopocie. Cała trójka była zachwycona, a synowie zapowiadają, że będą przyjeżdżać do Polski. I świetnie, że mogą to już robić samodzielnie, bo w czasie wakacji dużo podróżuję po kraju ze spektaklami.

Teraz przyjechałem do Polski z filmem „Gwiazdka. Opowieść świąteczna” (można go już zobaczyć w polskich kinach). To adaptacja popularnej książki „Gwiazdka. Opowieść przedwigilijna” norweskiej pisarki Ingvild H. Rishøi. Historia w świątecznym nastroju, ale nieprzesłodka. Pełna dobrych uczuć i ważnego przesłania.

Gram w niej samotnego ojca, który w pewnym momencie nie potrafi sprostać rodzicielskiemu zadaniu. I wtedy nastoletnia córka próbuje go zastąpić. W opiece nad domem i młodszą siostrą, a także w przygotowaniach do świąt Bożego Narodzenia, na które tak czeka 10-letnia Ronia. Mamy tu do czynienia z przypadkiem tzw. parentyfikacji, czyli odwrócenia rodzinnych ról, do czego nie powinno dochodzić,

ale jednak to się zdarza – i to wcale nie-rzadko. Na szczęście wokół filmowej rodziny pojawiają się osoby gotowe ją wesprzeć, życzliwe i uważne – w tym najbliżsi sąsiedzi. Okazuje się, że nawet drobne gesty mogą być niezwykle cenne i pomocne. Magia świąt może zacząć działać. Nasz film, a także książka [której przekład ukazuje się właśnie dzięki Wydawnictwu Znak – przyp. red.] pięknie o tym mówią.

Po polskiej premierze „Gwiazdki. Opowieści świątecznej” wróciłem do Oslo, gdzie mieszkam z rodziną. W tym roku przygotuję na święta pierogi z kapustą i grzybami. W Norwegii nie brakuje dziś sklepów, gdzie można kupić potrzebne składniki. Mama, która niestety już nie żyje, wspaniale gotowała. Także świąteczne dania. Może spróbuję też ugotować barszcz.

Najważniejsze jednak, że tego dnia będziemy razem. Cieszymy się z tego, pamiętając, że nie każdy – jak pokazuje filmowa historia Melissy, Roni i ich taty – może liczyć na radosne i spokojne święta. Chyba że obok znajdują się życzliwi, gotowi do pomocy ludzie. Wtedy każdy, najdrobniejszy gest ma znaczenie. I takich dobrych ludzi i gestów życzymy sobie oraz innym. //

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**

SŁODKO-SŁONY

Czyj schabowiec?

ANNA MONICKA

Był czy też nie był popularnym polskim daniem kotlet schabowy z wiernej towarzyszką naszego rolnika – świni? Podawany z kapustą i ziemniakami – jak nakazuje wielowiekowa tradycja.

Badania archeologiczne kości i resztek zachowanych na wykopanych spod ziemi glinianych naczyniach dowodzą, że jednak nie. Nasi przodkowie – zanim jeszcze uformowały się granice Polski – byli przede wszystkim rolnikami. Uprawiali głównie proso, z którego robili jagły, czyli kaszę jaglaną. Później pojawiły się żyto i pszenica. Jedli też groch, bób i soczewicę, które dostarczały im białka. Uprawiali marchew, kapustę, cebulę, rzepę. Zbierali grzyby, orzechy włoskie i laskowe. Znali jabłka, gruszki, śliwki, cenili owoce jarzębiny, derenia. Wykorzystywali mnóstwo dziko rosnących roślin, których my albo wcale nie znamy, albo traktujemy wyłącznie jako chwasty. Gotowali np. barszcz (z młodych pędów wychodzi smaczna zupa), lebiodę, pasternak, skorzonere. Pili wodę, mleko, soki z brzozy i klonu, napary ziołowe, a także kwas chlebowy, piwo i miody. Z powodu tych ostatnich – a właściwie ich braku w Palestynie – Leszek Biały nie chciał jechać na wyprawę krzyżową, więc musiały być niezłe. Wyrabiali też sery.

Mięso? Owszem, ale raczej rzadko, od święta. I była to zwykle wołowina albo konina, chociaż świnię mieszkają z nimi pod jednym dachem. Pieczona albo gotowana z jęczmieniem, przy czym – jak zauważył arabski podróżnik z X w. Ibn Fadlan – „panowie spożywają mięso, a niewolnice karmią jęczmieniem”. Hodowali kury, żeby mieć jajka, w jeziorach i rzekach łowili ryby (byli mistrzami, potrafilo je wędzić) i używali rybiego tłuszczu. W glinianych domowych kociołkach pyrkotały głównie bryje, żury na zakwasie z żytniej mąki i grzybowe polewki. Dodawali do tego zioła: czosnaczek, kminek, mięte. Żeby zobaczyć i posmakować tej kuchni, warto się wybrać na piknik etnograficzny do Biskupina albo wikiński zlot na Wolin.

Pierwszą wzmiankę o schabowym znajdziemy dopiero w połowie XIX w. u Lucyny Ćwierczakiewiczowej w książce kucharskiej „365 obiadów za pięć złotych”. Był tańszym odpowiednikiem sznycla wiedeńskiego, przygotowywanego z panierowanej cielęciny. Oto przepis:

„Wziąć część schabową, to jest kotletową, pokrajać tak, aby przy każdej kostce było mięso, zbić dobrze, osolic, opieprzyć, maczać w jajku rozbitym, posypać bułką tartą i smażyć na rozpalonym maśle lub gorącym smalcu”.

WILCZYM OKIEM

Pomidor

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przypuszcza się, że pomidor (*Solanum lycopersicum*) pochodzi z wybrzeży północno-zachodniej części Ameryki Południowej. Sądzi się też, że pierwotne pomidory, występujące tam jako naturalny element flory, miały owoce wielkości groszku. Z czasem zaczęły one osiągać rozmiary nieco większe, mniej więcej jak czeresnie. Ptaki, a zapewne także ludzie, przenieśli je do Ameryki Centralnej, gdzie zaczęła się ich właściwa hodowla.

Na drodze coraz bardziej celowego krzyżowania owoce pomidorów osiągały coraz większe rozmiary, uzyskiwano też kolejne odmiany. Majowie nazywali je „tomatl”, co oznaczało coś pulchnego. Dzięki Indianom pomidory poznali Hiszpanie – do dziś hiszpańska nazwa brzmi bardzo podobnie: „tomate”.

Włosi, którzy poznali pomidory dzięki Hiszpanom, podkreślili w nazwie ich zamorski charakter. Można przypuszczać, że dlatego, iż bardziej egzotyczni i zamorscy od Hiszpanów wydawali się im Maurowie, nazwali pomidor „pomo di moro” – „jabłko mauretańskie” (choć czasem współczesne słowo „pomodoro” wywodzi się od „pomo d'oro”, czyli „złote jabłko”).

Wiele narodów w Europie dość długo uważało pomidory za trujące rośliny ozdobne. Pod koniec XVI w. Brytyjczyk John Gerard opisał je tak sugestywnie jako rośliny trujące i o nieprzyjemnym zapachu, że w Wielkiej Brytanii uprawiano je jako ciekawostkę, wystrzegając się ich jedzenia aż do XIX w. Rzeczywiście, różne części tej rośliny są trujące, podobnie jak niedojrzałe owoce. Nie bez powodu pomidory należą do obfitującej w trujące gatunki rodziny psiankowate, o czym świadczy wcale nie nieprzyjemny, lecz charakterystyczny i intrygujący zapach, np. liści.

W XIX w. pomidory zaczęto uprawiać również w Polsce, chociaż popularne stały się dopiero po I wojnie światowej – dzieje rozpowszechnionych dziś upraw pomidorów w naszym kraju liczą więc nieco ponad 100 lat. Historia tłumaczy też, dlaczego wciąż oprócz pomidorów krajowych kupujemy pomidory hiszpańskie – to kwestia klimatu, a także tradycji oraz doświadczenia, choć dziś wielu polskim pomidorom niczego nie można odmówić i nie ustępują one owocom z zagranicy, a czasem nawet je przewyższają.

OGNIEM NA WPROST

Szach-mat

Jedną z większych afer w związku z tańcem wokół tzw. porozumienia pokojowego pomiędzy Kremlm a cywilizowanym światem jest sprawa Steve'a Witkoffa. Chryja wybuchła, kiedy agencja Bloomberg'a opublikowała zapisy nagrań jego rozmów z Jurijem Uszakowem, czyli doradcą Putina ds. zagranicznych. Dodatkowo wypuszczono nagranie rozmowy Uszakowa z Kirillem Dmitriewem, wyznaczonym przez Kreml do negocjacji z Ukrainą i USA. Wyszło na to, że Witkoff jest nieprawdopodobnym frajerem, rozegranym jak dziecko przez dwóch (lub więcej) wyjadaczy z Kremla. Ujawnione wypowiedzi Witkoffa wskazują wprost, że zamiast reprezentować stanowisko Waszyngtonu, podpowiadał Moskwie, jak przekonać do opcji moskiewskiej prezydenta Trumpa. Co więcej, nagranie rozmowy Uszakowa i Dmitriewa pokazuje, że obaj mają świadomość kontrolowania Witkoffa, a także iż odpalenie rzekomego planu pokojowego prezydenta Trumpa w mediach było inicjatywą Kremla. W zasadzie szach-mat.

Trump, który wściekł się na Witkoffa, zlecił tym razem ogarnięcie tematu Rubio. Ten dzwoni do Ławrowa i stawia twarde warunki: spotkanie ma się zakończyć podpisaniem porozumienia, inaczej nic z tego. Ławrow kombinuje, bo wie, że żadnego porozumienia nie będzie, nie o to tu chodzi, na co Trump zrywa rozmowy i odwołuje szczyt. I tu wchodzi Stefek, który wyczuwa okazję na powrót do łask szefa. Podczas spotkania w Turcji z Dmitriewem i Uszakowem poczynił z nimi ustalenia, które wysłał do Trumpa jako nową inicjatywę. Tyle że Dmitriew i Uszakow to dwaj weterani sowieckiego wywiadu zagranicznego, więc doskonale się orientują, że dla Wit-


koffa odsunięcie od głównych negocjacji to cios w ambicję. Doskonale umieją też – bo byli do tego szkoleni – wykorzystać jego nastrój, żeby podsunąć mu „plan”, który faktycznie jest kapitulacją Ukrainy. Ponieważ nie wiedzą, co z tym „planem” zrobią Amerykanie, odpalają na portalu Axios informację na jego temat. Wybuchoł afery. Waszyngton na szybko – być może w korelacji z Kijowem – przepisuje „plan”, wrzucając wątki nie do zaakceptowania dla Kremla (jak choćby baza lotnicza NATO w Polsce). Chodzi o to, żeby Moskwa odcięła się od tego planu. Jednocześnie w przestrzeni publicznej latają retoryka sporu, hamletyzowanie, tromtadacja itp. Wszystko ma być zasłoną dymną nad faktycznymi pracami (których treści nadal nie znamy). Koniec końców spisek nie osiąga celu. Rzekomy plan zostaje przepisany. W przepisanej formule zaakceptowany przez Ukrainę. Prace nad faktycznym porozumieniem, w których uczestniczą USA i Ukraina, a z doskoku główne państwa europejskie, mogące udzielić Ukrainie realnego wsparcia militarnego, trwają. W Waszyngtonie już wiedzą, że Stefek omal nie wsadził ich na minę, ale robią dobrą minę do złej gry. Jego zachowanie podważyło wiarygodność USA jako strony w negocjacjach i gwaranta czegokolwiek. Tym samym stawiają Moskwę i Chiny na pozycji jedynej siły mogącej cokolwiek dać Ukrainie i Europie.

Atak służb antykorupcyjnych Ukrainy na szefa kancelarii głowy państwa Andrija Jermaka doprowadził do jego dymisji. Na forum Verhownej Rady (parlament) oskarżał go kontrowersyjny lider kontrowersyjnej partyjki, która ma śladowe poparcie i za którą ciągną się sprawy korupcyjne. Jarosław Żeleznik, bo tak



Andrzej Rafał Potocki

się nazywa główny oponent Jermaka, jest politykiem partii Hołos, czyli Głos. Mimo że Głos ma wyborców głównie w zachodnich regionach Ukrainy, Żeleznik, będący jednym z jej liderów, pochodzi z Mariupola. Oskarżyciel sam był parę lat temu umocowany w potężną korupcję, i to nie jedną.

Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU) wchodzi do biura Jermaka, nic nie znajduje, ale Jermak, wielokrotnie oskarżany o powiązania z Moskwą, rezygnuje ze stanowiska, wygłasza patriotyczne przemówienie i znika. Ktoś coś z tego rozumie? Oczywiście chodzi o osłabienie pozycji prezydenta Zełenskigo i prawdopodobnie doprowadzenie do sytuacji, w której konieczne będzie przeprowadzenie wyborów prezydenckich w takim układzie, jaki jest, czyli w trakcie działań wojennych, i zastąpienie skompromitowanego już Zełenskigo politykiem, który ma powszechne zaufanie i który mówi rzeczy nie zawsze popularne. Być może Zełenski da Jermakowi wizerunkowo odkupić swoje winy i wyśle go do jednostki tyłowej, gdzie sfotografują go w pełnej balistyce z karabinem prosto z magazynu. Ale nie jest to wcale takie pewne, ponieważ nie wiemy, gdzie NABU planuje zakończyć swoją antykorupcyjną krucjatę. Dymisja Jermaka oznacza, że obóz Zełenskigo przegrał z Biurem, a wpływowego szefa kancelarii „zrzucano z sań”. Czy za całą aferą NABU stoi zatem HUR (wywiad wojskowy), jego szef gen. Budanow oraz wojskowi zamierzający wymienić skorumpowaną ekipę na człowieka, któremu ufają? 

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje: **Federica Mogherini**
aresztowana – UE psuje się od głowy



Wycinki z przeszłości

Dziś pod choinką królują klocki, gry i elektronika, ale świąteczne zwyczaje bardzo się zmieniły. W 1938 r. „Dziennik Bydgoski” polecał dzieciom zupełnie inne upominki: „Najmilszym prezentem gwiazdkowym dla chłopca jest dobra wiatrówka”. Sklep Hubertus oferował je „w dużym wyborze” oraz nawet możliwość wysyłki pocztą.

(sp)



Z WOLEJA

Igrzyska za (zimowym) pasem



Ryszard
Czarnecki

Optymiści żyją dłużej. Skoro tak, to prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz będzie żył bardzo długo. Właśnie zapowiedział w wywiadzie radiowym, że Biało-Czerwoni zdobędą na zimowych igrzyskach we Włoszech A.D. 2026 trzy medale! Grubo! Ja marzę o dwóch, ale nawet przy jednym uznaję, że Polska wraca z tarczą, a nie na tarczy. Przypomnę, że na ZIO w 2022 r. zdobyliśmy jeden medal – i to „tylko” brązowy Dawida Kubackiego w skokach narciarskich. Oczekiwania były dużo większe, zwłaszcza po rozbudzeniu apetytów na igrzyskach w Rosji w Soczi w 2014 r., gdzie nasi uzyskali najlepszy wynik w historii: cztery złote medale oraz po jednym srebrnym i brązowym. Zajęliśmy wtedy znakomite 11. miejsce w klasyfikacji medalowej. Po kolejnych czterech latach było gorzej, bo z jednym złotem i jednym brązem nie otwieraliśmy drugiej dziesiątki w tabeli medalowej, ale spadliśmy na 20. miejsce. Tak było na pierwszych w dziejach igrzyskach zimowych w Korei. Ale na tych już wspomnianych, w 2022 r. – z kolei pierwszych zimowych w historii Chin (14 lat po Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie) – była pełna, jed-nomedalowa obsuwa.

Dlatego uważam, że szef PKOl to wielki optymista, bo pod względem wyników naszej reprezentacji bliżej do obu ZIO w Azji niż tych upojnych w Soczi, gdzie „Mazurka Dąbrowskiego” grano na rosyjskiej ziemi – podkreślam (!) – aż cztery razy.

W międzyczasie naszą wiodącą dyscyplinę zimową, najbardziej eksportową w dziejach naszych sportów zimowych, czyli skoki narciarskie, zastąpiło łyżwiarstwo szybkie. Tu mamy dwie bardzo realne szanse na medal – jedną w sprincie i drugą na długim dystansie. A może jeszcze snowboard? Wiara przenosi góry. Oby raczej miał optymista Piesiewicz, a nie pesymista (realista?) Czarnecki, który jeden medal dla Polski weźmie z dużą radością, a drugi z pocałowaniem ręki...





*Skupienie się na pisaniu
potrafi skutecznie
wyprowadzić z depresji*

Już prawie zapominałem, że 35 lat temu ukazała się moja pierwsza książka. Gdy w listopadzie 2025 r. uczestniczyłem w warsztatach na temat „Narodowej Strategii Pamięci” zorganizowanych przez Muzeum Historii Polski, jeden z historyków młodszego pokolenia powiedział na jej temat kilka ciepłych słów.

Chodzi o wydaną w 1990 r. pracę „Między dogmatem a programem badawczym: Problemy stosowania materializmu historycznego we współczesnej historiografii polskiej”. Jest to poprawiona wersja mojej rozprawy doktorskiej napisanej w Instytucie Historii UAM pod opieką prof. Jerzego Topolskiego (1928–1998).

Pozytywny komentarz dotyczący mojej starej książki przypomniał mi dawną rozmowę z wybitnym filozofem i antropologiem kulturowym prof. Ernestem Gellnerem (1925–1995).

OD A DO ZYBERTOWICZA

Pięć pożytków z pisania

CAMBRIDGE, UK 1991–1992

To czas stypendium na Cambridge University, a dokładniej w Katedrze Antropologii Społecznej. Wybrałem ją, gdyż byłem wówczas zafascynowany dociekaniem prof. Gellnera, który tam wykładał.

Nic dziwnego, że korzystając z okazji, na wykłady Gellnera chodziłem często. Któregoś razu zapytałem profesora o jakąś teoretyczną kwestię zarysowaną podczas jednego z nich. Rozmowa się przeciągała, a że był to już wieczór, odprowadziłem go do domu. Szliśmy powoli, bo profesor kuśtykał, wspierając się laską. W którymś momencie konwersacja potoczyła się mniej więcej tak:

A.Z.: „Napisał pan już pewnie jakieś 15 książek, co powoduje, że pracuje pan nad kolejnymi?”

E.G.: „Napisałem dokładnie 15 książek, ale tylko część z nich jest prawdziwa”.

A.Z.: „Co to znaczy prawdziwa?”

E.G.: „Część książek to antologie moich napisanych przy różnych okazjach artykułów; tylko niektóre to całościowe, spójne monografie poświęcone jakiemuś wyodrębnionemu, złożonemu problemowi”.

A.Z.: „Co przy tak poważnym dorobku motywuje pana do dalszej pracy?”

I wtedy Gellner powiedział coś bardzo osobistego: „Writing is the only drug that protects me from depression” („Pisanie to jedyny lek, który chroni mnie przed depresją”). Przyznam, że od tamtego czasu stanowi to dla mnie istotny punkt odniesienia.

SYDNEY 1993

Tam z kolei intensywnie pracowałem nad moją rozprawą habilitacyjną. Owocem była książka „Przemoc i poznanie: Studium z nie-klasycznej socjologii wiedzy” wydana w 1995 r.

Ogólnie, gdy patrzę na swe życie, które już przekroczyło siedem dekad, uważam się za osobę mało depresyjną. Nie znaczy to jednak, że stan depresji

jest mi całkiem obcy. Podczas pobytu w Sydney uzmysłowiłem sobie, że przeciw depresji czytanie nie pomaga. Za to z pisaniem jest inaczej – skupienie się na nim potrafi z depresji skutecznie wyprowadzić. Zwłaszcza gdy stanowi ono część jakiegoś szerszego, ambitniejszego zadania intelektualnego.

POTEM – ŻYCIE

Jeszcze tam, w Australii, pomyślałem, że antydepresyjne pożytki z pisania – w moim przypadku nie tylko tekstów naukowych, lecz także publicystycznych – nie ograniczają się do samej fazy tworzenia.

Kolejny impuls antydepresyjny, dziś może powiedzielibyśmy – nagroda dopaminowa – pojawia się wtedy, gdy dzieło – czasem krótkie, jak niniejszy felieton, czasem większe, jak liczący dziesiątki stron artykuł naukowy – jest ukończone i wysłane do wydawnictwa.

A trzecią premię – bo tak to też nazywam – otrzymuję, gdy tekst zostaje przyjęty do druku.

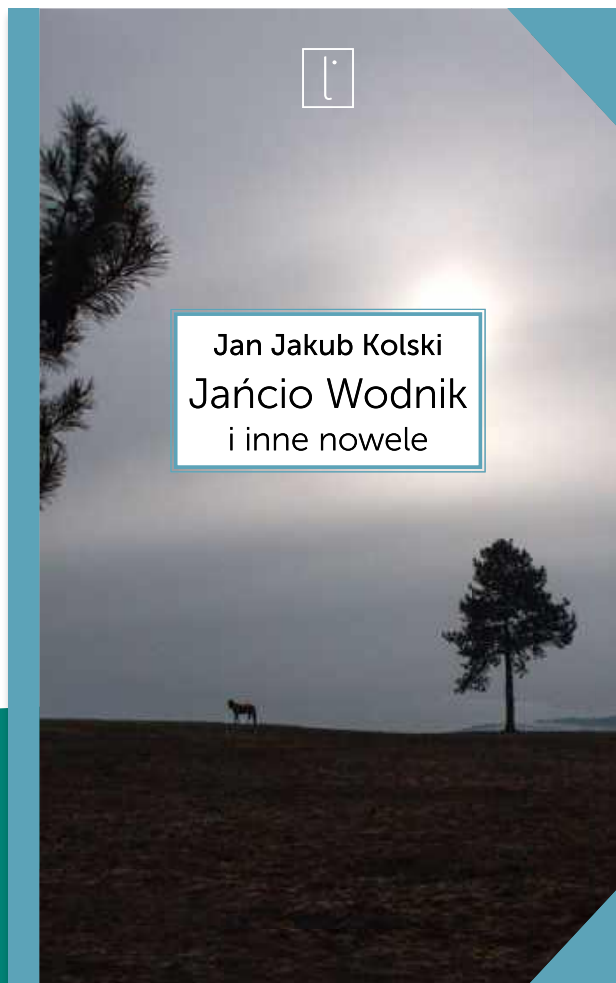
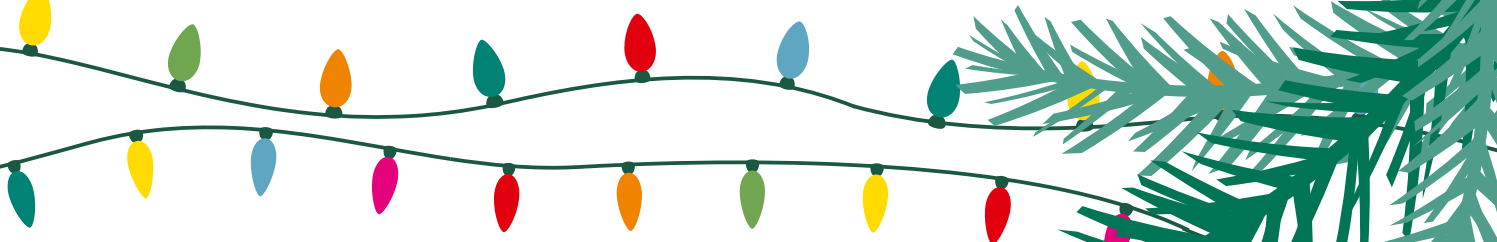
Premia czwarta następuje, gdy mam już na biurku czasopismo, w którym tekst właśnie się ukazał albo gdy z wydawnictwa przychodzi paczka ze świeżo wydrukowanymi książkami.

Szczególnie satysfakcjonująca, gdyż odroczone w czasie, jest premia piąta. Ktoś podchodzi i chwali tekst po latach od jego publikacji. To ważne, gdyż pokazuje nie całkiem ulotną wartość dawnych uniesień pisarskich. Oto tekst przyniósł pożytek także komuś innemu.

OSTRÓW MAZOWIECKA

To tu niedawno podczas spotkania poświęconego najnowszej książce „AI Eksploracja”, ktoś podszedł z prośbą o dedykację i podsunął mi moją wydaną w 1993 r. pracę „W uścisku tajnych służb: Upadek komunizmu i układ postnomenklaturowy”.

Andrzej Zybertowicz



Jan Jakub Kolisko
Jańcio Wodnik
i inne nowele

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ **SIECI**

100 książek w prezencie

Wspaniałe opowiadania, proste postaci
i historie, a takie niezwykle...

| nie tylko dla wielbicieli filmów Kolskiego
| literatura piękna | 336 stron

Książkę „Jańcio Wodnik i inne nowele” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę tygodnika **SIECI** za **375 zł**.

To najlepsza cena, bo płacisz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie,
podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

ZAMÓW JUŻ DZIŚ NA: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Jeśli nie korzystasz z internetu, opłać prenumeratę na pocztę, podając nr konta:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290 (Fratrria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia),
a w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 14-16



Stawiamy na rozwój telewizji w Polsce **24**

Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**